



JOHN EVERSON

DEMONICZNE
PRZYMIERZE

LAUREAT

NAGRODY

BRAMA
STOKERA

RH

John Everson

Demoniczne przymierze

**z języka angielskiego
przełożył Cezary Frąc**



*Dla Geri
która nauczyła mnie
wartości Przymierza*

Podziękowania

Dziękuję Shane Ryan Stanley, Davidowi Barnettowi i Charlee Jacob za przyjaźń, słowa krytyki i zachęty rozdzielane w odpowiednich dawkach wtedy, gdy najbardziej ich potrzebowałem.

Dziękuję mojemu tacie za to, że pozwolił mi przekształcić swój domek w ustronie pisarza na czas pracy nad ostatnimi wersjami tego rękopisu.

Dziękuję Edwardowi Lee, Gerardowi Houarnerowi, Michaelowi Laimo, Jasmine Sailing, Brianowi Jeeke, Nancy B. i Cathy Kubik, którzy inspirowali mnie swoimi wizjami i wspierali moje. Dziękuję również Martinowi Mundtowi, Billowi Breedlove i Larry'emu Santoro za parę wskazówek, jak pisać z humorem, z werwą i stylem. Brak którejkolwiek z tych cech absolutnie nie wynika z ich winy.

Dziękuję Julie Flanders, Emilowi Adlerowi i reszcie grupy October Project za niezliczone godziny inspirującej muzyki. Powieść powstawała kilka lat, ulegając zmianom, ale zawsze słuchałem October Project, Tanyi Donnelly, This Mortal Coil, Cocteau Twins, Loreeny McKennitt, Wild Strawberries, Toad The Wet Sprocket, New Order, The Cure i wielu innych wykonawców.

Specjalne podziękowania dla Iki Repeczko, która pracowała niezmiernie, żeby moje „Przymierze” odbyło podróż za ocean i znalazło dom w Polsce.

Prolog

Urwisko.

Zawołało do niego.

Musnęło go... ciemnością.

Dopiekło mu obietnicą złożoną dawno temu.

Wiedział od tak dawna, słyszał zew od tak dawna, że ta najważniejsza noc w jego życiu straciła swój pierwotny urok.

Tchnienie obietnicy prześliznęło się nad krawędzią i polaskotało go w nos. James odetchnął, delektując się słonawym, cierpkim smakiem powietrza, jego grobowym zimnem.

Urwisko miało go zabić.

Poczuł mocny nacisk na plecy. Nie miał odwrotu, nie mógł uciec. Czy coś kryło się przed nim tam, w smudze czerni? Czy było coś w szumie wiatru, który prześlizgiwał się nad huczącymi falami przyboju i wspinał po stalowoszarej skale, żeby całować jego słone policzki?

James krzyknął głośno, gdy zionący pustką nocny wiatr pochwyił, skrzył i porwał na strzepy jego uczucia.

Huk fal wprawiał powietrze w drżenie. Wibracje przenikały jego ciało. Ich dotyk był lodowaty, ich władza absolutna. Przyszedł tu, by wypełnić się jego przeznaczenie. Dziewiętnaście lat spędził na przygotowaniach, a jednak teraz, gdy chwila nadeszła, zastanawiał się, czy da radę.

Pomyślał o Cindy.

„Odepchnij terażniejszość i przytul mocno przeszłość” - nakazał sobie.

Cindy była dla niego taka dobra. Taka oddana. Wywołał z pamięci jej postać, zobaczył szelmowski uśmiech i zadarty nos. Uwielbiał jej włosy niesfornie spadające na ramiona. Uwielbiał smak jej chętnych ust. Uwielbiał, jak ostrzegała go

przed „pułapkami” zastawianymi przez jego matkę.

- Nie widzisz, że ona potrzebuje frajera? - powtarzała, potrząsając nim za ramiona. Była taka piękna, gdy próbowała przemówić mu do rozumu. Jej ręce zaciskały się z całej siły... niemalże czuł je teraz. - Ocknij się i odejdz! Jedź ze mną jesienią do szkoły.

- Nie mam pieniędzy - odpowiadał. - A gdyby nawet, nie dostanę się, bo miałem za słabe oceny.

- Dostaniesz się - przekonywała. - Jeśli ze mną pojedziesz, po roku pracy na własne utrzymanie będziesz mógł wystąpić o pomoc finansową. Proszę, James, zrób to dla mnie. Uciekaj od niej. Wynieś się z tego miasta.

Nie opuścił Terrel Heights.

A Cindy wyjechała.

Pisała od czasu do czasu, a on niekiedy odpowiadał. Nie mógł jednak za nią pojechać. I nie mógł jej powiedzieć dlaczego. Nie umiałby wyjaśnić, jaką władzę roztacza nad nim urwisko.

Jego przeznaczenie.

Szkoda, że nie mógł się z nim spotkać w blasku księżyca. Chmury i mgła spowijały tę noc. Zadrżał, czując jej dotyk. Palce jego stóp wisały nad wilgotną pustką. Trzydzieści metrów. Może więcej.

Napór na plecy narastał. Nadszedł czas.

Pomyślał o wielu dniach spędzonych w jaskiniach na dole. O dniach obietnic, przygotowań. Wiedział, że duch urwiska żyje. Potrzebuje go. Łaknie. Jego ofiara powstrzyma ducha od wysiania życia ze wszystkich innych mieszkańców Terrel Heights. Jego dusza w zamian za tysiące.

Tego roku.

Miał nadzieję, że Cindy nie będzie o nim źle myślała, kiedy się dowie. Nigdy by nie zrozumiała.

James się poddał. Czuł ręce na plecach, czuł przybór mocy przenikającej go niczym prąd elektryczny, spychającej go w przepaść. Czuł głód mrocznego ducha, który władał górą. Krzyknął tylko raz, gdy wzdłuż stromej skalnej ściany leciał ku leżącym u podnóża głazom, żeby się na nich roztrzaskać.

Gdzieś wysoko jęknął w odpowiedzi zawodzący głos.

Fale mocno biły w urwisko.

Coś w ciemności skosztowało ofiarę.

I przyjęło owoc Przymierza.

Pytania

Rozdział I

- Trójka, tu dyspozytor. Wygląda na to, że mamy następnego skoczka na Górze Terrela, Bob. Jedź, twoja kolej...

Joe Kieran podniósł głowę, gdy krótkie, pełne zakłóceń wezwanie popłynęło ze stojącego w kącie radia.

„Skoczek?” - zastanowił się. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że chodzi o samobójcę.

Był tu nowy i dostał robotę nie do pozazdroszczenia - jako nocny reporter siedział w redakcji do późna. Wystukiwał artykuły, które miały się ukazać w bliżej nieokreślonej przyszłości, z utęsknieniem wyczekując sensacyjnych komunikatów na częstotliwości policyjnej. Ciągłe miał nadzieję, że o pierwszej w nocy w Terre zdarzy się coś ciekawego. Wtedy Joe chwyci reporterski notes, wskoczy do wozu i pogna przez miasto, żeby przygotować relację i telefonicznie przekazać najważniejsze szczegóły do redakcji, aby Randy mógł je zamieścić w porannej gazecie. Ale w Terrel chyba nigdy nie działo się nic po szóstej wieczorem. W ciągu dwóch miesięcy pracy zaledwie raz wsiadł do samochodu. I zaraz wrócił, bo był to fałszywy alarm.

Nie, praca reportera w sennym miasteczku Terre nie należała do ekscytujących. Zwykle z policyjnego radia płynęły skargi na hałas w sąsiedztwie i wezwania do awantur domowych. Jedno i drugie nie zasługiwało na wzmiankę w „Terrel Daily Times”. Swoją drogą większość artykułów, pod którymi umieszczał swoje nazwisko, wydawała się niewarta farby zużytej do ich wydrukowania. Klub Rotariański sponsoruje kiermasz dobroczynny. Biblioteka Taft Memorial urządza wystawę wiejskiej ceramiki z dziewiętnastego wieku. Wypracowania trzech uczniów Szkoły Podstawowej Shane

wezmą udział w konkursie „Bądź czujny, powiadom o pożarze”, zorganizowanym przez straż pożarną hrabstwa...

Ale teraz, po dwóch miesiącach słuchania policyjnych komunikatów o stłuczkach, o awanturach z rzucaniem talerzami i od czasu do czasu o piwnych imprezach licealistów, naprawdę coś się działo.

- Hej, Randy! - zawołał do krzepkiego redaktora, który siedział po drugiej stronie pokoju. - Słyszałeś? Co to znaczy „następny na Górze Terrela”?

Randy podniósł głowę znad klawiatury i milczał przez długą chwilę. Wreszcie popatrzył prosto na Joego.

- Znowu ktoś skoczył z urwiska. Nie zwracaj sobie głowy. Zajmiemy się tym jutro, kiedy będą znali szczegóły.

- Nie powinienem tam jechać? Dla mnie wygląda to na temat na pierwszą stronę.

- Nie. Jutro zadzwonisz na policję. Powiedzą ci wszystko, co musimy wiedzieć.

- W tej chwili mam na tapecie tylko ten artykuł o Klubie Bibliotecznym - powiedział Kieran. Od czasu wyjazdu z Chicago nie miał żadnego sensacyjnego tropu i nie chciał zrezygnować. - Może więc jednak pojedę?

- Opuść to sobie, Joe.

W głosie Randy’ego zabrzmiała jakaś dziwna nuta. Kieran wiedział, że redaktor nie ustąpi, choć nie znał przyczyny. Jednak reporterski instynkt nie pozwalał się mu poddać. Poza tym naprawdę potrzebował przerwy w tym nieznośnie nudnym wieczorze - nawet oglądanie pokiereszowanych zwłok byłoby miłym urozmaiceniem.

W miarę upływu godzin potok zielonych słów na ekranie jego monitora płynął coraz wolniej. Joe kłął w duchu, bo kanał policyjny ucichł po rzuceniu tej krótkiej przynęty godzinę przed północą. Czasami serdecznie nienawidził pracy

w małomiasteczkowej gazecie. Gdyby się tutaj wychował, wiedziałby dlaczego Randy nie chciał mówić o samobójcy. A dyspozytor powiedział „kolejny”. Jakby to zdarzało się często. Może kiedyś skoczył ktoś z rodziny redaktora? Do licha, najwyraźniej wszyscy w mieście poza Kieranem znali dramatyczną historię urwiska!

On dorastał w Chicago i przez krótki czas grał w jednej lidze z tuzami dziennikarstwa. W tym czasie dla studenckiej gazety Northwestern University pisał o pokręconej historii dochodzeń w sprawie porwania małej JonBenet Ramsey. Dzięki tym poczytnym artykułom zaraz po studiach załapał się jako niezależny dziennikarz do „Chicago Tribune”. Musiał jeszcze opisać szereg nieciekawych zebrań podmiejskich rad osiedlowych i kryzysów w radach szkolnych, ale w końcu drzwi „Tribune” otworzyły się przed nim na całą szerokość. Dostał pełen etat. Upajał się swoją zawrotną karierą. Niezbyt długo.

Napisał serię artykułów o przestępstwach, jakich dopuszczali się miejscy radni, demaskował łapownictwo i nieuczciwe praktyki w swoim okręgu wyborczym. Myślał, że jest superbohaterem. Pławił się w zaszczytach, lecz nie zapomniał o powiększaniu sieci ulicznych kontaktów. Dzięki nim docierał do coraz głębszych pokładów urzędniczych nieprawidłowości, na których, jak się zdawało, zostało zbudowane miasto. Był głosem szarego człowieka.

Aż jedna z historii, na które natrafił, nieoczekiwanie zmroziła mu krew w żyłach. Pewnego dnia odkrył, że robienie przekrętów nie ogranicza się do gabinetów radnych i bankierów inwestycyjnych...

Parę dni później wyciągnął walizkę i zaczął się pakować. Nie mógł strawić gorzkiej prawdy, w którą kazał mu się wgrzyźć reporterski instynkt. Zakończył karierę cudownego

dziecka, by uciec na wybrzeże i zaszyć się w tym zapyziałym miasteczku w pobliżu oceanu.

I urwiska.

Rozdział II

Światło słoneczne zmieniało się niczym woda. W jednej chwili lśniło oślepiająco, w następnej mroczniało w mglistym cieniu pod grubym baldachimem gałęzi dębów, klonów i sosen. Pogryzione przez szkodniki liście i połamane gałązki zaścielały asfaltową nawierzchnię, w której ziały zabójcze dla opon dziury. Głębokie rowy po obu stronach wąskiej szosy wyścielał różowo-fioletowy wrzos. Powietrze miało ostry smak, rześki poranek zapowiadał skwarne popołudnie. Joe prowadził z łokciem wysuniętym za okno, słuchając na okrągło Cocteau Twins. Musiał przyznać, że mieszkanie tutaj ma dobre strony. Na środkowym zachodzie nie było takich poranków. Ani widoków.

Nagle drzewa się przerzedziły i musiał opuścić osłonę przeciwsłoneczną. Nie pomogło, ale dla Kierana nie miało to znaczenia. Dyspozytor powiedział, że komendant Swartzky jest nad urwiskiem. Dodał, że jeśli Joe chce zasięgnąć języka, to tylko u niego.

W Chicago skoczek-desperat nieczęsto sprawia, że reporterskie furgonetki ruszają z wizgiem opon. Tutaj samobójstwo było niemal jedynym zdarzeniem godnym opisania w gazecie - i dlatego Joego zastanawiała wczorajsza reakcja redaktora. Gdyby przyjechał tu w nocy, zaraz po wysłuchaniu policyjnego komunikatu, reportaż ukazałby się w wydaniu porannym. Ale Randy zgłosił sprzeciw.

Coś tu nie grało.

Wiatr przybrał na sile, gdy wóz jechał w dół stromego odcinka drogi. Drzewa ustąpiły krzewom i wtedy Kieran wyraźnie poczuł zapach oceanu. Woda musiała być bardzo blisko, lecz jeszcze jej nie widział - zasłaniało ją ostatnie wzgórze. Wcisnął pedał gazu i popędził wyboistą szosą, nie

zwracając uwagi na poskrzypywanie amortyzatorów. Z głośników płynął śpiew Elizabeth Fraser. Niezrozumiały, ale pełen ekspresji lament sugerował tajemnicę bogatą i kuszącą jak otaczający go krajobraz. Gdy głos wzniósł się ku niepojętej ekstazie, Joe wyjechał na otwartą przestrzeń. Tu droga skręcała, żeby ominąć ostatnie wzniesienie za lasem. Wreszcie Kieran nie tylko czuł i słyszał, lecz również widział ocean.

Fale łamały się leniwie na czarnych i zielonkawych głazach leżących na brzegu trzydzieści metrów poniżej drogi. Miarowy, na przemian głośny i cichnący szum fal hipnotyzował, zagłuszał muzykę z kasyty. Joe miał ochotę przekreślić kierownicę, zjechać z szosy i wyskoczyć z samochodu, by zanurkować w morzu.

Droga wiała się, schodząc coraz niżej, aż w końcu zjechał tuż nad granicę przypiływu wytyczoną przez wyrzucone na brzeg wodorosty i kawałki drewna. Wtedy je zobaczył.

Urwisko.

Wyrastało z plaży niemal pionowo - poszarpane skalne wzniesienie, które z szosy wydawało się wyższe od drapacza chmur. Samotna góra celowała w niebo niczym wyprostowany palec - nie wiadomo, wskazujący czy środkowy. Pod palcem, na brzegu lekko wzburzonej zatoczki stał wóz policyjny i ambulans ze zgaszonymi światłami.

„W tej chwili kogut już niepotrzebny - pomyślał Joe. - Od dawna nie ma pomyślu”.

Zaparkował przy starym radiowozie, zabrał notes i zszedł na brzeg, gdzie stało czterech mężczyzn. Trzech już poznał, ale zapamiętał tylko nazwisko komendanta Swartzky'ego. Miał włosy białe jak szron, a jego brzuchata sylwetka kontrastowała ze szczupłymi figurami młodszych towarzyszy.

Zażywny glina powoli pokiwał głową.

- Dzień dobry, Joe - powiedział głosem twardym jak żelazo i zarazem dziwnie łagodnym. Pomimo ogłuszającego huku fal reporter wyraźnie usłyszał cicho wypowiedziane słowa.

- Pamiętasz Alfiego? - Komendant wskazał ręką młodego blondyna w policyjnym mundurze. - A to Mack i Parent od Foltera.

Twarze dwóch chłopaków z ambulansu wydawały się nieprzyjemnie blade pod targanymi przez wiatr ciemnymi czuprynami. Patrząc na ich jastrzębie nosy i błękitne oczy, Joe odgadł, że są braćmi. Po minach obu było widać, że żaden nie pracował w zawodzie dość długo, by przywyknąć do widoku krwi.

- Cześć - skinął głową i uściśnął im dłonie.

Zaraz potem zobaczył, dlaczego obaj są zdenerwowani. Zwłoki jeszcze nie zostały zabrane. Wyglądały makabrycznie.

- Jak się nazywała ofiara? - zapytał Kieran. Choćby codziennie pił piwo z leżącym teraz parę metrów dalej samobójcą, nie miałby szans go rozpoznać.

- James Canady - odparł komendant. - Miejscowy, dziewiętnaście lat. Dobry dzieciak.

Joe ominął mężczyznę i podszedł do zwłok. Widok nie był przyjemny, a po wyciągnięciu ciała z wody miał się stać jeszcze gorszy.

„Śmierć musiała nastąpić natychmiast” - pomyślał. Ledwie wystająca z morza skalna iglica powstrzymała upadek chłopaka, ale nie opóźniła śmierci. Przebiła nagi brzuch, wypruła wnętrzności - zwrócone twarzą w dół ciało tkwiło na niej jak larwa na ostrzu pinezki. Cienki kamienny szpic sterczał z pleców na ponad pół metra.

Chłopak skoczył nagi. Po godzinach leżenia w wodzie skóra zrobiła się pomarszczona i trupio blada. Długie zwoje jelit pływały pod zwłokami, wijąc się i skręcając w falach jak niespokojna kobra.

Kieran odwrócił głowę. Przebiegł go dreszcz. Widział wiele zmasakrowanych ciał po strzelaninach gangów. Widział posiniaczone, pokiereszowane ofiary bójek. Ale wyprute wnętrzności zawsze przyprawiały go o ciarki.

- Dlaczego on wciąż tu leży? - zapytał komendanta.

- Dostaliśmy telefon, anonimowy, w środku nocy. Mógł dzwonić jakiś kawalarz, ale musieliśmy sprawdzić. Trwał przyływ, nie mogliśmy podejść do tych skał, a z drogi niczego nie było widać. Wróciliśmy za dnia. O tej porze, jak widzisz, nie trzeba wypatrywać oczu. Niedawno zaczął się odpływ.

- Powiadomiono rodzinę?

- Miał tylko matkę, Rhondę Canady. Tak, dzwoniłem do niej parę minut temu. O dziewiątej będzie w kostnicy, żeby zidentyfikować zwłoki.

Swartzky popatrzył na kierowców.

- Do roboty chłopaki! Im dłużej tam będzie tkwił, tym gorzej.

Mack i Parent wymienili ponure spojrzenia, wzruszyli ramionami. W końcu ciężkim krokiem ruszyli na brzeg i weszli do wody.

- Mack chodził z nim do szkoły - wyjaśnił komendant, kręcąc głową.

- Miał problemy rodzinne?

- Kto, Mack?! - Swartzky uśmiechnął się kwaśno, ale Joe zachował neutralną minę. - Nie. Nie większe niż każdy inny, jak sądzę. Spokojny dzieciak. Mieszkał z matką w starej części miasta po drugiej stronie zatoki. Nigdy nie słyszałem,

żeby sprawiał jakieś kłopoty w szkole czy w mieście.

- Jest pan pewien, że to samobójstwo?

Policjant milczał przez chwilę. Zamiast odpowiedzieć, popatrzył na szczyt urwiska. Kiedy spojrzął z powrotem na reportera, jego oczy były szare ze zmęczenia.

- Nic nie wskazuje, że nie było.

Mack i Parent stanęli po obu stronach trupa. Razem chwycili go za ramiona i uda, pociągnęli w górę. Ciemna plama rozpląnęła się w wodzie, gdy zsunęli ciało z iglicy. Wynieśli je szybko na żwirowy brzeg. Mack pobiegł po nosze. Joe od razu zauważył, że chłopak był zielony na twarzy. Wyławianie flaków z wody nie jest przyjemnym zadaniem. Zwłaszcza gdy flaki należą do kolegi.

Kieran wrócił do komendanta. Zachowanie Randy'ego dało mu do myślenia. Z tym urwiskiem musiała wiązać się jakaś historia, a kto mógłby znać ją lepiej niż Swartzky?

- Macie tu wielu takich samobójców?

Szare jak stal oczy policjanta nawet nie drgnęły.

- Czemu tak myślisz?

- Miejsce jak dla nich stworzone, to wszystko.

- Było ich paru. - Komendant pokiwał głową. Patrząc na skalny palec, powiedział: - Ale nie nadajemy sprawom większego rozgłosu. Nigdy nie wiadomo, jak zareagują dzieciaki. Niektórzy doszukają się w tym romantyzmu i nagle cała klasa skoczy ze skały. Rozumiesz, zdarza się, że po samobójstwie gwiazdy rocka paru fanów robi tę samą głupotę. - Swartzky popatrzył znacząco na reportera. - Dlatego zachowujemy dyskrecję.

Ale Joe już wyobrażał sobie trzyczęściowy cykl artykułów poświęcony samobójstwom, historii urwiska i pomocy psychologicznej.

- Gdzie mogę popytać o innych?

- Niech spoczywają w pokoju - odparł komendant tym swoim cichym, lecz dudniącym głosem i nagle odszedł do furgonetki. - Mack! - ryknął.

Kierowca wysunął głowę przez okno. Zamienili parę słów, których Kieran nie usłyszał, a potem ambulans odjechał.

Komendant wsiadał już do radiowozu, gdy nagle znieruchomiał.

- Joe!

- Tak?!!! - Reporter musiał krzyczeć, żeby nie zagłuszył go huk fal.

- Ludzie nie chcą, żeby im przypominać o przyjaciółach i bliskich, którzy odebrali sobie życie. Nie odgrzebuj tych spraw. Napisz, że Canady odszedł i zamknij sprawę, słyszysz?

Kieran pokiwał głową i ruszył do swojego samochodu.

Teraz był jeszcze bardziej zaciekawiony.

Dowiedział się, że są sprawy do odgrzebania.

Rozdział III

- Prawie po wszystkim, prawda?

Karen Sander ze zmęczeniem przegarnęła ręką długie do ramion, lekko kręcone włosy. Tego ranka znalazła siwy. Siwy! Wyrwała go, ale ukłucie bólu nie zdusiło uczucia, o jakie przyprawiło ją to odkrycie. Była przybita. Kiedy straciła wszystko inne? Kiedy wszystko inne zostało jej odebrane?

- Nie sądzę, żeby to kiedykolwiek się skończyło - odparła. Jej głos wyrażał zmęczenie, jakie czuła, patrząc w lustro. Odbicie było dostatecznie przygnębiające i bez tego srebrzącego się zwiastuna śmierci.

„Czarne oczy, zimne i puste...” - przypomniała sobie.

- Przecież została tylko Rachel - upierała się druga kobieta.
- Jeśli wytropi Andi, krąg się zamknie. Wszystkie będziemy miały to za sobą. Umowa zostanie wypełniona. Sprawa zostanie zamknięta.

„Śmiech - niski i ponury. Głos: *Czyście słyszały, dziewczęta, o markizie?*”

Przyjaciółka Karen wpatrywała się w wilgotny krąg na blacie kuchennego stołu. Palcem wskazującym rysowała idealne kółka. Nagle przekreśliła je jednym pociągnięciem.

„Udo krzyżuje się z jej udem, rozsmarowuje krew, ciepłą i lepka. Krew nie ich, lecz...”

- Dlaczego myślisz, że skończy się na dzieciach? - Głos Sander był cichy, przepojony bólem. I strachem. - Przez wszystkie te lata skupiałyśmy uwagę na dzieciach. Nigdy nie myślałam, że mogłabym to zrobić. Ty też nie, prawda?

Jej towarzyszka skinęła głową, łzy zamgłiły jej szare oczy. Karen znów ujrzała siebie taką, jak przed laty:

„Oszałałe, nabrzmiące od pocałunków usta, obnażone piersi pomalowane jej krwią... krwią, którą On je ochrzcił...”

Ale zrobiłaś - zaznaczyła jej przyjaciółka. - Wszystkie zrobiłyśmy. On zmusił nas do dotrzymania umowy. Z pewnością może zmusić nas do czegoś więcej. Co robi, gdy w końcu ostatnie dzieci odejdą?

Są inni - uspokajała Sander. - Mnóstwo ludzi, z którymi nic nas nie łączy. Zawsze byli. Wszystkie wywiązałyśmy się z umowy, z wyjątkiem Rachel. Myślę, że po Andi On zostawi nas w spokoju. Będzie zabierał innych, to wszystko.

„Krew z rany na czole spływa jej po policzkach, lecz żadna tego nie widzi. Czarne, puste oczy patrzą na nie, czarne, puste usta śmieją się z nich nie jej głosem...” - myślała, przez chwilę patrząc tępo przed siebie, potem pokręciła głową.

- Czym jest umowa dla potwora?

„Złożmy drobną obietnicę - powiedział. - Zawrzyjmy Przymierze...”

Druga kobieta zaczęła płakać. Karen wstała, ze zgrzytem odsuwając krzesło i objęła ją, bez powodzenia próbując uciszyć rozpaczliwy szloch.

Rozumiała ból - spiralną otchłań rozpaczy, która sięgała coraz głębiej w ciemność. Ten piekielny, sekretny ból był zrozumiały tylko dla nich - dziewcząt, które nie wiadomo kiedy stały się siwiejącymi kobietami.

Nie śmiały zerwać Przymierza, choć nie miały pewności, czy ich dobroczyńca zrobi to, do czego się zobowiązał. Umowa była bardziej niż święta, zwłaszcza dla niego.

Została spisana krwią. I dotyczyła czegoś więcej niż ich dusz.

Przytulając przyjaciółkę, Karen też się rozplakała. Nie nad sobą, nad dziećmi.

Rozdział IV

- A ostatnia część cyklu mogłaby dotyczyć psychologicznego aspektu problemu. Mogę pogadać ze znajomym psychiatrą z uniwersytetu w Chicago, jak rozpoznawać skłonności samobójcze u nastolatków i radzić sobie w przypadku utraty bliskich.

Randy patrzył na niego z niedowierzaniem.

W oszołomieniu.

Okazywał entuzjazm wegetarianina, który ma przed oczami piękny wysmażony stek.

- Jesteś absolutnie zdecydowany wetrzeć sól w rany tego miasta, no nie? - powiedział w końcu jak jakiś kaznodzieja. - Naprawdę nie rozumiesz? Kiedy zdarza się coś takiego, ludzie pragną zapomnieć. Nie chcą, żeby im przypominano. Opuść sobie. Napisz krótkie wspomnienie o Jamesie Canadym. Wystarczy parę suchych faktów i po sprawie. Dam to na siódmą stronę. Potrzebny mi artykuł o renowacji teatru Presthill do działu weekendowego, więc weź się do roboty i przestań marnować czas na zwykłe samobójstwo.

Redaktor sztywnym krokiem poszedł do pokoju, w którym przygotowywano makiety. Większość gazet przeszła na skład komputerowy, ale nie „Terrel Daily Times”. Tutaj drukarki wciąż wypluwały teksty na długich paskach grubego, błyszczącego papieru o szerokości kolumny. Paski cięto i naklejano kolumna po kolumnie na płachty papieru wielkości porannego wydania. Po zakończeniu tej wycinanki i naklejanki fotografowano każdą stronę za pomocą starożytnego aparatu, który dorównywał rozmiarem małemu samochodowi. Ale rano nie było tam jeszcze po co chodzić. Randy po prostu dał nogę.

Jednak reporter musiał wiedzieć. Teraz to był nie tylko

temat. To była misja.

Nikt - NIKT - nie miał prawa mówić Joemu Kieranowi, żeby odpuścił sobie temat. Między innymi ten prosty fakt sprawił, że Joe wybrał wygnanie do Terrel, do tej zapadłej dziury, zamiast wspinać się po szczeblach kariery w chicagowskiej „Tribune”. Takie były konsekwencje dociekania prawdy. Zrezygnował, bo nie miał dziewięciu żywotów, żeby poświęcać je kolejno w imię zaspokojenia ciekawości.

Ani dziewięciu serc. Miał jedno, które zgubił w Chicago...

W pokoju redakcyjnym panowała cisza - o tej wczesnej porze człowiek miał szczęście, jeśli zastał w budynku trzy osoby naraz. Kieran z rezygnacją wzruszył ramionami, zostawił Randy’ego w pokoju makiet i wolnym krokiem udał się do oazy śmieciowego żarcia. Automat stał we wnęce w pobliżu miejsca, które poza biurkiem z komputerem było dla niego najważniejsze w redakcji. To słabo oświetlone, zatechłe pomieszczenie zastawione szeregami regałów nazywano „kostnicą”. I przechowywano w niej numery archiwalne.

Joe wiedział, że przerzucenie stert żółknących gazet byłoby dla niego najwygodniejszym sposobem na rozpracowanie urwiska i poprzednich samobójstw. System organizacji był dziecinnie prosty: każde nowe wydanie kładzono na poprzednim. Kiedy półka zaczynała się uginać pod ciężarem gazet, zaczynało budowę następnego stosu. Raz na jakiś czas ktoś nawet opisywał jaki w przybliżeniu okres obejmują kolejne sterty i naklejał kartki na półki. Czyli w sumie żaden problem, żeby odgrzebać stare sprawy. Problemem był natomiast Randy, który złapawszy Kierana na drażnieniu tego tematu, natychmiast znalazłby mu coś innego do roboty. Sprawozdanie z zebrań kółka hafciarskiego czy inną relację z konkursu strzyżenia trawników.

Reporter przez chwilę wpatrywał się w puste cienie

„kostnicy”. Potem wrzucił dwie ćwierćdolarówki w szczelinę automatu i wystukał C4, nawet nie patrząc na ofertę w przeszklonej gablocie. C4 oznaczało chrupki Bugles. Codziennie kupował torebkę.

- Dlaczego nie kupisz całego pudełka? - zapytał Randy jakiś czas po przyjęciu go do pracy w redakcji.

- Nigdy nie wiadomo, czy te w pudełku są świeże - wyjaśnił Joe z szerokim uśmiechem. - Te tutaj... - podniósł torebkę i wskazał ją drugą ręką - są świeżutkie. Posłuchaj.

Skruszył chrupka na pokaz.

Teraz zrobił to znowu, uśmiechając się do przypadkowego wspomnienia. Ale myśl o tamtej niefrasobliwej rozmowie natychmiast przypomniła mu o nietypowym ponuractwie, jakie już wczoraj dopadło szefa. Ruszył korytarzem, oddalając się od pokoju redakcyjnego i zapukał do drewnianych drzwi bez żadnej tabliczki.

Nikt nie odpowiedział, ale Kieran czekał cierpliwie. Wreszcie usłyszał metaliczny szcęk otwieranego zamka i przekręcanej klamki.

- Cześć Joe, czego chcesz?

Z ciemnej stróżówki spojrzała na niego pomarszczona twarz George'a Polańskiego. Staruszek pracował na niepełny etat, ale wszyscy wiedzieli, że w pewnym momencie zaczął tutaj sypiać. Reporter zastanawiał się, czy wciąż ma dom lub mieszkanie, w którym trzyma swoje rzeczy. Budził dozorcę z drzemki na łóżku polowym tyle razy i o tak dziwnych porach, że zaczął w to wątpić.

- Słuchaj George, nad czymś się zastanawiałem.

- Tak? Nad czym? - Staruszek zachichotał i gestem zaprosił go do środka. Zamknął drzwi kanciapy pełnej kubłów, szczotek i detergentów. - Siadaj.

Wskazał względnie wolne miejsce na łóżku. Joe usadowił

się obok sterty czasopism, puszki tytoniu i niedokończonego pasjansa. George wyciągnął siedemdziesięciopięciolitrowy kubek z resztką wosku do podłóg. Przysiadł na nim, stękając, i pokręcił głową.

- Grzbiet już nie taki, jak kiedyś - powiedział. - Ale mów, Joe, co cię sprowadza. Minęło sporo czasu, odkąd bawiłeś w tych stronach.

- Słyszałeś, że wczoraj w nocy ktoś skoczył z Góry Terrela, prawda?

Staruszek powoli pokiwał głową.

- Smutna sprawa.

- Tak, nikt nie chce o niej mówić.

Dozorca przyjrzał mu się uważnie. Nakryte ciężkimi powiekami oczy, niebieskie i przenikliwe, patrzyły w niemal bolesnym skupieniu. Kieran zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił, przychodząc do George'a. Czy stary też odeśle go z kwitkiem? Nagle nikły, smutny uśmiech wykrzywił wargi stróża i pogłębił zmarszczki na jego twarzy.

- Coś ci opowiem, Joe - zaczął Polański, potrząsając palcem przed nosem gościa. - Nie rób notatek, tylko słuchaj. Gdy byłem młodszy, przyjaźniłem się z pewnym bankierem. Facet przez całe życie miał do czynienia z ryzykiem i grubą forszą. Zawsze mówiłem, że musi mieć żołądek wybity ołowianą blachą, bo inaczej napięcie w jakim żył, wypaliłoby w nim dziurę na wylot. Ryzykował jak wariat, ale z początku dobrze mu się wiodło. Później wiele jego inwestycji poszło na marne. A jak szczęście raz go opuściło, to już na dobre. Żona przemieniła się we wredną, złośliwą jędzę. Zostawiła go, gdy miał czterdzieści trzy lata. Dzieciaki się wyniosły. Zaczął wojować ze skarbowką i zjadły go podatki. Federalni przejrzeni księgi, bank stał się niewypłacalny. Jednak facet przetrwał to wszystko i zawsze się uśmiechał. Wiesz, miał

taki uśmiech, który mówi: „Postawię ci piwo, ale wejdź mi w drogę, a wyrwę ci wątrobę”. Raz powiedział mi w zaufaniu, że załamał się i płakał, kiedy pewnej nocy zabrał kobietę do domu i nic z tego nie wyszło. Impotencja, tak to nazywają. Nie cały był z ołowiu.

George umilkł i powoli pokręcił głową.

- A teraz posłuchaj innej historii. Opowiem ci o Margaret Kelly. Była dobrą dziewczyną, miała dobre stopnie, umawiała się z porządnymi chłopakami. Mieszkała w ładnym domu, dogadywała się z rodziną. Jej rodzice są mili, znam ich. Trafiła na doskonałą uczelnię, dostała stypendium, mówiła, że zostanie lekarzem. Na oko szczęśliwa nastolatka. Wiesz, Joe, jaka jest różnica między moim przyjacielem a Margaret Kelly?

Kieran wzruszył ramionami, choć zaczęło mu świtać do czego zmierza stary stróż.

- W zeszłym roku Margaret Kelly znaleziono na skałach u stóp urwiska, a mój przyjaciel wciąż mieszka przy ulicy Drugiej. Nie jest zbyt szczęśliwy, ale żyje. Powiem ci, jeśli w tym mieście ktoś powinien popełnić samobójstwo, to on, nie Margaret Kelly, która miała po co żyć.

Zdawało się, że staruszek stracił wątek. Wbił oczy w coś za plecami gościa. Joe zerknął przez ramię i zobaczył tylko białą ścianę pobrudzoną farbą drukarską.

- Margaret i James nie są jedynymi dziećmi, które skoczyły z urwiska - podjął George. Jego spojrzenie, znów ostre, wwierte się w twarz reportera. - Coś spycha ich z krawędzi, Joe, i na pewno nie jest to złe życie. Zdaje mi się, że większość tych, którzy ze sobą skończyli, naprawdę miała szansę wyjść na ludzi i wynieść się w diabły z tego zasranego zadupia. Nie wiem, czy można tu mówić o samobójstwie.

- Jeśli nie samobójstwo, to co? Myślisz, że ktoś ich

spycha? - Kieran uznał, że teoria jest interesująca. Może gliny nie chcą nagłaśniać sprawy, dopóki nie wytropią zabójcy?

Polański z namysłem ściągnął nastroszone brwi, pokręcił głową.

- Sam nie wiem, co myśleć. Ale wiem, że niezdrowo się tam kręcić.

- Kto jeszcze spadł z urwiska, George? Ktoś z rodziny Randy'ego?

Dozorca milczał, wpatrując się w podłogę. Nagle wstał i otworzył drzwi.

- Muszę sprawdzić klimatyzację, Joe. Cieknie w biurze Jacka Romanda.

Reporter zrozumiał sugestię i wyszedł na korytarz.

- Chcesz poznać historię miasta, pogadaj z Angeliką Napoli - mruknął stróż. - Ona widzi wszystko, a nawet więcej.

Kieran skinął głową i odwrócił się, żeby pójść do redakcji. Jednak George zastąpił mu drogę.

- Joe... - zaczął Polański, jednak nie chciał na niego spojrzeć. Spuścił oczy. Worki pod nimi obwisły. - Trzymaj się z daleka od Góry Terrela. Zaufaj staremu w tej sprawie.

Rozdział V

W czasie jazdy główną ulicą Terrel przybysza opadało uczucie pewności. Uczucie trwałości i ciągłości historii.

Domu.

Joe poczuł to, gdy pierwszy raz jechał przez miasto. Wrażenie zakradło się cicho, zupełnie jak zaćmienie: w jednej chwili widzisz biały dzień, w następnej pytasz, kto zgasił słońce. W jednym momencie błąkasz się po wsi, w następnym pcha ci się na twarz błogi uśmiech, bo jesteś w środku miasteczka zwanego Terrel. Właśnie przez to wrażenie powrotu do bezpiecznego łona Joe postanowił tu osiaść.

„Albo się ukryć” - dopiekło mu sumienie.

Witryny sklepów były szerokie, przyjazne, zachęcające, drzwi osłonięte markizami w zielone, złote, szkarłatne i turkusowe pasy. Na każdej werandzie leżały wycieraczki z napisem „Witamy”. Stare ceglane domy miały drewniane wykończenia z ozdobnymi gzymsami. Nad sklepami na pierwszym i drugim piętrze mieszkali właściciele albo lokatorzy.

Obecny burmistrz, romantyk i miłośnik historii, postawił nowe, stylizowane latarnie. Czarne słupy pełne zawijasów wyciągały ramiona ze sztucznymi lampami gazowymi. Plac przy Main Street, naprzeciwko poczty i ratusza, nadal był wybrukowany czerwonymi kocimi łbami, a nie zalany asfaltem.

Kieran nie palił, ale zawsze z przyjemnością patrzył na sklep tytoniowy „Nabij fajkę”. Podobał mu się także sklep dla hobbystów z modelami pociągów i wielkimi reklamami firmy „Lionel” w oknach. Jednak ani razu nie wstąpił do środka, za to wiele godzin spędzał na szperaniu w „Książkach

i drobiazgach”, gdzie stopy zakurzonych, podniszczonych powieści leżały obok kaset z nagraniami Donnie Osmonda.

Dzisiaj jednak bezprzykładowy spokój Main Street nie skłaniał go do uśmiechu. Joe dostrzegał dotąd niezauważalne szczegóły. Tu z białych okiennic łuszczyła się farba, tam w oknie sklepu z miejscowymi wyrobami leżały tradycyjne szmaciane lalki z etykietkami „made in Taiwan”. Doszedł do wniosku, że w Terrel nic nie jest tym, na co wygląda.

„To głupie - zbeształ się w duchu. - Chłopak skoczył z urwiska. To samo zrobiło wielu ludzi, których nikt by nie posądzał o chęć rozstania się z życiem. I co z tego? Co ma do rzeczy wygląd miasta?”

Problem polegał na tym, że dzisiaj w oczach Kierana Terrel wydawało się inne.

Chore.

Puste.

Dwadzieścia cztery godziny temu przypominało wyidealizowany obraz Rockwella. Teraz coś zaczynało pękać. Może dlatego, że od czasu przeprowadzki trafił na pierwszą prawdziwą historię do rozpracowania.

„Podobnie jak w Chicago, tutaj też są ukryte jakieś tajemnice - podpowiadała mu intuicja. - Przytulne ciepło może być zapowiedzią morderczego ognia”.

Po rozmowie z George'em Joe zajrzał do książki telefonicznej. Angelika Napoli mieszkała na Main Street 2193.

Joe śledził numery rosnące od magistratu oznaczonego tabliczką: MAIN STREET 1001. W miarę jak się oddalał od centrum miasta, budynki z czerwonej i szarej cegły ustępowały podniszczonym piętrowkom i białym wiejskim domom.

Właśnie na jednym z nich zobaczył numer 2193. Typowy, niczym niewyróżniający się biały, drewniany budynek... ściśle mówiąc, niegdyś biały. Farba szarzała pokryta brudem i pleśnią. Ogródek zarósł, a nieprzycinane gałęzie drzew przysłaniały znaczną część fasady. Przez trzy strzeliste świerki dom wydawał się mniejszy, niż był w rzeczywistości, wyłożona kamieniami ścieżka biegnąca od żwirowego podjazdu do drzwi ginęła wśród chwastów. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem:

WRÓŻKA ANGELIKA

- To kawał! - Kieran parsknął śmiechem, nie wysiadając z wozu.

A więc George skierował go do wróżki po informacje na temat historii miasta! Czy nie przypominało to chodzenia do cyrku w celu poznania praw fizyki?

Przekreślił kluczyk i zgasił silnik, ale wciąż siedział w samochodzie.

„A może jednak ona jest najlepszym źródłem - pomyślał. - Chcąc wróżyć, musi jak najwięcej wiedzieć o ludziach. To ma sens!”

- No i źródło to źródło. - Wzruszył ramionami i wysiadł z wozu.

Gdy podniósł rękę, żeby zapukać w zewnętrzne siatkowe drzwi, wewnętrzne uchyliła atrakcyjna kobieta o ciemnej karnacji.

„Dobry pokaz zdolności parapsychicznych - pochwalił ją w myślach. - Musi mieć gdzieś przed domem czujnik ruchu”.

- Proszę, przyjacielu, proszę - powiedziała, otwierając drzwi. - Jesteś tu mile widziany.

Wszedł do wąskiego korytarza, przyglądając się gospodyni.

Była niska, szczupła, miała seksownie niesforne kruczoczarne włosy i oczy zbyt ciemne, żeby rozpoznać ich kolor. „Ale przesadza z makijażem” - pomyślał. Jej policzki były szkarłatne od różu, a rzęsy ciężkie od tuszu. Ramiona Angeliki Naponi okrywała długa, zwiewna peleryna w odcieniach pomarańcza, złota i fioleto. Joe spostrzegł, że pod krzykliwym atrybutem swojej profesji nosi niebieskie dżinsy i białą bawełnianą koszulkę. Zatrzymując na chwilę spojrzenie na nosie kobiety, uznał, że przynajmniej włoskie nazwisko miało uzasadnienie.

- Proszę za mną - zaprosiła melodyjnym głosem. Ruszyła pierwsza, wskazując drogę obok ciemnej jadalni do pokoju, który kiedyś zapewne był sypialnią. Kiedyś.

W wejściu wisiały sięgające podłogi sznury przejrzystych koralików połyskujących złotem i srebrem. Drzwi zostały wyjęte, ale nikt nie zadał sobie trudu, żeby usunąć zawiasy. Angelika rozsunęła koraliki i usiadła przy stoliku. Zanim Joe przestąpił próg, zdążyła zapalić dużą, czerwoną świecę.

Kieran rozejrzał się po pokoju. Niewielki stół i dwa krzesła z wysokimi oparciami, na ścianach gwiazdy i astrologiczne symbole, opuszczone rolety.

„Skąd my to znamy?” - zapytał sam siebie z ironią.

- Usiądź - powiedziała, wskazując drewniane krzesło. Może i miała włoskie korzenie, ale jej akcent był udawany. - Pokaż dłonie.

- Proszę posłuchać, pani Naponi, nie...

- Mów mi Angelika, nalegam - wymruczała.

- Posłuchaj Angeliko, nie przyszedłem po wróżbę z dłoni.

- Mam w takim razie powróżyć z tarota? Proszę, wyłóżę ci twoje życie. - Wyjęła talię i zaczęła rozkładać karty. Na ich grzbietach widniały tajemne runy i figury. Odwróciła jedną i uśmiechnęła się promiennie.

- Ach, król pucharowy! - Odłożyła go na bok. - Masz u boku prawdziwego przyjaciela. Teraz ty. Którą kartę wybierasz?

- Mówię poważnie, chcę tylko z tobą porozmawiać.

- Czas to pieniąż, przyjacielu. - Choć się wyprostowała, dwie iglice po obu stronach oparcia krzesła znajdowały się wysoko nad jej głową. Wyglądała jak dziewczynka, która dla zabawy usiadła w fotelu mamy.

Joe od początku miał wrażenie, że sprawa jest beznadziejna, ale skoro już tu przyszedł, musiał kontynuować. Sięgnął po portfel i wyjął pięć dolarów.

- Wystarczy?

- Może na wynajęcie fachowca od przewracania naleśników - powiedziała uszczypliwie. - Albo, jeśli wolisz, wypożyczenie kasety „Przeminęło z wiatrem”. Możesz też kupić powieść w miękkiej oprawie. A nawet zapłacić jasnowidzowi, który spojrzy na splątane ścieżki twojego żywota i pomoże ci je rozwikłać...

Kieran podniósł się, żeby wyjść. Ciągnięcie tej rozmowy uznał za stratę czasu. Angelika przytrzymała go za rękę.

- Tak się składa, że w tej chwili nic mnie nie nagli i jestem ciekawa, z jakiego powodu przyszedłeś.

Pięć dolarów niepostrzeżenie znalazło się w jej dłoni.

- Porozmawiamy pięć minut. Później zdecydujesz, czy chcesz wiedzieć więcej. I za ile.

Angelika usiadła wygodnie, krzyżując na piersi smukłe ręce obwieszone podzwaniającymi bransoletami. Czy wiedziała, jak głupio wygląda i mówi?

- Chcę porozmawiać o Górze Terrela - zaczął, pilnie obserwując jej reakcję.

Twarz wróżki pozostała obojętna, ale ręce się napreżyły.

- Śmiało - zachęciła.

- Chciałbym się dowiedzieć, kto i kiedy popełnił tam samobójstwo.

Pięciodolarówka nagle pojawiła się z powrotem na stole.

- Nie biorę pieniędzy za rozmowy na takie tematy - syknęła Angelika i wstała. - Kto cię przysłał, żebyś się ze mnie naśmiewał? Karen? Monika?

Gdy podniosła głos, straciła akcent. Przez sekundę Joe widział małomiasteczkową gospodynię domową w średnim wieku noszącą krzykliwy strój na codziennym ubraniu. Ale wróżka Angelika zaraz powróciła i jej włoski akcent również. Tylko wciąż miała w oczach ogień, choć odzyskała już panowanie nad sobą.

- Możesz odejść - oznajmiła królewskim tonem.

- Nie, to nie tak - zaczął z nagłym przekonaniem, że George przysłał go we właściwe miejsce. - Napisałem artykuł do dzisiejszej gazety o śmierci chłopaka Canadych, który w nocy skoczył z urwiska. Muszę dowiedzieć się czegoś więcej o tym miejscu. Nikt nie chciał mi nic powiedzieć. Znajomy napomknął, że ty możesz mi pomóc. Dlatego tu przyjechałem.

- Kto cię naśłał? - zapytała spokojniejszym głosem.

- Chyba nie powinienem tego mówić - odparł Joe, patrząc jej w oczy. - Ale żadna z kobiet, które wymieniłaś. Pewien starszy pan powiedział, że znasz historię miasta.

- Co do tego miał rację - przyznała. Podniosła palec do ust i spojrzała twardo na gościa. Krążąc po pokoju, muskała tym samym palcem jarmarczną kolekcję kryształów, błyskotek i paciorków. Na chwilę zatrzymała się przy zaśniezionym kluczu, który wisiał na gwoździu w pobliżu starych fotografii.

- Słuchaj uważnie. Powiem ci, co wiem. Wyglądziła ręką pelerynę, wróciła do stołu i usiadła na krześle.

Teraz, w świetle, miała piękne oczy. Wyraziste, kasztanowobrazowe, przysłonięte nienaturalnie czarnymi rzęsami. Patrzyła na niego w skupieniu znad złączonych czubków palców. Na każdym połyskiwał pierścionek.

- W urwisku mieszka zły duch, młody panie reporterze. - Pochyliła się nad stołem tak mocno, że poczuł na twarzy jej oddech. - Żywi się nie ciałami, lecz duszami ludzi.

- Mam na imię Joe - przypomniał.

Nawet nie mrugnęła, gdy jej przerwał i mówiła dalej łagodnym, cichym głosem. Zaczął rozumieć, dlaczego ludzie dają się jej naciągać. W oczach wróżki migotały iskry, usta rozchyłały się w sekretnym uśmiechu. Z pewnością umiała być przekonująca.

- Nie wiem, skąd pochodzi ani od jak dawna tu przebywa - szepnęła. - Może Górę Terrela nawiedzają duchy dawnych Indian? Może jest to złakniony ofiar duch ziemi, który stwierdził, że w tej epoce niewiary napelni brzuch tylko na drodze mordy? A może demon zakuty w łańcuchy, uwięziony do końca świata w trzewiach tej ciemnej skały? Pochodzenie ducha nie ma znaczenia, ważny jest jego głód. Co roku spycha z urwiska co najmniej jedną osobę, która ginie na okrutnych skałach. Głód jest wielki. I rośnie. W większości umierają nietutejsi. Włóczykije. Biznesmeni spoza miasta.

Pochyliła się w stronę Kierana.

- Stąpaj ostrożnie, Joe - ostrzegła szeptem i odwróciła głowę. Gdy znów na niego spojrzała, oczy jej się zaszklily. - Duch co roku żąda duszy przynajmniej jednego z tych, którzy zachodzą na przekłete wzgórze. A my, którzy tu mieszkamy, oplakujemy ich po cichu i w strachu. W strachu, bo nie wiemy, czy nas nie wezwie urwisko.

„Wygląda na to, że ta droga wiedzie donikąd” - pomyślał Kieran. Powinien być mądrzejszy i nie spodziewać się po

chiromantce niczego poza bajkami.

- Co można powiedzieć o paru ostatnich osobach, które skoczyły? - zapytał.

- Spotkały się ze swoim przeznaczeniem.

Angelika znów patrzyła na niego. Teraz jej ręce leżały płasko na blacie. Wyglądała tak, jakby szykowała się do skoku na równe nogi albo pchnięcia stolika w jego stronę.

- Tak podejrzewałem. Ale kim oni byli? Kiedy skoczyli?

- Po co chcesz to wiedzieć? - szepnęła. Jej twarz była biała jak ręce, które mocno przyciskały stół do podłogi.

- Bo chcę, to wszystko - warknął i skarcił się w duchu za poirytowany ton. - Widziałem, jak wyciągali z wody chłopaka Canadych. Komendant policji nie chciał o tym rozmawiać. Do licha, mój szef zakazał mi pisania na ten temat! Chcę wiedzieć, dlaczego ludzie skaczą. Tylko mi nie mów, że przez jakiegoś potwora zamkniętego w jaskini!

- Pięć minut minęło, Joe. Na resztę popołudnia mam umówionych lepiej płatnych klientów. Porozmawiamy innym razem.

Niemal wybiegła z pokoju. Gwałtownie rozsunięte sznury paciorków zderzyły się i splątały.

- Pewnie sam mam znaleźć drogę do drzwi? - Kieran uśmiechnął się lekko do pustego pokoju. Ruszył do wyjścia, ale jeszcze na chwilę przystanął w progu i spojrzał na stół.

Pięciodolarówka najwyraźniej uciekła z gospodynią.

Rozdział VI

Czasami po prostu nie wiesz, kiedy się wycofać - powiedział do siebie Joe, lustrując wzrokiem tłum na cmentarzu. - Po coś tu przyszedł? Ludzie tłoczyli się pod zielono-białym baldachimem, próbując uniknąć przedpołudniowego słońca. Pastor stał obok lśniącej dębowej trumny. Kieran usłyszał znajomą frazę: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”, gdy jego oczy wyłowiły znajomą twarz. Reporter powoli zaczął się przesuwając ku pierwszym szeregom na lewo od trumny. Starsza pani spiorunowała go wzrokiem, gdy zasłonił jej widok, ale zaraz przeprosił i przeszedł dalej. W końcu stanął obok upatrzonej osoby.

- Angelika?

Gdy go rozpoznała, zdziwiona wysoko uniosła brwi.

- Co tutaj robisz? - syknęła.

- W zasadzie nie wiem - szepnął, uśmiechając się półgębkiem. - Byłem na miejscu przestępstwa i tak dalej, więc uznałem, że wypada przyjść na pogrzeb.

Patrzyła na niego długą chwilę, jakby chcąc w jego oczach wyczytać inny powód. Potem spojrzała przed siebie, już nie zwracając uwagi na Joego.

Wzruszył ramionami i skrzyżował ręce na piersi. Porozmawia z nią po ceremonii.

W pierwszym rzędzie płakała korpulentna pani w szarej garsonce. Kieran założył, że to matka samobójcy, Rhonda Canady. Pastor, który podszedł i pochylił się, żeby zamienić z nią parę słów, potwierdził jego domysł. Inna kobieta, wysoka i chuda, przez cały czas trzymała Rhondę pod rękę. Poklepała ją delikatnie po ramieniu, gdy wielebny wrócił nad grób. Na jego znak dwóch mężczyzn zaczęło opuszczać drewnianą skrzynię do dołu.

- Co to za kobieta obok pani Canady? - zapytał Joe szeptem.

Angelika zmrużyła oczy, popatrzyła na niego ponuro i syknęła:

- Karen Sander. Chodziłyśmy z Rhondą do szkoły.

Liczba mnoga. Brak obcego akcentu. To zrozumiałe, skoro chodziła tutaj do szkoły. Czy ktoś mógłby wychować się w Terrel i mówić z włoskim akcentem?

Joe zerknął na nią podejrzliwie. Wcześniej nie wspomniała, że zna Rhondę Canady. Może właśnie z powodu tej znajomości George posłał go do niej. Jeśli przyjaźniła się z matką zmarłego chłopaka, mogła wiedzieć więcej niż się wydawało. Może więc stary stróż wcale nie chciał go wykołować.

- Dobrze znałaś Jamesa? - zapytał cicho.

- Nie - odparła szybko. - Jakiś czas temu moje stosunki z Rhondą znacznie się ochłodziły. A teraz muszę cię przeprosić.

Odeszła szybkim krokiem, gdy pani Canady rzuciła garść ziemi do grobu, w którym spoczęła trumna jej syna.

Kieran odczekał, aż tłum zacznie się rozpraszać. Wolnym krokiem ruszył w stronę grobu, przy którym pani Canady rozmawiała z pastorem.

- Pani Sander? - Delikatnie położył rękę na ramieniu jej towarzyszki.

Kobieta odwróciła się powoli, jakby ugrzęzła w smole. Miała zaczerwienione od łez oczy, stres pogłębił kurze łapki w ich kącikach. Ale piegi na nosie i policzkach, a także fale ciemnych włosów zachowały młodzieńczą świeżość. Zdaniem Joego wyglądała nieźle jak na czterdziestkę. Trochę stara, lecz niczego sobie... Pospiesznie przepędził tę myśl.

- Pani Sander, pracuję dla „Terrel Times”. Napisałem nekrolog, który ukazał się we wczorajszym numerze. Nie chcę niepokoić pani Canady, może pani mi powie coś więcej o Jamesie?

- Co chce pan wiedzieć? - odburknęła niechętnie grubym głosem, nie odrywając wzroku od głębokiego na metr osiemdziesiąt dołu.

- Słyszałem, że Góra Terrela pochłoneła wiele ofiar. Zastanawiałem się, czy James mówił o samobójstwie zanim to się stało. Albo czy przyjaźnił się z kimś, kto potem skoczył z urwiska.

- Chce pan wiedzieć, czyjego samobójstwo było wzorowane na innym? Czy był naśladowcą?

Wreszcie poświęciła mu więcej uwagi. Jej oczy z pustych jam przemieniły się w ogniste czarne dziury.

- Nie, proszę pani, niezupełnie. Chcę tylko wiedzieć, jakie...

- Jakie są nastolatki, które skaczą z urwiska, panie...?

- Kieran.

- Nastolatkiem, który skoczył z urwiska, panie Kieran, był mój syn William. Nastolatką, która skoczyła z urwiska... - wskazała szczupłą blondynkę rozmawiającą z Rhondą - ...była córka Moniki Kelly, Margaret. Nie ma szczególnego rodzaju nastolatków, które skaczą z urwiska. Są tylko martwe nastolatki, które to zrobiły. Przykro mi panie Kieran, w tej chwili nie chcę o tym rozmawiać.

„Dziwne” - pomyślał Joe, gdy Karen Sander odeszła szybkim krokiem, żeby dołączyć nad grobem do Rhondy i Moniki. W ciągu pięciu minut udało mu się odstręczyć od siebie dwie kobiety - i to na pogrzebie, gdzie ludzie powinni być serdeczni i dodawać sobie otuchy. Kto w końcu był przewrażliwiony na punkcie tego urwiska: on czy miejscowi?

Cholernie dziwne było też to, że dzieci trzech najwyraźniej przyjaźniących się kobiet postanowiły sprawdzić, czy umieją latać. Przypadek? Wszystkie znały Angelikę. Może powinien jeszcze raz odwiedzić wróżkę? Zdecydował, że tym razem zdobędzie trochę więcej informacji, zanim spróbuje pociągnąć ją za język. Potrzebował punktu podparcia, żeby nacisnąć na dźwignię. Przeszukanie „kostnicy” w redakcji zajmie mu wiele dni, ale gdy wyłuska parę nazwisk, będzie mógł przejrzeć zbiór mikrofilmów „Terrel Times” w bibliotece. Powinien w miarę szybko poznać daty, a także okoliczności śmierci Margaret Kelly i Williama Sandera. Wątpił, czy w nekrologach znajdzie coś pożytecznego, choć nie zaszkodzi spróbować.

Planowanie poszukiwań zaabsorbowało go całkiem i nawet nie spostrzegł, że po raz pierwszy od tygodni złapał wiatr w żagle. Pogwizdywał, idąc przez cmentarz do zaparkowanego wozu.

Rozdział VII

Cindy Marshfield rozplakała się dopiero po powrocie z pogrzebu. Łzy popłynęły jak czerwcowy ulewa. Zostawiła mamę na dole i uciekła do swojego pokoju. Wydawał się jej obcy, jakby należał do kogoś innego.

Leżała na łóżku i patrzyła w sufit. Po wielu miesiącach nieobecności powrót do dawnej sypialni przypominał wizytę w znajomym domu, przytulnym, ale cudzym. Oczy zaszyły jej łzami, gdy śledziła wzrokiem pajęczą sieć pęknięć w farbie na suficie. Przeżywała ponownie wydarzenia ostatnich dni.

Telefon zadzwonił, gdy była na zajęciach. Odebrała współlokatorka, Brenda, i to ona rozmawiała z jej mamą. Mogła przekazać wiadomość dopiero dwie godziny później.

- Mam złe wieści - powiedziała.

Cindy popatrzyła na nią z ciekawością, czekając na puentę, która powinna nastąpić po takim wstępie zwykle wesołej koleżanki. Ale Brenda się nie uśmiechnęła.

Wtedy Cindy podeszła i położyła jej ręce na ramionach.

- O co chodzi? Bill odwołał jutrzejszą randkę?

- Nie chodzi o mnie - wydukała współlokatorka. - To... James.

- Co się stało? - Cindy szeroko otworzyła oczy.

- On... Dzwoniła twoja mama. - Brenda delikatnie pchnęła dziewczynę, sadzając ją na łóżku.

- Co się stało? Mów!

Twarz Brendy nabrała dziwnego wyrazu. Usta ściągnęły się i otworzyły, potem zamknęły bez słowa. Wreszcie powiedziała:

- Wczoraj w nocy James skoczył z urwiska.

- Boże... O mój Boże!

Cindy nie czekała, aż wieści odbiorą jej siły. Zerwała się i

podbiegła do szafy. Wyciągnęła walizkę, rzuciła ją na łóżko.

- Co robisz? - zapytała Brenda. - Może zadzwonisz do mamy, zanim się spakujesz?

- Muszę jechać do domu. Muszę tam być. Powinam tam być. - Cindy osunęła się na chłodne płytki podłogi. - Nie powinnam go zostawiać. Powinam przewidzieć, że do tego dojdzie.

- Skąd mogłabyś wiedzieć? - zapytała Brenda i drgnęła, widząc czarną pustkę w oczach przyjaciółki.

- Wiedziałam, że jeśli zostanie w Terrel, będzie zgubiony jak wszyscy inni.

Te słowa rozbrzmiewały echem w jej głowie przez cały tydzień. Słyszała je, gdy ścisła panią Canady, klęcząc przed trumną dawnego chłopaka.

- Dlaczego nie wyjechałeś ze mną? - szepnęła. James nie odpowiedział.

Strasznie przeżyła czuwanie. Potem było jeszcze gorzej.

Kiedy kondukt zatrzymał się przy otwartym grobie, serce jej skamieniało.

„Już nigdy nie zobaczę jego twarzy - pomyślała, gdy żałobnicy nieśli trumnę przez trawnik. - Nigdy”.

Potem pastor mówił o Bogu, zabieraniu owieczek do nieba i tym podobnych bzdurach.

„Bóg nie ma z tym nic wspólnego!” - chciała krzyknąć.

Ale nie krzyknęła.

Patrzyła, jak sypią ziemię na trumnę, jak pani Canady, pani Kelly i pani Sander stoją przy grobie. Widziała, jak pani Sander rozmawia z młodym człowiekiem z notesem, a potem odchodzi z gniewną miną. Potem zobaczyła, jak ta wariatka, Angelika Napoli, wybiega z cmentarza przed wszystkimi innymi.

Później wróciła do domu i zapłakała.

Wciąż nawiedzała ją twarz Jamesa. Spoglądał na nią ze zdjęcia, które stało na starej białej komodzie. Na lustrze po drugiej stronie pokoju wisiały kotyliony z ich szkolnych potańcówek. Niemalże słyszała jego głos, gdy mówił, że nie wyjedzie na studia, że nie może opuścić Terrel.

Zakryła uszy rękami, pragnąc, aby ten głos stał się ciałem. Pragnęła, żeby James żył. I był z nią.

Ale w pokoju panowała cisza mącona tylko urywanym oddechem dziewczyny.

Rozdział VIII

Pomimo groźnych spojrzeń jastrzębiookiej starej pani Malone, bibliotece daleko było do cichego grobowca. Joe słyszał głosy uczniów plotkujących w przejściach pomiędzy regałami. Czytnik mikrofilmów, przed którym siedział, trajkotał we własnym języku: kółka zębate popiskiwały i klekotały, skarżąc się na długi bezruch.

Kieran przewijał ekran za ekranem, czytając nagłówki: wybory do rady szkolnej, prognoza pogody, dotacja strefowa na budowę hipermarketu Wal-Mart, zezwolenie na postawienie ogrodzenia przez panią Levinthal z Elm Street. Nekrologi nie były obszerne, ale wciąż obecne - głównie starsze osoby, które zmarły na atak serca i „z przyczyn naturalnych”. Parę utonięć, wypadki drogowe, nawet zabójstwo w rodzinie.

Pani Malone niewiele mu pomogła.

- Czego pan szuka młody człowieku? - zapytała, z niezwykłą przenikliwością przewiercając go wzrokiem.

- Chciałbym znaleźć nekrologi Margaret Kelly i Williama Sandera. Dwojga nastolatków, którzy rok czy dwa lata temu skoczyli z Góry Terrela.

- Tak. Pamiętam ich. Margaret była prawdziwym mołem książkowym. To straszne, co zrobiła. Ale nie przypominam sobie, kiedy to się stało. Zdaje się, że na jesieni, oboje. Może spyta pan rodziny? Wciąż mieszkają w mieście.

- Nie chcę sprawiać im przykrości - skłamał.

Bibliotekarka otworzyła drzwi pomieszczenia, które sąsiadowało z boksami do pracy indywidualnej. Wskazała rząd ustawionych za czytnikiem tekturowych pudełek nie większych od paczek papierosów.

- Tu są mikrofilmy „Terrel Times”. Nie sądzę, żeby

znalazł pan coś ciekawego. Nie piszą wiele o dzieciakach, które odbierają sobie życie. O takich rzeczach lepiej nie mówić - powiedziała i wyszła z pokoju.

Joe zaczął przewijać numer za numerem. Zaczął od grudnia ubiegłego roku, bo nie miał zbytniego zaufania do pamięci gderliwej staruszki.

Serce mu zamarło, gdy w numerze z 2 listopada wyłowił słowa „Góra Terrela” i „śmierć”. Niestety, nekrolog dotyczył niejakiego Parkera Matthews, lat 34, zamiejscowego akwizytora, który najwyraźniej zatrzymał wóz, żeby z krawędzi urwiska obejrzeć zachód słońca, a potem skoczył w ślad za nim.

Jeśli dopędził słońce, nie było o tym wzmianki.

Przewijał dalej. Zaczęła ogarniać go rozpacz, że nigdy nie znajdzie powiadomienia o śmierci nastolatków, gdy nagle zobaczył nekrolog:

Margaret Kelly, lat 18, zginęła tragicznie 22 maja. Czuwanie rozpocznie się dzisiejszegowieczora w domu pogrzebowym Foltera. Nabożeństwo żałobne odbędzie się jutro o godz. 11.00 w kościele św. Patryka. Rodzina uprasza, żeby zamiast kwiatów składać datki w imieniu Margaret na Fundusz Pokrzywdzonych Dzieci, 535 Arghate Way, New Brunswick, NJ 05250.

Tak, miał teraz datę, choć niewiele więcej. Nieco ponad rok temu. Kierując się przeczuciem, przewinął rolę do maja poprzedniego roku.

Znalazł nekrolog Williama Sandera.

Zginął 22 maja.

Kieran czuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Dziś był 26. Nekrolog Jamesa Canady’ego ukazał się dwa dni temu, czyli

24. Dzień po wydobyciu ciała z oceanu. To znaczyło, że James Canady skoczył z Góry Terrela w nocy 22 maja. Zbieg okoliczności, że troje nastolatków rok po roku dokładnie tego samego dnia popełnia samobójstwo?

Trzy lata pod rząd?

Do licha, co się tu działo?

Wziął następne pudełko z mikrofilmem. Odnalazł numer „Terrel Times” z 23 maja 2001. Z szaleńczo bijącym sercem przewijał gazetę do sekcji z nekrologami.

Nie znalazł żadnego.

Przejrzał klatki z 24 i 25. Nic. Nikt nie zmarł przez ostatni tydzień maja tego roku.

Joe zgarbił się na krześle.

W porządku. Łańcuch samobójczych śmierci nie był długi. Ale to, że troje nastolatków skoczyło z tego samego urwiska w ten sam dzień, rok po roku, nie mogło być przypadkiem.

Dlaczego akurat 22 maja?

Czyżby z jakiegoś powodu był to wyjątkowy dzień?

Kieran pozbierał rolki rozrzucone wokół czytnika i zaczął je chować do pudełek. Nagle znieruchomiał.

A jeśli łańcuch został tylko przerwany i zaczynał się na nowo w 2002 roku? I co z tą śmiercią w październiku?

Z powrotem wyciągnął film z 2003 i przewinął go w czytniku. Koła zębate protestowały coraz głośniejsze, gdy zbliżał się do końca października. 30 i 31 - nic. Jest. Nekrolog w numerze z 2 listopada. Oczywiście data śmierci była wcześniejsza, czyli...

No tak, 31 października 2003, Halloween.

Drżenie przebiegło mu wzdłuż kręgosłupa.

Coś mówiło reporterowi, że zamiejskowy akwizytor, który w ubiegłym roku skoczył z urwiska, wcale nie popełnił samobójstwa.

Przewiął film do końca i wsunął rolkę z jesieni 2002. Przejrzał numer z 1 listopada. Potem z 2. Nie znalazł doniesień o żadnej śmierci.

Jego uwagę przyciągnął za to artykuł poświęcony setnej rocznicy powstania miasta. „Terrel ma sto lat!” - oznajmiał z dumą nagłówek na pierwszej stronie.

Przebiegł wzrokiem treść tych nadętych bzdetów. Boże, czasami serdecznie nie cierpiał małomiasteczkowej pisaniny! Miał wrażenie, że czyta wypociny leciwej gospodyni domowej, która sądzi, że dziennikarstwo jest po prostu kreatywnym odpowiednikiem prowadzenia dziennika po zmyciu naczyń z kolacji.

Było to stulecie przemian. Telefon, radio, telewizja, samochód. Przez ten długi czas miasto Terrel Heights wraz ze swoimi obywatelami tuliło się do wybrzeża strzeżone przez wyniosłość Góry Terrela.

- Rzeka czasu przepłynęła przez Terre i zmieniła nas wszystkich, a jednak w pewien sposób jesteśmy tacy sami - powiedział burmistrz Pierce Harden podczas sobotnich obchodów stulecia w Memorial Park. Odludna strażnica założona przez Brodericka Terrela w roku 1893, na przelomie stuleci przerodziła się w niewielką, acz prężną osadę, która dziewięć lat później otrzymała prawa miejskie. Latarnia Terrela zapewniała bezpieczeństwo nie tylko statkom żeglującym wzdłuż spowitego przez mrok i mgłę wybrzeża, lecz także ludziom, którzy zaczęli tworzyć społeczność u stóp urwiska.

Z powodu zdrażliwych prądów w płytkiej,

skalistej zatoce, Terrel nigdy nie stało się przystanią wielkich statków handlowych, ale przez pewien czas gościło mniejsze jednostki, które zawijały tu w drodze z odległego o pięćdziesiąt mil Port Haven.

Po nagłej śmierci Brodericka Terrela latarnia morska popadła w ruinę i statki zaprzestały ryzykownych odwiedzin w małym porcie miasta. Latarnia, będąca najbardziej charakterystycznym obiektem w okolicy i zarazem pomnikiem założyciela miasta, została zniszczona w roku 1951 przez sztorm, który zrównał z ziemią również kilka domów w Terrel. Nie podjęto się jej odbudowy.

„Więcej niż muszę wiedzieć” - pomyślał Joe, przeskakując resztę artykułu. Terrel było zapadłą miejsciną, która poza widokiem nie miała praktycznie żadnych korzyści z oceanu. Ale najwyraźniej nawet podziwianie widoków nie było bezpieczne.

Nekrolog ukazał się 4 listopada.

Dwóch nastolatków, którzy pływali łódką u stóp urwiska, znalazło uwięzione wśród skał okropnie pogruchothane zwłoki. Koroner stwierdził, że kobieta zmarła w nocy z 31 października na 1 listopada wskutek urazu odcinka szyjnego kręgosłupa, przypuszczalnie w momencie uderzenia o skały pod szczytem. Krótki nekrolog informował, że przejeżdżała przez Terrel w drodze do krewnych w Wirginii.

„Szukać trzeciej ofiary we wcześniejszym roczniku?” - zapytał się Joe w duchu i założył następny film. Nie wierzył, to nie mogło być takie proste. Nie znajdzie nekrologu kolejnego samobójcy, który postanowił rozstać się z życiem

akurat 31 października. Wykluczone. A jednak czuł, jak serce bije coraz szybciej, gdy kolejny mikrofilm z 2001 hałaśliwie przewijał się w czytniku. Chciał dowieść, że nie zwariował, że faktycznie co roku w Halloween i 22 maja coś albo ktoś zabija ludzi na urwisku, którego cień codziennie kładł się na miasto. Z drugiej strony nie chciał, aby jego podejrzenia znalazły potwierdzenie. Co zrobi ze znalezionymi informacjami? Nie zdoła ich opublikować. Redaktor jasno dał to do zrozumienia. Policja najwyraźniej też nie była zainteresowana.

1 listopada 2001 - nic. Żadnych zawiadomień o śmierci.

2 listopada 2001 - jest!

Richard Chambers, lat 45, wczoraj rano został znaleziony na skałach pod Górą Terrela. Ofiara odniosła poważne obrażenia głowy i pleców wskutek upadku z urwiska. Z raportu koronera wynika, że zmarła 24-28 godzin przed znalezieniem ciała. Pan Chambers, przedstawiciel firmy komputerowej Elek-Tek, był w drodze na spotkanie w Sara Clair. Policja odszukała jego najbliższych krewnych. Pogrzeb odbędzie się w Queens w Nowym Jorku, skąd pochodził.

31 października 2000 - sprzedawca samochodów z Georgii.

22 maja 2000 - miejscowy chłopak, Bob O'Grady. Osiemnaście lat.

31 października 1999 - przejezdny z Kalifornii. Nazwisko nieznanne.

Żniwo śmierci z 22 maja 1999 - zero.

Nekrologi ukazały się jeszcze po trzech Halloween, ale w

maju nie. Wyglądało na to, że majową serię zapoczątkował Bob O'Grady.

Joe nie mógł nazwać tych zdarzeń inaczej, jak tylko zabójstwami. Tutaj nie chodziło o nastolatków bawiących się w naśladowcze samobójstwa ani o przypadkowych desperatów.

Teraz kolejne pytanie nie dawało mu spokoju.

Majowe morderstwa zaczęły się zaledwie pięć lat temu. Miały przerwę w 2001, ale i tak tworzyły wyraźny ciąg. Od kiedy trwały te halloweenowe?

Mikrofilmy skończyły się na roku 1985. Wtedy też ktoś zginął w Halloween. Joe spakował wszystkie rolki i zamknął notes. Może w bibliotece jest inne pomieszczenie ze starszymi filmami. Udał się na poszukiwanie pani Malone.

- Nie, przykro mi młody człowieku. Biblioteka zaczęła przynosić materiały na klisze w roku osiemdziesiątym piątym. Wie pan, wtedy dostaliśmy dotacje na zakup czytnika. Nawet nie próbowaliśmy mikrofilmować starszych numerów, ale od tamtej pory nie pominęliśmy ani jednego.

- Nie ma więc szans na znalezienie starszych roczników „Terrel Times”?

- Ależ są. - Pani Malone zaśmiała się głośno, widząc jego skonsternowaną minę. Ucichła nagle przestraszona, że przeszkadza czytelnikom. - Przechowujemy parę oprawionych roczników na zapleczu. Nie udostępniamy ich, bo dzieciaki źle się z nimi obchodzą. Mamy egzemplarze niemal tak stare jak miasto. Chociaż nie wiem, czy zdoła pan cokolwiek z nich wyczytać. Najstarsze praktycznie się rozsypują, gdy człowiek robi coś więcej, niż tylko na nie patrzy. Jeśli obieca pan zachować ostrożność, pozwolę je panu przejrzeć.

- Będę bardzo wdzięczny - wymamrotał. Pani Malone już

kiwała ręką, żeby wszedł za nią za biblioteczne biurko.

Otworzyła drzwi, skrzyła i nagle znaleźli się w innym świecie.

Zniknęły białe, wyłożone płytkami sufity i kremowe ściany czytelnicy. Zeszli po rozbrzmiewających echem betonowych schodach do ponurego pomieszczenia oświetlonego przez dwie gołe żarówki. Ściany były ceglane, powietrze chłodne.

- To nie to, co pokój do pracy indywidualnej, ale na górze mamy za mało miejsca. - Pani Malone wzruszyła ramionami, wskazując samotne biurko w kącie. - A tutaj znajdzie pan to, czego szuka.

Pod ścianą stał regał pełen segregatorów. Joe spostrzegł daty wypisane piórem na grzbietach. „TERREL DAILY TIMES” 1984 - odczytał na najbliższym. Jego oczy przesunęły się wzdłuż rzędu: 1980... 1974... 1958... 1930.

- Może pan pracować przy biurku - powiedziała pani Malone - albo zabrać potrzebny rocznik na górę.

- Szczerze mówiąc, chciałbym przejrzeć kilka. Będzie wygodniej, jeśli tu zostanę.

- Jak pan sobie życzy - odparła, z drzeniem pocierając ramiona. - Proszę zachować ostrożność i odłożyć segregatory na właściwe miejsca. Kiedy pan skończy, proszę wrócić na górę.

Jej kroki szybko ucichły na schodach. Joe został sam w piwnicy biblioteki.

Wyciągnął parę roczników i przeniósł je na biurko. Stare i drewniane zachwiało się pod ich ciężarem. Przysunął krzesło i zaczął czytać.

Żniwo śmierci rosło.

W 1980 miało miejsce coś, co wyglądało na egzekucję gangu. Na skałach u stóp Góry Terrela znaleziono niejakiego

Ricarda Hijuanę, lat 22, z Key West. Ręce miał związane za plecami, nogi skrępowane sznurem, który biegł wzdłuż kręgosłupa do knebla wepchniętego w usta. Ktoś splątał mu bardzo okrutnego halloweenowego psikusa.

W 1976 kolejna makabryczna śmierć: w czasie budowania zamku z piasku dziecko znalazło oderwaną rękę, a potem w różnych częściach zatoki wyłowiono inne fragmenty ciała niezidentyfikowanego białego mężczyzny. Według policyjnych raportów, ktoś przywiązał mu do paska łaskę dynamitu, podpalił lont, po czym zepchnął gościa z urwiska. Koszmarne fajerwerki z okazji dwóchsetlecia niepodległości Stanów Zjednoczonych.

5 listopada 1954 na plaży znaleziono na wpół zjedzone zwłoki niemowlęcia płci żeńskiej. „Dziewczynka nie żyła prawie od tygodnia” - napisano w gazecie. Policja nie odnalazła rodziców.

W 1948 dwóch uczniów szkoły podstawowej w czasie zabawy na plaży natknęło się na szczątki czarnej kobiety. Joe skwitował śmiechem rasistowskie stanowisko, jakie natychmiast zajęła gazeta:

Policja nie ustaliła tożsamości kobiety, jednakże wysunięto tezę, że mogła być poszukiwaną uciekinierkę.

- Wiele takich osób kradnie w nocy srebra i inne cenne przedmioty, a potem idzie brzegiem morza, szukając kogoś, kto wymieni je na zielone - powiedział komendant policji Billy Bob Grunson. - Z jakiego innego powodu ktoś spoza miasta miałby wałęsać się tam po zmroku? Być może kobieta była tak bardzo objuczona łupami, że ich ciężar ściągnął ją z urwiska.

- Sprawa zamknięta - parsknął pod nosem Joe.

W 1935 „Times” powiadomił czytelników o śmierci miejscowego. Doniesienie było dłuższe od tych z późniejszych lat.

Arnold Harver, lat 54, zmarł 31 października, gdy nieopatrznie zbliżył się zbyt blisko do niebezpiecznej krawędzi urwiska. Arnold przybył do Terrel z ojcem, Arturem Harverem, w roku 1910. Był jednym z założycieli miasta. W czasie wieczornych przechadzek często odwiedzał starą latarnię. Mawiał, że spaceruje przybliżając go do ducha przeszłości. Niestety, jak wielu innych, nie wziął do serca ostrzeżeń, że duch ten zbyt często odczuwa swoją żądzę krwi.

Joe z trzaskiem zamknął segregator ze starymi gazetami. W powietrzu zawirowały drobiny stęchłego, pożółkłego papieru. Nie wiedział co myśleć. Z początku założył, że w mieście grasuje jakiś psychopata, ale miejscowi gliniarze nie dostrzegają problemu, bo dla nich samobójstwa to samobójstwa. A nawet jeśli dostrzegają, nie chcą o tym rozmawiać z praktycznie nieznaną osobą.

Lecz jeśli wierzyć temu, co tutaj przeczytał, nie chodziło o seryjne zabójstwa. Chyba że całe miasto brało w nich udział.

Sprawa dotyczyła czegoś znacznie groźniejszego niż jeden świr ze sznurem i pragnieniem słuchania wrzasków ludzi, którzy spadają z urwiska.

Może w grę wchodził jakiś kult... albo duchy.

Kieran wywnioskował, że Góra Terrela jest nawiedzona.

Tylko że... nie wierzył w duchy. Mimo to nagle opadło go wrażenie, że cienie w tym stęchłym pomieszczeniu poruszają się za jego plecami.

Powiódł wzrokiem po milczących stertach książek i gazet.
Zabrał się do ustawiania segregatorów w wolnych miejscach.

Oświetlenie tej piwnicy nie koło mu nerwów.

Czuł zimny pot pod pachami i gęsią skórkę na ramionach.
Złapał notes - strzelbę załadowaną nazwiskami martwych
ludzi, obcych i miejscowych. Popędził po schodach na górę.

Dość poszukiwań jak na jeden dzień.

Rozdział IX

Cindy oddychała urywanie, gdy dotarła na szczyt urwiska. Piesza wycieczka z miasta była dość długa. Pot spływał jej po plecach, ale rześki wiatr znad zatoki niósł chłód.

- Myślałby kto, że bieganie na zajęcia poprawia kondycję - wysapała.

Klucząc wśród płataniny krzewów, pnączy i kęp ostrej trawy, dotarła na skalisty szczyt. Tutaj niewiele roślin oparło się ostremu słońcu, porywistym wiatrom i ulewom. Ale widok wart był wysiłku.

Prześliczny, jak z obrazka. Nigdy nie umiała opisać go kolegom ze studiów. Zdjęcia nie oddawały piękna, które uważała za coś zwyczajnego, bo tutaj się wychowała. W dole fale składały pienne pocałunki na zasłanej głazami plaży. Za skałami zieleniał ocean ciągnący się ku horyzontowi, nad którym zapadająca noc już malowała niebo fioletem. Od strony lądu kręta droga schodziła po zboczu i znikła w leśnym gąszczu, aby pojawić się ponownie tuż przed miastem.

Ze szczytu urwiska Cindy widziała dzwonnice kościoła św. Mateusza, kryty rdzawymi dachówkami dach hotelu Anderson i trawiasty pagórek na zachód od miasta, gdzie urządziła pikniki z Jamesem. W dole rozciągał się baldachim lasu poprzebijany przez czarne i zielone dachy domów.

Miarowy oddech oceanu pulsował w powietrzu, z dali płynął krzyk mew. Wracały do domu, do swych nocnych schronisk.

Dziewczyzna podeszła bliżej krawędzi.

Widziała miejsce, gdzie szara skała wysuwała się nad ocean dalej niż reszta płaskiego wierzchołka.

„Stamtąd skoczył - uznała. - Wszyscy stamtąd skoczyli,

czyż nie?”

Zbliżała się do tego miejsca powoli, z wahaniem. Jak do świątyni.

„Dlaczego? Co go opętało, że to zrobił?”

Słowo „opętało” zapuściło korzenie i powróciło echem.

Cindy osunęła się na kolana, a wówczas łzy przelały tamę, którą zbudowała w ciągu ostatnich kilku godzin chodzenia i rozmyślenia.

James nie chciał wyjechać z Terrel na studia, ale wierzyła, że lato spędzą razem. Liczyła, że nakłoni go do zmiany zdania. Uderzyła pięścią w udo.

Nawet nie zaczekał, żeby się z nią zobaczyć! Jeden tydzień, a byłaby przy nim. Spędziliby razem trzy miesiące. Może te trzy miesiące zapoczątkowałyby „na zawsze”, gdyby wszystko ułożyło się zgodnie z jej pełnym nadziei planem. Czy nie byli zakochani? Czy pod osłoną nocy nie przytulała go do piersi, odpowiadając sekretnymi słowami na jego szeptane obietnice?

Sprzeczne emocje rozdzierały jej serce. Chciała zbić Jamesa za to, że ją zostawił, a jednocześnie całować i błagać, by wrócił.

Wstrząsana szlochem na krawędzi urwiska nie mogła nic zrobić.

Rozdział X

Joe wcisnął C4 i patrzył, jak torebka Bugles spada z cichym chrzęstem. Wyjął chrupki z automatu i pogryzał je z zadowoleniem, dopóki nie wrócił do biurka.

Randy czekał na niego.

- Gdzie byłeś? - warknął. - Gazeta czeka. Przed szóstą muszę mieć artykuł o renowacji biblioteki i ten o zabezpieczeniach przeciwpożarowych!

„Cholera!”

- Przepraszam Randy, byłem w bibliotece, zbierałem materiały. Straciłem rachubę czasu. Ale obydwie teksty są prawie skończone. Daj mi jeszcze godzinę.

- Dobra, zabieraj się do roboty.

Tom Hicks, korektor, podniósł głowę znad opracowywanego tekstu i mrugnął do Joego. Wykrzywił twarz, przedrzeźniając rozżłoszczonego redaktora.

Kieran powstrzymywał się ze wszystkich sił, żeby nie parsknąć śmiechem. W końcu Randy ruszył do swojego biurka. Nagle przystanął w pół kroku.

- Aha, niemal zapomniałem. Był telefon do ciebie. Angelina? Nie, Angelika. No ta wróżka z południowej części miasta. Angelika Napoli. Podała ci swój numer. Nie chcę wiedzieć po co. Ale jeśli myślisz o wykorzystaniu jej jako źródła czegokolwiek, co nie dotyczy chorób umysłowych, możesz zabrać pióro, notes, dupę i wracać do Chicago.

- Nie ma obawy, mam tylko pytanko dotyczące linii na mojej dłoni - zażartował Joe, ale w duchu dygotał z podniecenia. Dlaczego do niego zadzwoniła? Czyżby zmieniła zdanie, widząc go na pogrzebie?

Siedział przy komputerze i próbował skupić się na doszlifowaniu artykułów do jutrzejszego numeru, lecz wciąż

słyszał jej fałszywy włoski akcent.

Podrasowując wypowiedzi pani Malone, żeby brzmiały bardziej inteligentnie, czuł na sobie oczy Randy'ego, który nie odpuszczał mu od tygodnia. W cholere z taką robotą! Im dłużej się pieprzył z tymi bzdurnymi tematami, tym bardziej tęsknił za Chicago. To zadupie było dobre może na wakacje, ale czy miało coś wspólnego z redakcją, w której wrze jak w ulu, w której wciąż urywają się telefony? Boże, czego by nie dał za porządny proces o zabójstwo albo korupcję radnego!

„Czy właśnie nie dlatego odszedłeś? - wytknął mu wewnętrzny głos. - Przerabianie ludzi na ofiary gazetowych rewelacji nie wychodzi na zdrowie. Ani duszy, ani ciała”.

Ale czy pisanie o nowych obrazach w bibliotece Terre było lepsze?

Skończył pracę o wpół do siódmej i wymknął się chyłkiem, żeby nie dyskutować z Randym o skrótach. Nie obchodziło go, co on i Hicks zrobią z oddanym materiałem. Miał na celowniku znacznie większy temat. Sęk w tym, że nie mógł o tym pisać.

Na razie.

Zapach spaghetti walczył w powietrzu z aromatem pieczonej na grillu wieprzowiny, gdy Joe wysiadł z samochodu przed swoją kamienicą.

„Pychota” - pomyślał, zazdroszcząc kucharzowi i jego domownikom.

- Pachnie bardzo ładnie, ale myślę, że dzisiaj wieczorem będziemy mieć coś lepszego - zażartował na głos. - Jakieś wyrafinowane danie z kuchni francuskiej. Powiedzmy, jankeską potrawkę a la głodómór.

Klucz nerwowo zagrzechotał w zamku. Kieran przekręcił gałkę i wszedł do mieszkania.

I zatrzymał się nad świstkiem papieru, który ktoś wsunął mu pod drzwi. Pochylił się i podniósł.

Żółta kartka formatu A4.

Złożona dwa razy.

Jedno zdanie:

Śmierć zwykle znajduje tych, którzy jej szukają.

„Co to znaczy, do cholery?!” - pomyślał.

Pismo wyglądało na kobiece - duże, pretensjonalne pętelki - ale nie mógł być pewien. Przeczytał drugi raz, trzeci. Wsunął kartkę do kieszeni i rozejrzał się po mieszkaniu porządnie wystraszony. Zapalił światło w kuchni, pstryknął wyłącznikiem lampy stojącej w pokoju. Dzieciaki hałasowały gdzieś na górze, poza tym panowała cisza.

Wyteżał słuch, próbując sprawdzić, czy w głębi mieszkania nic się nie porusza. Korytarzyk do łazienki był ciemny. Bojaźliwa część jego natury szeptała, że na pewno nikogo tu nie ma. „Przecież list został wsunięty pod drzwi - mówiła. - Nie masz powodu, żeby zaglądać do sypialni, prawda?”

Przygryzając język i wyciszając tchórzliwą połówę, Joe wrócił do przedpokoju. Spodziewał się, że lada chwila ktoś wyskoczy z cienia.

Stanął przy drzwiach sypialni i wsunął rękę, na oślep szukając wyłącznika. „Ktoś wciąż może tu być - przestrzegał go rozsądek. - Może odrąbać ci rękę siekierą, a gdy będziesz wrzeszczał i wlepiął oczy w tryskający krwią kikut, zabójca wyjdzie z cienia i dokończy robotę.”

Światło zapaliło się nad łóżkiem, odpierając ciemność. Kieran odetchnął z ulgą. Jediną rzeczą nie na swoim miejscu były skarpetki, które wczoraj wieczorem rzucił na podłogę.

Mimo to po powrocie do salonu usiadł w fotelu plecami do ściany. Chciał mieć resztę mieszkania na oku.

Był dobrym reporterem.

Ale niegotowym na spotkanie z kimś, kto groził mu śmiercią.

Przewertował książkę telefoniczną, szukając litery N. Znał pewną wróżkę, która nie była z nim absolutnie szczerą. Nadszedł czas, żeby zamiast stawiania pytań wysłuchać paru odpowiedzi.

W oknach domu Angeliki zalegał mrok, ale gdy Joe skręcił na podjazd i przekręcił kluczyk w stacyjce, w pokoju od frontu zapaliło się światło. Wysiadł i ruszył przez mroczny gąszcz krzewów do drzwi.

Przez telefon jej głos brzmiał dziwnie, niemal jakby się bała.

- Chcę przeprosić, że tamtego dnia potraktowałam cię szorstko - powiedziała.

- Wszystko w porządku - zapewnił. - Możemy porozmawiać?

- Teraz? - Jej głos wzniósł się o oktawę.

- Czy to zła pora?

- Nie. - Chrząknęła. - Tylko... Nie, nic, doskonała. Drzwi się otworzyły, gdy postawił nogę na najwyższym stopniu.

- Wejdz, wejdz - ponagliła i niemal wepchnęła go do salonu.

Tego wieczora miała na sobie szafirowy szlafrok z jedwabiu - albo imitacji jedwabiu - z fioletowymi i różowymi stworzeniami wodnymi wzdłuż rąbka.

„Chyba nie ma niczego pod spodem” - pomyślał Joe, zapuszczając żurawia w głąb cienistego, ponętnego rowka pomiędzy piersiami. Włosy miała wilgotne jak po kąpieli.

- Usiądź, proszę. - Skinęła głową, wskazując stary żółty fotel w kącie pokoju.

Zajęła miejsce na niewielkiej kanapie po drugiej stronie stolika. Salon oświetlała tylko lampa sztormowa na blacie. Blask sączący się przez rdzawoczerwone szybki nie rozpraszał jednak cieni w głębi pokoju. W powietrzu wisiał lawendowy zapach świec albo kadzidełek.

„Jak rozmowa z kimś, kto siedzi po drugiej stronie ogniska” - pomyślał Kieran. Przyćmione światło pełgało po oliwkowej skórze Angeliki. Wyglądała na mocno opaloną i - jak zauważył z pewnym zakłopotaniem, gdy okrywała gołe nogi - znacznie młodszą niż na pogrzebie.

- Wyciągnąłem cię spod prysznic? - zapytał, czując się niezręcznie. - Mogę przyjść później albo jutro.

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Nie. Zawsze wieczorem biorę natrysk, a potem wkładanie dziennego ubrania wydaje się głupie. Przeszkadza ci to?

- Nie, nie. Ani trochę.

- Mogę zobaczyć twoje dłonie?

Wyciągnął ręce nad stołem.

- Nie przyszedłem po wróżbę, Angeliko.

Zignorowała go i pochyłona ujęła jego ręce.

Nie mógł się powstrzymać, wlepił oczy w łagodne krągłości jej piersi, gdy szlafrok się lekko rozchylił. Zwisły ciężkie i bujne, gdy zastygła pochyłona nad stołem. Ciemna linia rowka znalazła się niebezpiecznie blisko jego prawej dłoni, kiedy Angelika palcem wskazującym śledziła linię życia. Jej włosy, wilgotne i chłodne, musnęły jego przedramię. Całą rękę od barku po palce Joego pokryła gęsia skórka. Czuł narastające podniecenie, lecz zdusił chęć chwycenia tej kobiety za ramiona. Przyszedł tutaj po odpowiedzi, nie po to, żeby uwodzić kiepską chiromantkę.

- Widzę niebezpieczeństwo przyjacielu - powiedziała głosem, który przywodził na myśl syczenie rozleniwionego

węza. - Mądrze postąpisz, chodząc ze spuszczoną głową z oczami wbitymi w ziemię...

Uśmiechnęła się nieco pruderyjnie, gdy zabrał rękę. Chciała mówić dalej, ale nie dopuścił jej do słowa.

- Angeliko, powiedziałem, że nie przyszedłem po wróżbę. I nie muszę słuchać twojego udawanego akcentu. Wychowałaś się tutaj, a w Terrel nie ma zbyt wielu Włochów.

Jej oczy rozbłyły gniewnie, lecz nie przestała się uśmiechać.

- W takim razie po co pan do mnie przyszedł, panie Kieran? - Akcent przepadł bez śladu. - Jestem wróżką.

Wstała i obeszła stół. Stała przy fotelu.

Wyglądziła szlafrok w talii.

- Tym się zajmuję, panie Kieran, przepowiadaniem przyszłości. Z jakiego innego powodu ktoś miałby do mnie przychodzić? Ubieram się w fantazyjne stroje i mówię ludziom, co według mnie ich czeka.

Pochyliła się, przysuwając usta do jego warg. Jej głos opadł do szeptu.

- I wiesz co? Od osiemnastego roku życia nieczęsto się myślę.

- Nie interesują mnie te twoje bzdurne czary-mary, Angeliko. Interesuje mnie Góra Terrela. A konkretnie, skąd się wziął ten osobliwy zwyczaj dorocznego skakania z urwiska?

Wróżka uklękła, błękitny jedwab ze szmerem opadł wzdłuż nogawki džinsów Joego. Wsparła ręce na jego udach, przycisnęła piersi do kolan.

- Mogę powiedzieć ci wszystko, ale nie sądzę, że mi uwierzysz. Nazwiesz to stekiem bzdur, jak myślę. Nie wolisz porozmawiać o czymś innym, Joe?

Przesunęła ręce po koszulce dziennikarza i objęła go za szyję. Pieszcząc mu ucho językiem, szepnęła:

- Nie wolisz porozmawiać o tym, co skrywa się pod moim szlafrokiem, panie reporterze?

Wbrew sobie znów poczuł podniecenie. Speszył się, bo Angelika nagle wskoczyła mu na kolana. Szlafrok opadł z jej ramion, odsłaniając piersi, idealnie uformowane karmelowe wzgórki zwieńczone nabrzmiętymi ciemnymi brodawkami. Chwyliła go za głowę, przycisnęła jego usta do sutków.

- Tak, tak! - krzyknęła. - Całuj.

Joe wziął się w garść i odepchnął ją.

- Nie.

Boże, co on robił? Jak mógł przekreślać pierwsze od miesiący szczęśliwe chwile? Angelika nadal klęczała na jego udach, ale ręce trzymała na podłokietnikach fotela. Szlafrok spadł na podłogę, Joe widział jędrne ciało kobiety starszej od niego raptem jakieś dziesięć lat. Pomiedzy piersiami na rzemieniu wisiał srebrny wisiołek.

„Jakiś symbol astrologiczny” - pomyślał Kieran.

Nawet w takiej pozycji Angelika miała pięknie napięty brzuch. Poniżej widział starannie utrzymany ciemny trójkąt. Gorąco pragnął przyciągnąć ją do siebie, ale odwrócił głowę, gdy się pochyliła, żeby go pocałować.

- Nie - powtórzył. - Nie po to przyszedłem. Jeśli podtrzymasz propozycję, później mogę z niej skorzystać. Najpierw jednak chcę wiedzieć, co się tutaj dzieje.

- Później może być za późno - warknęła, zsunęła się z jego kolan i włożyła szlafrok.

- Ale ja chyba nie mam dużo czasu - powiedział i wyjął z kieszeni żółtą kartkę.

Angelika zbladła, gdy przeczytała zawołowaną pogrózkę: „Śmierć zwykle znajduje tego, kto jej szuka”.

Bez słowa oddała mu list, podeszła do okna przysłoniętego ciężkimi kotarami. Odsunęła je i przez parę minut wyglądała na zewnątrz. Joe siedział cicho, ciekaw dalszego rozwoju sytuacji.

- Zaczekaj tutaj - poleciła. Zaciągnęła zasłony i zniknęła w głębi domu.

Kieran wstał, wygładził spodnie i koszulkę, doprowadzając się do porządku po tej dziwnej, niczym niesprowokowanej próbie uwiedzenia. Podeszedł do okna. Z bliska zobaczył, że zasłony mają ten sam szafirowy odcień, co szlafrok gospodyni, lecz są ze znacznie grubszego, zbitego materiału. Rozsunął je z lekkim uśmiechem i wyjrzał. Twardy blask księżycy zalewał ogródek. Gałązki kapryfolium kołysały się lekko, a długie, kręte cienie na ziemi podkreślały ich ruch. Angelika mieszkała tuż przy głównej drodze Terrel, lecz najwyraźniej chciała się skryć przed miastem. Przed domem rósł prawdziwy las. Z tego okna widać było tylko krótki odcinek ulicy.

Joe puścił zasłony i rozejrzał się. Z powodu luster wiszących na trzech ścianach pokój wydawał się większy. Pomiędzy lustrami Angelika umieściła niewielkie półki z bluszczem i innymi roślinami, których długie łodygi zwieszały się do jasnego drewna podłogi. Pośrodku salonu leżał orientalny dywanik, z pewnością imitacja z miejscowego sklepu Wal-Mart. Mimo to wyglądał fantastycznie, a misterne desenie idealnie harmonizowały z profesją właścicielki.

„Ilu klientów może mieć w tej zapadłej dziurze?” - zastanowił się Kieran.

- I tak mi nie uwierzysz, ale może to pomoże - powiedziała Angelika, wchodząc do pokoju krokiem odzianej w jedwabie księżniczki. Przyniosła oprawiony w czerwoną skórę album z

wycinkami. Położyła go na stole i przewertowała, szukając odpowiedniej strony.

Skromnie otulając się szlafrokiem, usiadła na kanapie.

- Czytaj.

Joe pochylił się, żeby lepiej widzieć. Był to pożółkły wycinek z „Terrel Times” z 6 listopada 1951.

„Przekłęte urwisko upomina się o pomnik założyciela” - oznajmiał nagłówek. Artykuł został zamieszczony na stronie z komentarzami do wstępniaka.

Kieran szybko przeczytał początek:

Niektórzy nazwę ten sztorm zwyczajnym, jednak starsi mieszkańcy Terrel wiedzą, że wichura, która w wigilię Wszystkich Świętych wstrząsnęła Górą Terrela, nie była zjawiskiem naturalnym. W ubiegłym tygodniu po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat, morze nie wyrzuciło na plażę niczyjego ciała, co rozwścieczyło zło gnieźdzące się w tym skalnym guzie. Przypuszczalnie nadal jest wściekle.

Nikt nie wie, jaki duch mieszka w urwisku, pomniejszy demon czy może sam diabeł. Ale mieszkańcy Terrel dobrze wiedzą, że Góra Terrela jest groźnym miejscem, w którym dzieją się złe rzeczy. Z moich badań wynika, że ludzie giną na urwisku od pierwszych lat istnienia osady. Może założyciel miasta zawarł pakt z diabłem, oferując nasze życie w zamian za jakąś przysługę? A może szczyt jest po prostu bramą dla dusz, które co roku wigilię Wszystkich Świętych są wypuszczane z piekła?

Niezależnie od przyczyny urwisko jest niebezpieczne.

A teraz na domiar złego rozgniewane.

Poczytajcie te słowa za ostrzeżenie.

W przeszłości urwisko prawie zawsze zostawiało miejscowych w spokoju, przedkładając nad nich przybyszów, którzy, posłuszni jego zawołaniu, wspinali się na szczyt, aby następnie łamać karki na skałach u podnóża. Najwidoczniej w tę wigilię Wszystkich Świętych nikt obcy nie rzucił się złu na pożarcie.

Być może ktoś z Terrel zostanie wezwany, żeby uregulować rachunek.

Nie pozwól, abyś to był Ty!

Jeśli Ci życie miłe, przez parę następnych dni trzymaj się z dala od urwiska.

Jarvid Harbin

Joe oderwał oczy od wycinka i popatrzył na Angelikę.

- Naprawdę wszyscy tu myślą, że jeśli ktoś obcy zginie w Halloween, przez następny rok będą bezpieczni?

Skinęła głową. Oczy miała mroczne, przysłonięte powiekami.

- To nie zawsze się sprawdza - powiedziała. - Przewróć kartkę.

Zrobił to i zobaczył następny wycinek.

Ten był znacznie świeższy. 23 maja 1981.

MIEJSCOWA DZIEWCZYNA TONIE W ZATOCE

Bernadeta O'Brien, lat 19, z Terrel, utonęła wczoraj podczas kąpieli z pięcioma szkolnymi koleżankami.

Przypuszczalnie silny prąd wciągnął ją

pod wodę, gdzie została uwięziona przez wodorosty albo jakieś szczątki.

- Pływałyśmy po zatoce i opalałyśmy się na skałach pod Górą Terrela - powiedziała Karen Sander, jedna z dziewcząt, które jako ostatnie widziały Bernadetę O'Brien żywą.

- Bernadeta skoczyła do wody i zaczęła płynąć wzdłuż urwiska w stronę brzegu, żeby się ochłodzić. Nie myślałyśmy o niej, ale w pewnej chwili Monika (Kelly) zauważyła, że nigdzie jej nie widać. Zaczęłyśmy ją wołać, a kiedy nie odpowiedziała, wskoczyłyśmy do wody i popłynęłyśmy tą samą trasą do brzegu.

Kiedy nie zastały koleżanki na brzegu, Sander pobiegła zadzwonić na policję, a pozostałe dziewczęta kontynuowały poszukiwania. Ciało O'Brien znaleziono około godz. 19 wciśnięte pomiędzy dwa głazy pod urwiskiem. Uroczystości żałobne odbędą się w domu pogrzebowym Foltera jutro w godz. 15.00-21.00.

- 22 maja - mruknął Joe i spojrzął Angelice w oczy. - Byłaś tam, prawda? - zapytał cicho.

Pokiwała głową.

- A pani Canady?

- Zaczynasz dostrzegać wzór?

- Pewnego wiosennego dnia sześć dziewczyn poszło popływać i jedna z nich nie wróciła. Czy ma to coś wspólnego ze śmiercią dzieci tych z was, które przeżyły? Z nastolatkami, które dwadzieścia lat później skoczyły z urwiska w rocznicę tamtego zdarzenia?

Angelika wbiła oczy w ścianę nad jego ramieniem.

- Nie znam odpowiedzi panie Kieran, ale powiem, że tamten dzień zmienił nasze życie. W urwisku coś jest. Wszystkie to czułyśmy. To zdarzenie rzuciło cień na całe moje życie.

- Przypuszczasz, że „coś” przysłało mi liścik? - Joe pomachał żółtą kartką w powietrzu. - Nie kupuję tego.

- Nie musisz niczego kupować. Nie wiem, kto podrzucił ten list, ale mogę ci powiedzieć, że autor ma rację. Interesujesz się rzeczami, które lepiej zostawić w spokoju. Wiesz, dlaczego mieszkańcy Terrel prawie nigdy nie umierają w Halloween? To proste: bardzo niewiele osób jest na tyle głupich, żeby zbliżać się do zatoki. Nigdy nie wiadomo, kiedy to coś zgłodnieje.

- Zaproponuję inny powód. Powiedzmy, że w Terre istnieje jakaś pokrecona mała sekta, która lubi co roku w Halloween składać małe ofiary. Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że się mylisz, ale przecież mówiłam, że nie uwierzysz w moją historię.

Angelika zamknęła album z wycinkami.

- Diabeł mieszka w Górze Terrela, Joe. Jeśli nie przestaniesz dociekać, przyciągniesz jego uwagę. Wierz mi, nie chcesz, żeby sobie ciebie upatrzył.

- To brzmi trochę jak groźba.

Westchnęła.

- Próbuję ci pomóc.

Angelika obeszała stół i stanęła przy Joem. Patrząc mu w oczy, rozwiązała błękitną jak ocean szarfę i zsunęła z ramion szlafrok. Rozlał się u jej stóp niczym kałuża. Wsunęła nogę między uda Kierana i pocałowała go namiętnie.

- Czy teraz mi pomożesz?

Tym razem jej nie odepchnął.

Rozdział XI

W porannym świetle, po nocy w sypialni Angeliki, jego mieszkanie wydawało się Joemu zimne i sterylne. Kieran z uśmiechem rozmyślał o tym szaleństwie. Wróżka praktycznie wciągnęła go do łóżka, choć nie była kobietą, która musiałaby kogokolwiek wciągać. I wiedziała co robić, kiedy się tam znaleźli. Samo wspomnienie rozpaliło mięśnie jego brzucha i ud. Była giętka i pomysłowa.

Ale miał wątpliwości co do jej pobudek. Choć sprawiała wrażenie podnieconej do granic dzikości, gdy kłębili się w pościeli, wątpił, czy reagowała tak na jego surową męską urodę.

„Bo sęć w tym, że nie mam surowej męskiej urody” - myślał, patrząc w lustro w łazience. Przeciągał golarką po policzku, starając się uciszyć wewnętrzny głos, który wciąż dopytywał: „dlaczego ja?”.

Pytania traciły znaczenie przyćmione wspomnieniem jej gibkiego złocistego ciała, jego rąk wędrujących po idealnych krągłościach piersi, jej języka z zapalem badającego wnętrze jego ust.

Nie kupił wyjaśnienia, które zwałało winę na złego ducha. Angelika ukrywała przed nim coś, co było związane z urwiskiem. Zamierzał się dowiedzieć, co to było i nie powstrzymałby go przed tym nawet najbardziej niesamowity seks. Może nadszedł czas, żeby złożyć wizytę innym paniom z tego oczywistego kręgu.

Zdecydował, że zacznie od Karen Sander.

Wychodząc z domu, Joe miał zamiar umówić się na spotkanie po pracy, ale dzień poprzestawiał mu plany. W nocy było włamanie do 7-Eleven w zachodniej części miasta i szef zaraz go tam wysłał. Znaczną część popołudnia Kieran

spędził na uganianiu się za komendantem policji i świadkiem, flegmatycznym chłopakiem z liceum. Nie miał czasu na swoje sprawy, a gdy wrócił do domu o dziesiątej wieczorem, było za późno nawet na kolację. Runął na łóżko bez jednej myśli o zabójczych szczytach czy chiromantkach. Ponieważ Randy wyjechał na Florydę na dwutygodniowy urlop, miał nawał pracy i musiał odłożyć na bok tajemnicę urwiska.

Ale nie zapomniał o niej. Zawsze nosił przy sobie żółtą kartkę. Poza tym w wolnej chwili naszkicował diagram majowych zabójstw, które zapoczątkowało utonięcie dziewczyny w 1981. Dotąd widział cztery z jej pięciu koleżanek. Kurwa mać, spał z jedną z nich! Z jedyną, która nie straciła dziecka na urwisku, o ile wiedział.

Dwa tygodnie po nocy spędzonej z Angeliką wreszcie zadzwonił do Karen Sander. Nie sprawiała wrażenia uszczęśliwionej, ale udzieliła wskazówek, jak dojechać do jej domu.

- Nie wiem, co mogę dla pana zrobić, panie Kieran, lecz powiem wszystko, co wiem - obiecała.

Chociaż w to wątpił, po pracy wsiadł do wozu i pojechał na spotkanie. Wątpił, czy usłyszy tę samą historię, którą opowiedziała mu Angelika.

I miał rację.

Z radia płynęła głośno piosenka „Should I Stay Or Should I Go”, gdy wjechał na zwirowy podjazd domu Karen Sander przy Waveland Lane 154. Ścisnęło go w dołku, ale w przyjemny sposób. Joe uśmiechnął się do wspomnień.

Znów był rasowym reporterem. Napiętym. Gotowym na wszystko. Nigdy nie wiesz, w którą stronę skieruje cię kolejna rozmowa, lecz nie porzucasz tropu. Zwykle znajdujesz tylko pustą trumnę. Od czasu do czasu, jeśli po

drodze nie popełniłeś błędu i porządnie wstrząsnąłeś źródłem, trop może doprowadzić nie tylko do trupa, ale również do szafy, w której był schowany.

Joe, gdy wysiadał z wozu w chłodny zmierzch wczesnego lata, miał wrażenie, że zwęszył trupa. Ten zatechły zapach skłonił go do uśmiechu.

- Pani Sander? - zapytał swoim najcieplejszym głosem, gdy drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku. Skinęła głową. Zmarszczki w kącikach jej oczu pogłębiły się, kiedy szacowała go wzrokiem. - Nazywam się Joe Kieran. Spotkaliśmy się na pogrzebie Jamesa Canady'ego. Dzwoniłem do pani z gazety.

- Tak Joe, pamiętam. Proszę wejść.

Wprowadziła go do sterylnej sypialni od frontu. Dywan był biały, ściany kremowe, meble - mieszanina ciemnego drewna i matowych kukurydzianych żółci.

- Proszę usiąść. Napije się pan mrożonej herbaty?

- Tak, z przyjemnością.

Skinęła głową i znikła w kuchni. Joe siedział, patrząc na stonowany wystrój wnętrza. Większą część wschodniej ściany zajmowało okno panoramiczne. Przed nim stał wielki telewizor Magnavox, czarny jak smoła. Poza tym dwie kanapy w barwach ziemi, dwa niskie stoliki, obraz na ścianie... Zrozumiał, że obraz jest jedynym elementem, który tu nie pasował. Pokój był jasny, urządzony ze smakiem, choć bez polotu. Ale pośrodku głównej ściany wisiało wielkie mroczne płótno. Kontrastując z bielami i żółciami wnętrza, przedstawiało morze w odcieniach martwej szarości atakujące skalisty brzeg. W dali, przysłonięte kłębamii mgły, sterczało strome wzgórze. Zdawało się, że obraz emanuje chłodem.

- Zatyłowałam go „Przymierze”.

Kieran podskoczył zaskoczony głosem gospodyni. Stała tuż za nim. Nie zauważył, kiedy weszła do pokoju.

- Proszę, herbata - powiedziała, stawiając szklanę na drewnianej podkładce na stoliku.

Patrząc na Karen Sander, Joe uznał, że musi ona często rozmyślać o życiu. Twarz miała szeroką i spokojną, nos wąski na tyle, by sugerował arystokratyczne pochodzenie. Oczy mówiły więcej - wyglądały na zmęczone i ciepłe, a kurze łapki świadczyły o tym, że kobieta zaznała w życiu równie wiele radości, co i smutku.

Koleżanki z klasy, które 22 maja 1981 roku pływały w zatoce, miały po około osiemnaście lat. Dziś wszystkie były po czterdzieście. Angelika wyglądała znacznie młodziej, ale Karen Sander zaczynała odczuwać przykre skutki upływu czasu. Srebro niczym ławica tuńczyków migotało w jej niegdyś czarnych włosach.

Lekko stęknęła, opadając na sofę.

- W czym mogę pomóc? - zapytała cichym głosem.

Do roboty! Joe wiedział, że albo ją sobie zjedna, albo odejdzie z niczym. „Jeśli źródło nie zaufa ci po paru pierwszych słowach, to możesz je sobie odpuścić” - mawiał jeden z redaktorów w Chicago. Jak dotąd zasada się sprawdzała. Ponieważ Kieran uważał, że kłamstwo nie jest najlepszym sposobem na zdobywanie zaufania, starał się pozyskiwać źródła mówieniem prawdy.

- Proszę pani, to ja w zeszłym miesiącu napisałem dla „Terrel Times” nekrolog po śmierci młodego Canady’ego. Jestem w mieście od niedawna, więc nie wiem, co myśleć. A nikt nie chce rozmawiać o śmierci chłopca, który postanowił skończyć ze sobą w tak młodym wieku. Uznałem to zdarzenie za tym bardziej dziwne, że przecież miał po co żyć. Zacząłem się trochę rozglądać i dość szybko stwierdziłem, że

James nie był pierwszym nastolatkiem, który skoczył z urwiska. Dowiedziałem się, że pani straciła syna, a Monika Kelly córkę. Przed nią był jeszcze jeden chłopak.

Spojrzenie Karen nie uciekło w bok, kiedy wygłaszał tę tyradę. Wyglądała niemal tak, jakby się miała uśmiechnąć.

- Nie poświęciłbym tej sprawie większej uwagi, bo w Chicago, skąd pochodzę, dzieciaki często zabijają siebie i rówieśników. No ale tu, w Terrel? I zastanowiło mnie jeszcze coś. Nie to, że paru nastolatków skoczyło z urwiska, naśladując swoich poprzedników. Dziwne, że zrobili to dokładnie tego samego dnia w różnych latach.

Ta bomba nie wstrząsnęła gospodynią. Zresztą Joe nie oczekiwał gwałtownej reakcji. Kobieta uśmiechnęła się ze smutkiem i wzruszyła ramionami.

- I co pan chce usłyszeć, panie Kieran? Mam powiedzieć, że w pokoju mojego syna wisiał kalendarz z notką „22 maja, dzień pokuty”? Czy o to panu chodzi?

- Pytam, czy pani wie, dlaczego na przestrzeni pięciu lat czworo nastolatków z tego samego miasta postanowiło skoczyć z tego samego urwiska tego samego dnia. Nie sądzi pani, że to trochę dziwne?

Wstała, wyglądając w talii dopasowaną bluzkę.

- Czy dziwne, panie Kieran? Nie.

Przeszła przez pokój, żeby popatrzeć na obraz.

- Smutne. Bolesne. Tragiczne. Ale nie dziwne. Każdy na swój sposób radzi sobie z rozpaczą, a te dzieci były bardzo żyte. Gdyby mieszkał pan tutaj dostatecznie długo, wiedziałby pan. A może już pan odkrył w trakcie swojego dziennikarskiego śledztwa, że ich matki od dawna się przyjaźniły? Dzieci również.

- Przepraszam. Nie... nie powinienem był używać słowa „dziwne”. Ale staram się zrozumieć, co się dzieje w tym

mieście. Nikt nie chce ze mną rozmawiać. Mam wrażenie, że mieszkańcy boją się mówić, że kogoś ochraniają. Przyszło mi na myśl, że ci młodzi ludzie nie skoczyli z urwiska z własnej woli. Miałem nadzieję, że może pani udzieli mi jakichś wskazówek.

- Widzi pan ten obraz? - Karen wskazała ponure morze.

- Naturalnie.

- Mówiłam, że nazwałam go „Przymierze”.

- Tak. Pani go namalowała?

- Tak. Prawie dwadzieścia lat temu. Pierwszy raz w życiu wzięłam pędzel do ręki.

- Niewiarygodne - powiedział Joe, szeroko otwierając oczy. Uważniej, krytycznym okiem przyjrzał się obrazowi. Melancholijny, nadzwyczaj realistyczny morski pejzaż przyprawił o ciarki. Namalowany z dbałością o szczegóły wyglądał tak, jakby wyszedł spod ręki doświadczonego mistrza.

- Miała pani wystawę w galerii? Jeśli ten obraz jest pierwszy, z przyjemnością zobaczyłbym późniejsze.

- Nigdy więcej nie malowałam.

Karen odwróciła się i chwyciła go za ramiona. Jej oczy rozświetlił wewnętrzny ogień.

- Przymierze, panie Kieran - mówiła - polega na tym, że w Terrel żyjemy dzięki morzu, ale w końcu morze zabierze nas wszystkich. To, co od niego bierzemy, jest tylko pożyczką. Morze nas zatopi, zadławi, wciągnie na dno. Roztrzaska nas o skały i splunie na nas, kiedy wyłoni się ocalenie. Dotrzymujemy Przymierza śmierci. Moje dziecko wywiązało się z umowy, ja z pewnością niedługo zrobię to samo. I ty także. Prędzej niż później, jeśli nie przestaniesz wypytywać ludzi o zmarłe dzieci.

Zdjęła ręce z jego ramion i odsunęła się, zasłaniając usta.

Przetarła powieki i wyjąkała:

- Prze-przepraszam... wciąż tęsknię za moim chłopcem.

Gdy wyjęła chusteczkę z kieszeni, żeby osuszyć oczy, Joe wyczuł chwilę. Albo naciśnie i straci wszystko, albo spróbuje ją uspokoić - i być może też niczego nie zyska.

- Pani Sander, nie prosiłbym o rozmowę, gdybym uważał, że śmierć pani syna była czymś normalnym. Ze statystyk wynika, że nie wszyscy rodzice muszą przeżyć swoje dzieci. Ale myślę, że śmierć Billa nie mieści się w statystycznych ramach. Podobnie jak śmierć Margaret Kelly i Jamesa Canady'ego.

Podniosła na niego zaczerwienione oczy.

- Jak pan to rozumie?

Chwila nadeszła.

- Pani Sander, czy ktoś zwrócił uwagę, że daty śmierci Margaret, Jamesa, Williama i Boba pokrywają się z datą śmierci Bernadety O'Brien, która utonąła, pływając z pięcioma przyjaciółkami 22 maja w osiemdziesiątym pierwszym roku? Z tymi samymi przyjaciółkami, które jedna po drugiej straciły dzieci w ciągu pięciu ostatnich lat?

Kobieta osunęła się na sofę i patrzyła na niego bez słowa. Jej spojrzenie, choć zaskoczone, wyrażało ulgę.

- Gdyby pan stąd pochodził, nie wydawałoby się to panu takie dziwne.

- Dlaczego?

- Ponieważ wszyscy wiedzą, że Góra Terrela jest siedzibą diabła - szepnęła.

Joe starał się powstrzymać uśmiech. Karen pochyliła głowę w jego stronę. Jej twarz pobladła.

- Uważa pan, że żartuję. A ponieważ pochodzi pan z miasta złodziei i morderców, pewnie nie może pan wymyślić innej przyczyny nagłej śmierci, jak tylko z ręki nożownika.

No cóż, trafił pan do kolebki diabła. Tutaj nóż jest niewidzialny. W przeciwieństwie do jego ofiary.

Wskazała urwisko ledwie widoczne w mgle kłębiącej się na obrazie.

- Tam. To Góra Terrela. Jeśli chce pan zrozumieć, niech pan pójdzie tam dziś po zachodzie słońca i posłucha wiatru. Ale proszę nie zakładać, że pan wróci, aby o tym opowiedzieć.

Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Przez ramię zawołała:

- Proszę dopić herbatę, panie Kieran. A potem wyjść. Nic więcej nie mogę panu powiedzieć.

Rozdział XII

Kieran kręcił głową i uśmiechał się do siebie, wycofując wóz z podjazdu Karen Sander. Zwęszył temat. Wielki temat. Temat z rodzaju tych, dzięki którym człowiek jesienią zdobywa nagrodę Press Guild. Temat z rodzaju tych, które sprawiają, że ludzie szeryfa drapią się po głowie i mówią: „Nie rozumiem, jak mogliśmy tego nie zauważyć, ale z pewnością zauważymy, gdy tylko się powtórzy!”

Wyobraził sobie twarz Swartzky'ego, gdy komendant stanie przed kamerami i oślepią go reflektory. Przysięgnie, że nie miał o niczym najmniejszego pojęcia i że nikt nigdy nie poruszył przy nim tej kwestii.

„W przyszłym tygodniu rozpoczniemy restrukturyzację wydziału - obieca. - Wstyd mi, że nikt nie powiązał śmierci tych nastolatków. Ale znam Karen Sander i Rhondę Canady od dziecka, zawsze były przeurocze. Kto mógłby je podejrzewać o zamordowanie rodzonych dzieci?”

Kieran postanowił, że kiedy zdobędzie trochę więcej dowodów, przedstawi je komendantowi Harry'emu Swartzky'emu. Nie wątpił, że szef policji Terrel znajdzie powód, żeby je zignorować lub spalić.

Przedstawi również artykuł, już napisany w głowie, redaktorowi naczelnemu „Terrel Daily Times”, choć wątpił, czy go opublikują. Ale w hrabstwie nie brakowało większych miast. Może zabierze materiał na północ, do „Port Haven Dispatch”. Jeśli znajdzie dowody tego, co podejrzewał, nie będzie miał kłopotów ze sprzedaniem tekstu większej gazecie. A później w Terrel przez tydzień będą się roić gliniarze stanowi i ci z biura szeryfa. Będą łamać sobie głowy nad rozwiązaniem tajemnicy, jeśli im ją podsunie.

Zastanowił się, czy obie sprawy nie są powiązane. Raczej

nie. Jego zdaniem zabójstwa majowe, jak zaczął je nazywać, na kilometr cuchnęły zbrodniami naśladowczymi.

Jedna rzecz była pewna: nie wierzył, że jakieś straszdyłło od stulecia rok w rok tego samego dnia spycha ludzi z urwiska. Ale też nie mógł tego robić jeden psychopatyczny seryjny zabójca. Taka regularność wymagałaby organizacji... i nadzwyczajnej długowieczności.

Co do ostatnich majowych zabójstw, wszystkie poszlaki wskazywały na pięć kobiet. Albo przynajmniej na cztery. Rhonda Canady, Karen Sander, Melody O'Grady i Monika Kelly towarzyszyły Bernadecie O'Brien, która 22 maja utonęła w tajemniczych okolicznościach. Dwadzieścia lat później ich dzieci zaczęły ginąć jedno po drugim, gdy miały około osiemnastu lat. Czyżby chodziło o jakiś ofiarny obrzęd, który ich matki przysięgły odprawiać, kiedy same były nastolatkami?

Zbyt okrutne... Wynaturzone. Niewyobrażalne.

Ale założenie, że zabójca pochodzi spoza ich kręgu, nie miało żadnego sensu. Czemu, do cholery, miałyby czekać dwadzieścia lat, żeby zemścić się na dziewczętach, które poza Bernadetą, pierwszą ofiarą, uniknęły śmierci?

I w dodatku mścić się na nich pośrednio, zabijając ich dzieci?

Nie, Joe czuł, że przynajmniej jedna kobieta z tej piątki maczała palce w zabójstwach nastolatków. Bo że nie ma mowy o samobójstwach, tego był absolutnie pewien.

Tylko która? Oczywiście pierwsza przychodziła na myśl Angelika. Tylko ona nie miała dzieci, tylko ona nie poniosła straty.

Czy mogła przed laty utopić Bernadetę, a teraz z jakiegoś powodu zwrócić się przeciwko pozostałym przyjaciółkom?

A może, co bardziej prawdopodobne, to one utopiły

Bernadete? Może Angelika była jej najbliższą przyjaciółką i przez całe lata knuła zemstę? Szantażowała sprawczynię, żeby jej nie wydały, gdy w roli Anioła Śmierci mordowała ich dzieci - mogła im grozić, że odgrzebie tamtą dawną zbrodnię.

Czy to mogła być ona? Joe spróbował sobie wyobrazić, jak 22 maja ukradkiem przemyca na urwisko osiemnastoletnie dzieci przyjaciółek. Czy naprawdę mogłaby odbierać im życie w tym samym miejscu, w którym ich matki zabiły tak dawno temu?

Nie. Nie ona. Nie mógł uwierzyć w ten scenariusz również dlatego, że większość matek oddałaby życie w obronie swoich dzieci. Tym bardziej poszłaby do więzienia. Mało prawdopodobne, że wszystkie cztery były na tyle tchórzliwe, aby beczynnym patrzeć na mordowanie rodzonych synów czy córek. W grę musiało wchodzić coś, czemu nie mogły zapobiec.

Tylko co do Angeliki, cóż, Joe nie był obiektywny. Noc ognistego seksu po miesiącach zaspokajania potrzeb na własną rękę - ściślej mówiąc: własną ręką - każdemu mogła namieszać w głowie.

Z drugiej strony, czy inne scenariusze były bardziej wiarygodne?

Cztery matki zabiją własne córki i synów, żeby się wywiązać z jakiejś zawartej dawno temu umowy?

Zabójca czeka dwadzieścia lat, aż kilka kobiet urodzi i wychowa dzieci, które ni z tego, ni z owego w określony dzień roku wybiorą się na Górę Terrela?

A może oczywisty faworyt miasta: diabeł, który wabi ludzi na krawędź urwiska i zachęca do spotkania ze śmiercią w kipieli huczącej dziesiątki metrów niżej?

Każda z opcji była trudna do przełknięcia. Joe nie miał

pojęcia, jak wygląda prawda, ale przypuszczał, że skrywa się ona w sercu co najmniej jednej z pięciu kobiet. Musiał złożyć jeszcze parę wizyt.

Najpierw jednak zamierzał odbyć małą przejażdżkę do miejsca, w którym odbywał się doroczny festiwal śmierci. Wciąż słyszał ociekający octem głos Karen Sander: „Jeśli chce pan zrozumieć, niech pan pójdzie tam dziś po zachodzie słońca i posłucha wiatru”.

„W porządku - pomyślał. - Mogę to zrobić. Nie zaszkodzi rzucić okiem na trampolinę przed skokiem do basenu”.

Chcąc spotkać się z Karen Sander zaraz po pracy, darował sobie kolację i teraz brzuch burczał mu gniewnie. Ale zamiast pojechać do domu, skręcił za miasto.

To był wymarzony wieczór na oglądanie oceanu. Świerszcze już rozpoczęły wieczorny koncert, gdy jechał pod ciemniejącym baldachimem drzew na obrzeżach Terrel. Za lasem zaczął wspinaczkę ku szczytowi urwiska.

„Słońce zajdzie za dwadzieścia, trzydzieści minut” - pomyślał Joe. Może zobaczy gwiazdy zanim wróci do czterech ścian i łóżka, w którym zaszywał się co noc?

Droga nie dochodziła na sam wierzchołek. Uznał, że spacer dobrze mu zrobi.

„O ile nie postanowię skoczyć!” - parsknął w duchu.

Ale ta myśl jakoś nie wydała mu się zabawna.

Wciąż słyszał ostatnie słowa pani Sander: „Proszę nie zakładać, że pan wróci, aby o tym powiedzieć”.

Odkrycie

Rozdział 1

Dla niej wspinaczka stała się pielgrzymką. Przychodziła tu co wieczór o siódmej. I co wieczór spoglądała znad krawędzi. Słuchając.

Nigdy nie wierzyła w historie o Górze Terrela, które słyszała przez całe życie. Po mieście krążyły tuziny opowieści o duchach, demonach i strachach mieszkających w śmiertelnie niebezpiecznym urwisku. Najbardziej popularna z nich mówiła o demonie, który czyhał na nieostrożnych po zmroku, gotów roztrzaskać ich ciała na skałach i pożreć dusze.

Babcie używały urwiska jako straszaka na wnuków. Sama parę dni temu była świadkiem takiej sceny. Siedziała na ławce w parku i patrzyła, jak jakaś stara jędza opiekuje się trójką przedszkolaków. Najstarszy z trójki, rumiany piegus ze strzechą jasnych włosów, ubrany w dżinsy z plamami, próbował zepchnąć młodsze dziecko z drabinek. Małec krzyczał ze strachu i w końcu starsza pani podniosła się z ławki, żeby skarcić małego tyrana. Cindy pokręciła głową, gdy staruszka złapała go za ucho i wyciągnęła rękę w stronę oceanu. Z parku roztaczał się widok na szczyt Góry Terrela.

- Zachowuj się tak dalej, a On po ciebie przyjdzie, jak przychodzi po wszystkich innych. Chcesz, żeby cię zepchnął?

Przerażony chłopiec pokręcił głową i odbiegł od pozostałych dzieci, żeby samotnie bawić się na huśtawce.

Diabły, duchy i zło - tak ludzie w mieście mówili o szczycie. Słyszając podobne rzeczy, Cindy tylko uśmiechała się ze smutkiem i przewracała oczami. Była przekonana, że góra nie jest placem zabaw dla upiorów. Nie wierzyła w duchy. Nawet kiedy James opowiadał z przejęciem o ich zabójczym powabie.

- W urwisku jest coś, co czeka na nas wszystkich -

powiedział.

- Przecież to tylko kawał skały - odparła ze śmiechem.

Teraz już się nie śmiała. Wiedziała, że urwisko żyje. Albo że żyje coś w nim.

Wiedziała, bo to coś do niej mówiło.

Pierwszej nocy, gdy usłyszała głos, była bardzo wystraszona. Wspięła się tutaj wciąż pełna bólu po pogrzebie Jamesa, szukając przyczyny jego śmierci.

Znalazła.

W nocy po pogrzebie Jamesa jej łzy zalewały skałę, dziewczynie zaczęło też kapać z nosa. Ale nie zwracała na to uwagi, najważniejsze było to, że wreszcie może się wyrzucić, że nikt jej tu nie zobaczy ani nie usłyszy. Płakała wstrząsana potężnymi spazmami, niemal się dusząc, a gdy tylko złapała oddech, zaczynała od nowa. Na skraju przepaści, zapewne w tym samym miejscu, z którego skoczył James, uwalniała się od rozpacz, wyła do oceanu, do nieba i Boga, jeśli słuchał.

- Dlaczego go zabrałeś? - wrzasnęła. Nie spodziewała się odpowiedzi.

Ale ją usłyszała.

- *Z powodu Przymierza.*

Wytarła oczy rękawem i szybko podniosła głowę, spojrzała w prawo i w lewo, potem znowu w prawo, szukając źródła głosu.

- Kto tu jest? - szepnęła.

Ściemniło się, odkąd przyszła nad urwisko. Chmury mknęły po niebie, tu i ówdzie prześwitywały gwiazdy. Gniewny ocean huczał miarowo, jakby w zapowiedzi nadciągającej groźnej nawałnicy. Skała, na której siedziała, była tylko o ton ciemniejsza niż niebo. Gdyby ktoś miał wobec niej złe zamiary, czas i miejsce na napaść nie mogły być lepsze.

- Kto tu jest? - powtórzyła, powoli odsuwając się od krawędzi.

- *Nie zrobię ci krzywdy.*

- Skąd mogę wiedzieć? - zapytała wiatru.

- *Z powodu Przymierza.*

Zrozumiała wtedy, że głos nie płynie z żadnego miejsca wokół niej. Nie rwał go wiatr, który dobrze słyszała. Głos był spokojny i czysty. Rozbrzmiewał w jej głowie. „Boże! - pomyślała. - To prawda. Wszystko, co mówili”. Chciała wrzasnąć, chciała zerwać się ze skały i uciec, lecz tkwiła jak wróśnięta w ziemię. Musiała wiedzieć więcej.

- Ty zabrałeś Jamesa?

-*Tak.*

Znała odpowiedź, zanim zadała pytanie, ale mimo to poczuła, jak jej serce przemienia się w kamień.

- Dlaczego? Nigdy nikogo nie skrzywdził. Potrzebowałam go. Wciąż go potrzebuję!

Ale jej pytanie i skargi zawisły w pustce. Zaciśnęła pięści i ze złością uderzyła w ziemię. Potem przygryzła palce. Ból prawie pohamował łzy.

- Kochałam go.

Tej nocy głos nie powiedział nic więcej.

Od tej pory prawie każdego wieczora przemierzała długą ścieżkę wiodącą na urwisko. Nikt nie wiedział, że tu przychodziła. Cóż, Góra Terrela nie cieszyła się popularnością po zmroku. Zbyt wiele osób nie wróciło z nocnych wycieczek. Ale Cindy chodziła tam po kolacji. Rodzice nie komentowali jej długich spacerów, chociaż widziała, jak popatrują jedno na drugie. Martwili się. Martwiliby się bardziej, gdyby wiedzieli, dokąd chodzi.

Mama próbowała pomóc w jedyny sposób, jaki знаła: matkując. Od ponad miesiąca przyrządzała jej ulubione dania.

Proponowała wyprawy na zakupy i napomykała, jaki przystojny jest chłopak Millerów. Cindy nie miała ochoty na nic, ale uśmiechała się i ustępowała mamie, która przecież chciała jej pomóc.

Jedyną rzeczą, jaka pomagała, były spacer. Droga na szczyt urwiska zajmowała jej czterdzieści pięć minut. Gdy już tam dotarła, siadała na krawędzi z nogami zwieszonymi trzydzieści metrów nad zabójczym oceanem i oddawała się rozmyślaniam.

Rozpamiętywała wszystkie drobiazgi, jakie kochała w Jamesie. Jak zeszłego lata próbował zapuścić wąsy i jak śmiesznie wyglądał z rzadką szczotką pod nosem. Jak pocałował ją pierwszy raz za starym dębem w parku. I inne rzeczy, które robili później w tym samym miejscu.

Czasami myślała o studiach i Brendzie. To dziwne, jakie małe wydawało się Terrel po zaledwie roku pobytu poza domem. Przez osiemnaście lat to miasto było jej światem. Potem wstąpiła na uniwersytet, na którym studiowało więcej ludzi, niż mieszkało w całym Terrel Heights. Wyglądało na to, że musiała opuścić miasto, a potem wrócić, żeby uwierzyć w jeden z truizmów, które odrzucała przez większą część dzieciństwa: że Góra Terrela jest bardziej niż niebezpieczna. Że coś złego skrywa się za jej kamiennym licem, czekając na tych dość głupich, by pójść tam po zmroku. Że coś kradnie im dusze.

Ale z jakiegoś powodu wcale się nie bała.

Ponieważ głos wciąż do niej mówił.

Nie co noc, ale wtedy, gdy potrzebowała go słyszeć. Podnosił ją na duchu. Mówił jej, że poświęcenie Jamesa stanowiło część Przymierza. Nie zdradził, na czym ono polega, ale zapewniał, że śmierć Jamesa nie poszła na marne. Powiedział, że dusza złożona w ofierze zapewni

bezpieczeństwo reszcie ludzi w Terrel.

Z jakiegoś powodu, kiedy do niej mówił, żal pierzchał przynajmniej na jakiś czas. Głos rozgrzewał ją bardziej niż kolacje przyrządzane przez matkę.

Dlatego Cindy co wieczór wracała nad urwisko.

Tej nocy głos milczał. Dziewczyna wpatrywała się w wąską smugę fioletu, ostatni ślad dnia na horyzoncie. Zbliżała się chwila powrotu do domu. Westchnęła ciężko. Jej ulubioną porą dnia stały się wieczory spędzane tutaj na patrzeniu na wodę i niebo. Takie drobiazgi jak śmierć, oceny, kariera nie miały wpływu na żywioły. Zazdrościła im trwałości.

Cindy wstała i odwróciła się od krawędzi, żeby ruszyć do domu.

Wtedy ujrzała sylwetkę na tle nieba.

Ktoś szedł w jej stronę!

Nie miała dokąd uciec ani gdzie się schować. Nie wiedziała dlaczego, ale nie chciała, żeby ktoś ją tu zastał. Posuwała się wzdłuż urwiska na północ, mając nadzieję, że intruz pójdzie dalej, nie zatrzymując się na skraju przepaści.

- Hej! - zawołał przybysz. Usłyszała głos mężczyzny. - Kto tam jest?

Zauważył ją. Nie mogła uciec. Stał między nią a miastem, a ona jeszcze nie zwariowała, żeby wybrać inną trasę.

- Jestem Cindy! - zawołała i ruszyła powoli w jego stronę.

- Joe Kieran - przedstawił się trochę zasapany. Ucisnęła wyciągniętą rękę.

Zobaczyła, że jest starszy od niej, choć niewiele. Wiatr od morza wichrzył jego ciemne włosy, a oczy wydawały się jaśniejsze od wieczornego światła. Miał silnie zarysowany podbródek i mocny uścisk dłoni.

- Gdzieś pana widziałam - zaczęła z wahaniem.

- Jestem reporterem, pracuję dla „Timesa”. Kręcę się po mieście.

- Ha, to nie miasto! Co pana tu sprowadza? Tutaj nie dzieje się nic ciekawego.

- Może w tej chwili akurat nie - odparł, patrząc na nią znacząco. - Ale mógłbym cię spytać o to samo. Co taka miła dziewczyna robi na urwisku po zmroku?

ZAśmiał się, nie czekając na odpowiedź i wskazał ręką ocean.

- Jest na co popatrzeć, prawda?

- Tak.

- Choć jak się zdaje, wielu ludzi w tym mieście chce oglądać morze ze zbyt małej odległości.

Odwróciła oczy, zmarszczyła czoło.

- O co chodzi? - zapytał Joe.

- Mój chłopak był jednym z nich.

- James Canady?

- Tak. Skoczył stąd w zeszłym miesiącu. Parę dni przed wakacjami. Jeszcze tydzień, a byłabym w domu.

- O Boże, przepraszam - powiedział Kieran, kładąc jej rękę na ramieniu. - Wiem o Jamesie, pisałem nekrolog do gazety.

Cindy popatrzyła na niego w gęstniejącej ciemności.

- Teraz wiem, dlaczego wyglądasz znajomo. Byłeś na pogrzebie, prawda?

- Tak.

- Posprzeczałeś się z panią Sander, zgadza się?

- Tak. - Spuścił oczy. - Wiem, nie wypadało. Przepraszam, jeśli urządziłem scenę.

- Nie - odparła ze śmiechem. - Nic się nie stało, naprawdę. Poza tym każdy wróg pani Sander jest moim przyjacielem. Chcesz usiąść na chwilę?

Wskazała miejsce, z którego przed kilkoma minutami

patrzyła na zatokę.

- Z przyjemnością.

Joe usiadł po turecku na krawędzi urwiska. Cindy spuściła nogi i zauważyła, że to trochę go zaniepokoiło.

- Często tu przychodzisz? - zapytał.

- Prawie co wieczór od śmierci Jamesa. Tutaj panuje spokój. Nie wiem, ale w tym miejscu w pewien sposób czuję się mu bliższa.

- Jak długo chodziliście z sobą?

- Dwa i pół roku. Tej jesieni byłby trzeci. Miałam nadzieję, że latem namówię go na wyjazd do szkoły. Nie dał mi szansy.

- Nie chciał wyjechać?

- Chciał. Wiem, że w głębi duszy chciał. Ale nawet nie spróbował. Mówił, że ma za słabe oceny albo że za mało pieniędzy. Codziennie inna wymówka. Tak naprawdę nie chciał wyjechać z powodu matki.

- Dlaczego?

- Miała... miała nad nim władzę. Nie wiem, trudno to wyjaśnić. James był naprawdę fantastycznym facetem, gdy przebywał poza domem. Zabawny, opowiadał mnóstwo kawałów, ale takich zwyczajnych, nie świńskich, rozumiesz? Kiedy byliśmy u niego w domu, zdawało się, że radość z niego wycieka. Wyciszał się i poważniał, i robił wszystko, co kazała mama. Tak to wyglądało. Nie chodzi o to, że ja olewam swoją mamę, ale przecież nie zachowuję się jak niewolnik!

- Myślisz, że to ona nie pozwoliła mu złożyć podania na studia?

- Ja to wiem. Słyszałam kiedyś, jak mu mówiła. Gdy zeszłej jesieni szycowałam się do wyjazdu, odciągnęła go na stronę i powiedziała: „Nie wyobrażaj sobie, że za nią pojedziesz, James. Tutaj masz robotę”. Myślała, że nie słyszę.

- Robotę?

- Tylko gońca. Pracował w domu towarowym. Ale pomagał mamie płacić za różne rzeczy w domu. Mówiłam mu, że jeśli pojedzie do szkoły, może znaleźć jakieś prawdziwe zajęcie i posyłać jej pieniądze.

- Wygląda na to, że ucieczka od niej wyszłaby mu na zdrowie.

- Tak mu mówiłam, ale on tylko wzruszał ramionami i zmieniał temat.

Cindy zadrzała, gdy dmuchnął wiatr znad zatoki. Niósł za sobą chłód nocy.

Joe zastanowił się, jak pokierować rozmową. Dziewczyna była kompletnie przybita. W końcu to właśnie tu jej chłopak nagle stał się jej byłym chłopakiem. Kieran uznał, że to mało odpowiednia pora na dalsze dociekanie. Przyda się zmiana tematu. Może zmiana scenerii...

- Słuchaj, podrzucić cię do miasta? Po drodze nie widziałem samochodu.

- Zwykle chodzę pieszo. Ale jasne, skoro proponujesz. Robi się późno, powinnam wrócić do domu.

- No to wsiadaj, zapraszam.

Joe usiadł za kierownicą hyundaia, starając się ukryć podekscytowanie. Spotkanie z Cindy było upragnionym przełomem - nareszcie znalazł osobę blisko związaną z jednym ze „skoczków”, osobę, która nie miała nic przeciwko rozmowie o Terrel, osobę, która go nie splotła. I na dodatek ona była super!

Dziewczyna wsunęła się do wozu, przynosząc z sobą zapach bzu. Odgarnęła jasne włosy z oczu i przełożyła pas przez ramię. Kieran nie mógł nie zauważyć, jak bawełniana koszulka napięła się przy tym na jej piersiach.

- Dokąd? - zapytał.

- Wiesz, gdzie jest Parkside?

- Jasne.

Zawrócił w kierunku miasta. Po chwili jechali wąską drogą ku Terrel, gałęzie drzew muskały samochód z obu stron jak liściaste ramiona. Tutaj, w dolinie, powietrze było wilgotne i wciąż ciepłe po gorącym dniu. Joe oddychał głęboko. W Chicago nie mieli takiego powietrza.

„Ani takich dziewczyn” - pomyślał, zerkając na ponętą pasażerkę.

- Od dawna tu mieszkasz? - zapytał, szukając nowego tematu.

- Od dość dawna - odparła z uśmiechem. - Przez całe życie. Zawsze wiedziałam, że miasto jest małe, ale dopiero po wyjeździe na studia zobaczyłam jak bardzo.

Roześmiała się.

- A co ciebie sprowadziło z Chicago do takiej miejsciny?

Joe spochmurniał.

- Chcesz znać prawdziwą odpowiedź czy tę, jaką podałem swoim rodzicom?

- Czy dwie to za wiele dla wiejskiej dziewczyny? - zapytała, przekrzywiając głowę i patrząc na niego wyczekująco.

- Skądże znowu - odparł z uśmiechem - ale żadna nie jest ekscytująca. Co pierwsze?

- Kłamstwo. Lubię od czasu do czasu posłuchać dobrych kłamstw.

- W porządku. Przyjechałem do Terrel, bo nie mogłem już znieść rozgardiaszu panującego w dziale miejskim w „Chicago Tribune”. Praca mało satysfakcjonująca, zbyt anonimowa, zbyt ciężka. Chciałem wejść w jakiś rodzinny interes w jakimś mniejszym mieście z lepszym klimatem.

- Dla mnie to nie brzmi nieszczerze. Co jest kłamstwem?

- Prawdę mówiąc, uwielbiałem zamęt w dziale miejskim, ulice pełne ludzi... Takie klimaty.

Joe przegarnął włosy palcami i rozsiadł się wygodniej w fotelu. Zobaczyli pierwszy znak Terrel - starą porzuconą stodołę - i skręcili na drogę, która miała doprowadzić ich do Parkside, nowszej części miasteczka.

- Prawda jest taka, że uciekłem. I muszę powiedzieć, że po raz pierwszy od trzech czy czterech miesięcy znów poczułem się jak reporter, gdy trafiłem na tę historię urwiska.

- Co masz na myśli? - Cindy przyjrzała mu się z większym zainteresowaniem. Zauważyła, że ma błękitne oczy. Błękitne jak niebo w dzień idealny na piknik.

- Co wiesz o urwisku? - odpowiedział pytaniem.

Dziewczyna przez sekundę patrzyła w okno.

- Wiem, że wszyscy w tym mieście się go boją. Wiem, że nie wierzyłam w to do tego lata.

- W co nie wierzyłaś?

- Uznasz, że jestem głupia.

- Nie, naprawdę.

Cindy poruszyła się niespokojnie.

- Ludzie mówią, że urwisko jest złe. Niebezpieczne. Myślałam, że to tylko bajki o duchach i że ludzie są głupi, skoro je kupują.

Kieran zbliżył się do głównego wjazdu na osiedle Parkside obrzeżonego przez dwie białe kolumny z ozdobnymi plakietkami.

- W którą stronę?

- W prawo, jeszcze dwie przecznice na Ewing - powiedziała Cindy i zapatrzyła się w okno.

- Nie wiem, czy urwisko jest złe - zaczął Joe - ale wierzę, że jest wygodne. Doskonale miejsce dla kogoś, kto chce się pozbyć ludzi, których nie lubi.

- Wszyscy lubili Jamesa! - Dziewczyna zacisnęła usta obruszona. - Nie miał wrogów. Może z wyjątkiem matki. Ale ona go nie zabiła. Jest apodyktyczną dziwką, ale nie psycholem. James też nie był. Nigdy nie skoczyłby z własnej woli. Musisz w to uwierzyć. Gdybyś go znał...

Nagle wskazała dom po prawej stronie ulicy.

- Tam, tam mieszkam. Ale stań tutaj. Rodzice się wkurzą, jeśli zobaczą, że podwozi mnie nieznajomy.

Joe nacisnął hamulec i podjechał do krawężnika. Odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się dziewczynie. Rozmawiając o urwisku, wydawała się znacznie bardziej przejęta niż wtedy, gdy zwieszała z niego stopy.

- Moglibyśmy spotkać się kiedyś, żeby jeszcze o tym pogadać? - zapytał.

Z namysłem patrzyła mu w oczy. Po chwili podjęła decyzję.

- Jasne. To chyba będzie w porządku. Nie sędzę, żeby w gazecie ukazał się artykuł na ten temat. Wszyscy głównie tylko gadają.

- Nazwij to tematem, który opracowuję dla siebie. Nie wiem, czy ktoś opublikuje artykuł, ale muszę go napisać.

Pokiwała głową, jakby naprawdę rozumiała.

- Może na plaży przy Górze Terrela w tę sobotę? - zaproponowała. - Od przyjazdu chcę wskoczyć do wody, ale stale wspinam się na górę.

- Około południa?

- Dobrze. Do zobaczenia. - Otworzyła drzwi i wysiadła, ale wsunęła jeszcze głowę do wozu.

- Uznasz, że zbikowałam, jednak coś ci powiem. Tylko to musi zostać między nami. Wszystkie pogłoski o urwisku są prawdziwe. Naprawdę prawdziwe.

Zatrzasnęła drzwi. Jej blond włosy kołysały się, gdy jakby

w poczuciu winy szła wolno ulicą.

„Ona też?!” - Joe jęknął w duchu. Na urwisku odniósł wrażenie, że znalazł dobre źródło informacji. Tymczasem dziewczyna była kolejną wyznawczynią demona...

Cindy minęła dwie posesje i wbiegła na podjazd. Kieran jechał za nią, dopóki nie zniknęła w szarym domu. Wtedy przyśpieszył i skręcił na końcu kwartału w kierunku swojego mieszkania. Na dobre czy na złe, w sobotę miał randkę.

Nadszedł czas na rozmowę z paroma innymi osobami. I może na ponowne spotkanie z Angeliką.

Rozdział II

Tej nocy sen nie chciał nadejść. Wilgotne prześcieradło okręcało się wokół jego nóg, w poduszce robiły się grudy za każdym razem, gdy zmieniał pozycję. Niebieskie światło radiobudzika w milczeniu odliczało noc: 22:45, 23:18, 00:23. Nie mógł przestać myśleć o Cindy i o odpowiedzi na jej pytanie. Dlaczego tu przyjechał? I czy mógł uciekać do końca życia?

Kiedy wreszcie zasnął, trapiły go niepokojące sny.

W jednym stał ubrany w czerń na najdalej wysuniętej nad morze krawędzi urwiska. Patrzył na wodę. Fale wściekle biły w brzeg, każda wybuchała jak biała eksplozja, grzywy lśniły niczym zęby w księżycowej poświacie. Trzymał Cindy za rękę... tylko że to niezupełnie była Cindy. To była Ann, główna przyczyna wyjazdu z Chicago.

- Nie mogłeś siedzieć cicho, prawda?! - krzyczała, zagłuszając szum fal. Łzy spływały jej po policzkach, lśniły w blasku księżyca. - Nie wiesz, że zniszczyłeś mi życie? - rzuciła oskarżycielsko. - Dlaczego nie mogłeś zajmować się własnymi sprawami?

- Wykonywałem tylko swoją robotę - odparł.

- Nienawidzę cię! - wrzasnęła i uderzyła go pięściami w pierś.

- Kochałem cię - odparł, kładąc jej rękę na ramionach.

Zepchnął Cindy-Ann z krawędzi urwiska w czarne powietrze nocy. Jej krzyk z początku brzmiał ogłuszająco, ale szybko ścichł i umilkł na zawsze.

Nawet nie spojrzał w dół. Odwrócił się od wody i uśmiechnięty poszedł do samochodu.

Joe zbudził się zlany zimnym potem.

- Cholera - zaklął. - Cholera, Cholera!

Zegar wskazywał 3.19. Przyciskając poduszkę do twarzy, próbował zatrzeć wspomnienia snu, ale wciąż widział oskarżycielską twarz Cindy-Ann.

- Nie mogłeś siedzieć cicho, prawda? - słyszał bez końca.

- Mam swoją robotę - mruknął.

Angelika nie odezwała się od wspólnie spędzonej nocy, a dwie wiadomości, które zostawił jej na sekretarce, pozostały bez odpowiedzi. Mimo to pojechał do domu wróżki.

Nie spodziewał się, że podejdzie do drzwi, ale podeszła.

Znów była w kostiumie: fioletowa jedwabna szata, tym razem w gwiazdy. Pod nią dostrzegł czarną obcisłą bluzkę. Nogi miała gołe i gdy patrzył na ich gładkie krzywizny, o władnęło nim pożądanie.

- Wejdz, Joe - powiedziała z wyraźnym niezadowoleniem.

- Nie wiem, czym mogę cię poczęstować. Nie byłem w sklepie od ponad tygodnia.

- Niczego nie potrzebuję - odparł. Usiadł na małej kanapie, gdzie zaczęła się ich ostatnia sesja.

- W takim razie co mogę dla ciebie zrobić? - zapytała i ściągnęła usta. Nie dostrzegł w niej śladu życzliwości ani erotyzmu, jakim emanowała w ubiegłym miesiącu.

- Możesz zacząć od wyjaśnienia, dlaczego nie odbierasz telefonu.

Cisza.

- Dzwoniłem parę razy - dodał.

- Byłam... zajęta - odparła z lekkim wzruszeniem ramion.

To prowadziło donikąd. Zmienił temat.

- Pewnego wieczora spotkałem na urwisku dziewczynę Jamesa.

- Jak się miewa?

Angelika przysiadła na poręczu kanapy, jakby dając do zrozumienia, że nie zamierza długo z nim rozmawiać. Joe uznał, że nadszedł czas na zakończenie towarzyskiej pogawędki.

- Radzi sobie. - A potem spytał prosto z mostu: - Zastanawiałem się, dlaczego nie masz dzieci?

Było to osobiste pytanie z rodzaju tych, jakich nie cierpiał zadawać. Ale zwykle wynikało z nich coś pożytecznego, trop wiodący do kolejnych pytań.

Wróżka uniosła ciemną brew.

- Kto ci powiedział, że nie miałam?

Nie tego się spodziewał. Odczekał chwilę i podjął:

- Parę tygodni temu pomyślałem, że to dziwne, że z grupy pięciu dziewczyn, które były tam w chwili śmierci Bernadety O'Brien, tylko ty nie masz dziecka. Założyłem, że nie masz, bo nie widziałem u ciebie żadnego dzieciaka. No i nie chcę być brutalny, ale nie słyszałem o żadnym Napoli, który by skoczył z urwiska.

Nie uśmiechnęła się.

- Byłam za młoda, Joe, kiedy zaszłam w ciążę. Miałam dziecko, dziewczynkę. Oddałam ją do adopcji zaraz po urodzeniu. Nie widziałam jej od tamtej pory. Kto wie? Może była jedną z osób, które zostały zabite? A może w ten sposób uchroniłam ją przed klątwą? Mam nadzieję.

- Nie próbowałaś jej odnaleźć?

- To nie byłoby zbyt mądre. Sam wiesz, co spotkało dzieci moich przyjaciółek.

Angelika zaczęła krążyć po pokoju, wlokąc po podłodze długą fiołkową szatę. Wyjrzała przez okno na ulicę, a potem odwróciła się w jego stronę.

- Myślę, Joe, że to się skończyło. Cokolwiek to było, już po wszystkim. Tamtego dnia coś, co mieszka w urwisku,

chciało dostać cząstkę nas wszystkich, które tam byliśmy, a Bernadete wzięło całą. Teraz odebrało nam dzieci. Jak myślisz, co jest ważniejsze dla matki? Życie jej czy życie dzieci? To jest źródłem największego bólu. Po czymś takim śmierć będzie łatwa. Tak, myślę, że teraz zostawi nas w spokoju. Historia skończona, Joe, więc lepiej nie budź licha. Wierz mi, jeśli nie zostawisz go w spokoju, może cię ukąsić.

Wyciągnęła rękę.

- Spodziewam się osoby, która przyjdzie po wróżbę. Dziękuję ci za to, co zrobiłeś dla mnie ostatnim razem. Jestem bardzo wdzięczna. - Jednak w tonie jej głosu Kieran nie doszukał się tego ogromu wdzięczności. Odprowadziła go do drzwi. - Niektórych rzeczy lepiej nie wyciągać z grobów, Joe - poradziła. - Nie odgrzebuj tej sprawy. Niech spoczywa głęboko. - Zamknęła za nim i reporter zdał sobie sprawę, że został umiejętnie splawiony. I że jeśli chciała podsycić jego zaintrygowanie, to zrobiła to doskonale. Gdy oddalał się od szyldu WRÓŻKA ANGELIKA, znów poczuł dawne ssanie w dołku. Został wykorzystany. W zeszłym miesiącu ta kobieta wzięła go jak wibrator, a potem wyrzuciła niczym zużytą prezerwatywę. Teraz nawet nie chciała z nim rozmawiać.

Przez chwilę gryzło go sumienie. Czy nie tak czuły się jego źródła, kiedy on je wykorzystywał, wypompując z nich informacje? Uznał jednak, że nie. Miał znacznie lepsze maniery.

Rozdział III

Za oknami sypialni sobota wstała w obiecującym blasku złota. Joe przeciągnął się i przewrócił na bok, potem zmusił zapuchnięte oczy do spojrzenia na radiobudzik: 10:14. Niejasno pamiętał, że do trzeciej czytał powieść Grishama. Jeśli za półtorej godziny ma być na plaży, koniecznie musi wypić kawę.

Pod prysznicem wraz z parującymi strugami wody runęły na niego pytania, które nurtowały go od połowy tygodnia - od poznania Cindy i bezproduktywnych czwartkowych poszukiwań u Angeliki.

Chciał się dowiedzieć, co przeciętna osoba z miasta naprawdę myśli o urwisku i morderstwach. Chciał wiedzieć coś więcej o pięciu matkach. I o śmierci w Halloween. W ciągu tygodnia w jego głowie wyklął się szalony pomysł, że Terrel jest siedliskiem pogańskiej sekty morderczych druidów. To mogłoby wyjaśnić stuletnią ciągłość halloweenowego łańcucha śmierci. Jak dotrzeć do tych fanatyków z Terrel? Może przez Cindy albo przynajmniej przez jej znajomych.

Gdy Joe wyszedł spod prysznica i wytarł się ręcznikiem, jego umysł z powrotem pracował na pełnych obrotach.

„Mocna kawa nie zaszkodzi” - pomyślał.

Włożył czarne bermudy i koszulkę z koncertu The Cure, po czym poczłapał do kuchni, żeby zemieć kawę.

Gdy parzyła się kofeinowa zupa, wyciągnął z „Timesa” dodatek weekendowy i przejrzał ofertę imprez. W kinie puszczano filmy Hitchcocka: dzisiaj „Ptaki” i „Nieznajomych z pociągu”, jutro „Sznur” i „Psychozę”.

Czy mieszkańcy tego miasta naprawdę potrzebowali oglądać „Psychozę”? Albo patrząc z innej strony, czy kino

nie pokazało miejscowym o jeden film Hitchcocka za dużo?

W kawiarni „Kolumbijska” w ten weekend występował piosenkarz folkowy. „Bliski Kosmos”, jedyny klub rockowy w Terrel (ukryty na przedmieściach w pobliżu taniego hotelu), reklamował grupę Toxic Gas, zbawców punka z Charleston. Joe uśmiechnął się szeroko. To mogło być idealne miejsce na szukanie satanistów.

Nalał kawy do kubka z wciąż syczącego ekspresu, wyjął nożyczki i wyciął ogłoszenie. Może Cindy bywała w „Bliskim Kosmosie”. Postara się pamiętać, żeby ją o to spytać.

Joe mocno się pilnował, żeby nie przekroczyć osiemdziesiątki na krętej ścieżce, którą lokalny wydział transportu definiował jako drogę. Samochód kołysał się i podskakiwał, zawieszenie jęczało głośno, kiedy zjeżdżał na brzeg. Dzień był wspaniały: słońce prażyło, niebo miało w sobie tyle błękitu, że aż bolały oczy.

Przed wyjazdem Kieran wrzucił jakieś chipsy i ciastka do torby z emulsją do opalania i koszmarnie pomarańczowym ręcznikiem. Założył okulary przeciwsłoneczne. Pozostawało pytanie, czy Cindy się pojawi.

Poczuł ukłucie lęku, co go zaskoczyło. Naprawdę pragnął się z nią spotkać. Widział dziewczynę niespełna pół godziny, ale uświadomił sobie, że trafi go szlag, jeśli ona oleje tę randkę.

Samochód pokonał ostatni zakręt. Nagle drzewa i krzaki znikły. Miał przed sobą błękitnozielone fale bijące w zwały ciemnych skał. Urwisko wznosiło się półtora kilometra dalej.

Koła buksowały lekko w pełnych żwiru koleinach, które biegły wzdłuż skraju wody. Jadąc tak blisko oceanu, z trudem opierał się pokusie patrzenia na fale zamiast na drogę. Potem

żwir się skończył i spod kół trysnęły pióropusze piasku. Skręcił na leżący wyżej spleść trawy. Pomimo idealnej pogody plaża jak okiem sięgnąć świeciła pustkami... pomijając jedną osobę, która wylegiwała się na ręczniku kilka metrów dalej. Plażowiczka wyglądała nadzwyczaj kusząco.

Joe chwycił torbę i zatrzasnął drzwi samochodu.

- Hej! - zawołała Cindy, przekrzykując ryk przyboju i przeganiając Joego żartobliwie. - Reporterom wstęp wzbroniony. Tu nie ma nic ciekawego!

Uśmiechnął się i przyspieszył.

- Proszę mi wybaczyć szanowna pani, chciałbym prosić o oświadczenie - powiedział, podchodząc bliżej.

- Na jaki temat?

- Hm, niech pomyślę... Czy pani wie, że noszenie takiego kostiumu kąpielowego jest szkodliwe dla zdrowia psychicznego wszystkich mężczyzn w promieniu trzydziestu metrów?

Dziewczyna skrzywiła się i wskazała różowo-żółte trójkąciaki, które ledwo okrywały jej piersi i łatkę prywatnego trawniczka poniżej pępka.

- Mówisz o tym niewinnym maleństwie?

- Właśnie.

Podniosła ręcznik i szczelnie otuliła ramiona.

- Nie chcę być odpowiedzialna za spowodowanie szkód.

- O mnie się nie martw - odparł Joe ze śmiechem. - Zostałem specjalnie wyszkolony do radzenia sobie mimo takich strojów kąpielowych.

- Poważnie? Powiedz mi, gdzie można odbyć takie szkolenie? W Chicago? - Cindy odgarnęła z oczu kosmyk jasnych włosów. - Czy w Chicago mają takie kostiumy? Wiesz, nie przypuszczam, aby noszenie ich w czasie śnieżycy

było zbyt przyjemne.

- Od czasu do czasu temperatura wzrasta powyżej zera - zażartował. - Do licha, mamy tam nawet parę plaż z prawdziwym piaskiem.

- Tak, ale czy woda nie jest zwykle zamarznięta albo pełna takiej brzydkiej lodowej kaszy?

- Zamarznięta? A kasza? To zależy, w którą stronę płyną prądy z rafinerii w Indianie... i jakie niosą odpady.

Roześmiała się i ściągnęła ręcznik z ramion, odsłaniając ciemną skórę.

„Łatwo się opala” - pomyślał Joe. Wcześniej mu powiedziała, że w tym roku nie spędziła dużo czasu na słońcu pomimo codziennych spacerów na urwisko.

- Zapraszam. - Cindy chwyciła ręcznik za rogi i pozwoliła, żeby wiatr rozpostarł go w powietrzu nad piaskiem jak czarodziejski dywan. - O ile uważasz, że to bezpieczne.

- Zaryzykuje. - Uśmiechnął się i rzucił torbę na piasek.

- Stąd nie wygląda tak strasznie, prawda?

Reporter wzruszył ramionami.

- Kwestia perspektywy, jak sędzę. Wszystko wygląda inaczej w zależności od miejsca, z którego się patrzy. Ciekawe, co widzą ci, którzy patrzą na urwisko w locie. - Podniósł głowę, żeby spojrzeć na ścianę skalną sterczącą nad zatoką. - Niektórzy myślą, że oni wszyscy byli zdesperowanymi samobójcami. Inni sądzą, że jakiś potwór pchnął ich ku śmierci. Jeszcze inni, jak ja, są zdania, że za serią tych zgonów stoją jacyś ludzie. Wszystko zależy od punktu widzenia.

Oczy Cindy stały się zamyślane, gdy spojrzała na urwisko. Milczała.

„Cholera! - pomyślał Kieran. - Za szybko. Najpierw daj się polubić, dopiero potem zacznij maglować”.

- Hm, przepraszam, nie chciałem poruszać tego tematu.

Potrząsnęła głową. Przez chwilę miała zaskoczoną minę.

- Och... nie, Joe, nie ma sprawy. Nie przejmuj się. Wierz mi, wiem, że wszystko wygląda inaczej w zależności od punktu widzenia. Parę lat temu przyszłam tutaj i myślałam, że wiem wszystko o tym mieście, o tej plaży. Potem wyjechałam do szkoły i Terrel jakby się skurczyło, wiesz? Przestało być ważne, jakby w zasadzie nigdy nie miało znaczenia. Ale potem James... rozumiesz.

Przygryzła usta, a Kieran na siłę zdusił chęć przytulenia dziewczyny. Ledwo ją znał. Ale sposób, w jaki stawiała mały znak zapytania na końcu niektórych zdań... Oddałby za to życie.

Zanim zdecydował, czy pogładzić ją po ramieniu, zaczęła mówić:

- Teraz rozumiem, że nie wiedziałam wszystkiego, co można wiedzieć o Terrel. Ono przestało dla mnie być zwyczajnym sennym miasteczkiem. Wiem, że słyszałeś pogłoski o urwisku i pewnie masz za idiotów tych, którzy w nie wierzą. Ja też tak myślałam. Teraz wiem swoje.

- Może od tego powinienem zacząć. Powiedz mi, co ludzie mówią o urwisku. Słyszałem tylko, że mam trzymać się od niego z daleka. Wiesz, ktoś wsunął mi pod drzwi liścik z ostrzeżeniem. Jeśli nie odczepię się od Góry Terrela, to „znajdzie mnie śmierć”.

Cindy szeroko otworzyła oczy i znów popatrzyła na szczyt urwiska, jakby tam spodziewała się znaleźć odpowiedź.

- To niemądre - zaczęła powoli takim tonem, jakby sama w to nie wierzyła. - Jest Przymierze...

Joe uniósł brew.

- Przymierze?

- Hm... tak. Nie wiem. Jedna z historii mówi, że stary

Terrel, który mieszkał w latarni na urwisku, stał się odludkiem. Lubił czytać. Rzecz w tym, że miał dość dziwne upodobania, a im dłużej siedział na wzgórzu, tym stawały się one dziwniejsze. Podobno statki, które tu zawijały, z całego świata zwoziły mu książki o magii i okultyzmie. Podobno za ich pomocą wezwał demona, który dotrzymywał mu towarzystwa w długie wieczory.

Z uśmiechem popatrzyła na Joego.

- Niezłe towarzystwo, co?

- Tak, ale ja chyba wyczarowałbym sobie kobietę - powiedział Kieran i zarumienił się lekko. Nie mógł nic na to poradzić, właśnie ją widział jako kobietę, którą by wyczarował. Cindy tylko się roześmiała, a ten delikatny, swobodny dźwięk uśmierzył jego wyrzuty sumienia.

- Podobno po śmierci starego Terrela... pewna historia mówi, że demon zabił go w czasie sprzeczki... W każdym razie po śmierci starego demon utknął tutaj i czuł się bardzo samotny, co noc krążąc po latarni. Rada miejska próbowała zatrudnić nowego latarnika, nikt jednak nie zagrzał miejsca na dłużej niż parę tygodni. Skarzyli się na nocne hałasy i dziwne światła w korytarzach. Niektórzy nie wytrzymali nawet jednej nocy. Nic dziwnego, że w końcu zabrakło chętnych do tej roboty. Ale w czasie sztormów, choć na urwisku nie było nikogo, ludzie widywali światło nad zatoką. Rozumiesz, w czasie burzy latarnia była najbardziej potrzebna, żeby statki nie rozbiły się na skałach. Dlatego mieszkańcy mówili, że stary Terrel zawarł pakt z demonem, aby chronić miasto. Nazwali ten pakt Przymierzem. Wiesz, ludzie skaczący z urwiska pochodzili spoza miasta Terrela. Tutejsi stali się przesądni, zaczęli wierzyć, że demon żąda ofiar w zamian za strzeżenie miasta. Uznali, że jeśli będą trzymać gębę na kłódkę, wtedy demon zadowolony się obcymi,

a ich zostawi w spokoju.

Joe skrzywił się, kręcąc głową.

- Ale to było jakieś pięćdziesiąt lat temu - powiedział. - Mówisz, że wszyscy w tym mieście wciąż wierzą w demona, który czuwa nad nimi z urwiska i raz w roku przyjmuje ofiarę w postaci kogoś z zamiejscowych?

- W zasadzie tak. Obłądne, prawda?

- W zasadzie tak - przyznał. - I wszyscy w mieście znają te historie?

- Jasne, każdy je słyszy praktycznie od urodzenia. Wszelkiego rodzaju opowieści o duchu z Góry Terrela.

- Na przykład?

Cindy oparła się na łokciach, eksponując piersi. Joe miał wielką ochotę pocałować delikatną wklęsłość jej pępka i wyobrażał sobie raj, który ledwo skrywały majteczki. Skrzyżował nogi, nie chcąc, żeby zobaczyła, jaki skutek wywarła na nim jej pozycja.

- Hm - mruknęła, namyślając się z twarzą uniesioną ku błękitowi nieba. - Na przykład o tym, co podobno spotkało chłopaka, który nazywał się John Ryan. Usłyszałam tę opowieść na biwaku skautek. Takie historie snuje się przy ognisku.

- Możemy udawać, że siedzimy przy buzującym ogniu? - Joe wytarł pot z czoła. - Tak właśnie zaczynam się czuć.

Roześmiała się i usiadła, podciągając kolana do piersi i obejmując łydki rękami.

- Rozumiesz, Góra Terrela jest nawiedzonym domem tego miasta. Spójrz na tę plażę. Każda inna w środku lata byłaby zapchana! Ludzie przychodzą na urwisko zwykle wtedy, gdy chodzi o jakiś zakład czy coś takiego. W innych miastach takim wyzwaniem jest wchodzenie do opuszczonych domów. My tutaj podpuszczamy jeden drugiego do wejścia na górę.

Podobno John Ryan wybrał się z grupą kumpli na urwisko. Postanowili urządzić sobie imprezę z okazji ukończenia liceum. Siedzieli tam, gdzie kończy się droga, pili, palili, pieścili się, wiesz, jak to jest. Po paru sześciopakach, kiedy zrobiło się późno, ktoś rzucił wyzwanie Johnowi Ryanowi i nazwał go fujarą. Powiedział, że jeśli chce udowodnić, że jest inaczej, niech weźmie latarkę i idzie na szczyt góry. „Masz cykora?” - podpuszczali go przez jakiś czas. W końcu upokorzony, lekko wstawiony chłopak wziął latarkę od jednej z dziewczyn i ruszył w drogę.

„Błyśnij, jak będziesz na górze, żebyśmy wiedzieli, że to zrobiłeś!” - zawołał ktoś za nim.

No i John Ryan maszerował ścieżką na szczyt góry, gdzie kiedyś stała stara latarnia.

„Błyśnij trzy razy, jak zobaczysz ducha!” - zawołał ktoś inny.

Patrzyli, jak wchodzi coraz wyżej. Wreszcie zniknął im z oczu, a wówczas zapadła cisza. Nie mieli ochoty gadać, bo wiedzieli, że sami nie podjęliby wyzwania. Wszyscy czuli się trochę winni, że go sprowokowali.

Noc była bezksiężycowa, fale głośno uderzały o skały. W dole mogli zobaczyć grzywacze, ale ledwo, ledwo. Patrząc w górę, widzieli wierzchołek Góry Terrela, ciemną plamę, odrobinę ciemniejszą od bezgwiezdnego nieba.

Stali i patrzyli. Mijały kolejne minuty. Nie było widać ani światła latarki, ani Johna Ryana. Zaczęli się robić naprawdę nerwowi, patrząc to na szczyt, to na podnóże urwiska.

„Pewnie zawrócił, ominął nas i pobiegł do miasta” - stwierdził jeden z futbolistów.

„Może ktoś powinien pójść za nim” - powiedziała dziewczyna od latarki, bo czuła się najbardziej winna.

„Nie mówiliśmy, że nie wolno mu oświetlać drogi na

szczyt” - zauważył rozsądnie inny spięty licealista.

Wtedy na Górze Terrela zamrugało pomarańczowe światło.

„Jest!” - krzyknął ktoś i wskazał blask.

Ale światło zgasło równie szybko, jak się zapaliło. A potem usłyszeli wrzask, straszny, okropny, rozdzierający uszy.

„Co to było?” - zapytała jedna z dziewczyn. W tej samej chwili światło znowu zamrugało, tym razem jakby w powietrzu, poniżej krawędzi urwiska.

„Patrzcie! - wołali. Latarka zgasła. - Co to było?”

Światło zapaliło się trzeci raz na ułamek sekundy - na plaży pod Górą Terrela. Któraś dziewczyna dostrzegła je i wrzasnęła. Wszyscy wskoczyli do samochodów i popędzili do miasta. Obiecali jeden drugiemu, że nikomu nic nie powiedzą, bo wtedy musieliby wyjaśnić, co robili w nocy pod szczytem. Ale pewna dziewczyna pękła i wygadała się rodzicom, a oni zawiadomili policję.

Następnego dnia grupa poszukiwaczy znalazła u stóp urwiska roztrzaskaną latarkę.

Cindy szeroko otworzyła oczy i pochyliła się w stronę Joego, robiąc dramatyczną przerwę.

- Lecz ciała Johna Ryana nigdy nie odnaleziono - dokończyła szeptem.

Po chwili ze śmiechu aż zakółsała się na ręczniku.

- Straszne, co?

- Owszem - przyznał Joe - ale kto powiedział, że chłopak nie spadł z krawędzi, bo po prostu był pijany? A potem odpływ zabrał jego ciało.

- Dokładnie to samo mówiłam - przyznała i poderwała się z ręcznika. - Chcesz popływać?

Dziewczyna pobiegła ku wodzie, a Joe za nią, po drodze

zrzucając koszulę i buty. Zanim jego stopy zapadły się w błotnisty piasek na brzegu, Cindy już odpłynęła o dwadzieścia metrów. Różowo-żółty tyłeczek wynurzył się z wody, a potem zniknął pod falami. Kieran skoczył przez grzywacze i zaczął mocno wymachiwać rękami, żeby ją dogonić.

- Nie guzdraj się! - zawołała, wynurzając głowę jeszcze dalej od brzegu. - W Chicago nie uczą was pływać?

- Jasne, że uczą. Ale jeśli pływamy zbyt szybko, kończy nam się woda!

Fale były silniejsze, niż wydawało się z plaży. Musiał bardziej się przyłożyć. Ale przyjemnie było pływać bez lęku, że wpadnie na kogoś w tłumie. Od czasu ich przyjazdu zjawiało się kilka osób, ale plaża wciąż wyglądała na pustą. Z drugiej strony pustki w taki idealny dzień mogły przyprawić o ciarki.

„Kolejny efekt przesądów, jakie rządzą tym miastem” - pomyślał.

Woda była chłodna, ale nie lodowata, jak w jeziorze Michigan - tam nawet w środku lata nie miała takiej temperatury. Wokół niego pomykały ławice ryb, od czasu do czasu płetwy muskały go po udach i łydkach. Schował głowę pod wodę i otworzył oczy. Zobaczył ciemnozielone dno z wodorostami kołyszającymi się wśród skał. Gdzieś na dnie zatoki wyrastały pagórki, niektóre sięgały nad wodę. Przed sobą zobaczył umykające zielono-żółte rybki. Wynurzył głowę i stwierdził, że nie dopędzi Cindy - miała sporą przewagę i była przyzwyczajona do pływania w tych falach. On co chwilę musiał wypluwać wodę.

Gdy zaczął się zastanawiać, czy starczy mu sił na powrotną drogę, dziewczyna siedziała już na głazie po drugiej stronie zatoki. Brakowało mu tchu, a gdy do niej

dopłynął, nogi bolały go z wysiłku.

Położyła się na brzuchu i wyciągnęła rękę.

- Z wody, szczerze łądowy!

Padł obok niej jak nieżywy. Głaz był dość duży, żeby mogli położyć się oboje, zwieszając stopy ze skraju.

- Uwielbiam tu pływać - powiedziała. Ledwo ją usłyszał w głośnym szumie oceanu. - To działa uspokajająco.

Wskazała palcem na otwarte morze.

- Tam jest przestrzeń i bezkres. Swego rodzaju kosmos. Nigdy nie zdołasz go zbadać. Tam...

Wskazała wieżę kościoła metodystów, jedyny widoczny z tego miejsca dowód istnienia miasteczka Terrel.

- Tam czasami panuje klaustrofobiczna ciasnota. Tutaj jest idealne miejsce. Jesteśmy pomiędzy zerem a nieskończonością.

Roześmiała się trochę nerwowo, ale beztrzesko.

- Głupio gadam, prawda?

- Wcale nie - odparł wciąż lekko zasapany. Czuł ogień w płucach. - Myślę, że całkiem mądrze. Problem w tym, że nie możesz mieszkać zbyt długo tutaj, pośrodku. Musisz wybrać stronę. Kim chcesz być? Podróżnikiem czy małomiasteczkową gospodynią domową? Chcesz żyć w komforcie zera czy w chaosie nieskończoności?

Cindy oderwała spojrzenie od plaży i popatrzyła na fale. Na horyzoncie błękitne sklepienie nieba stapało się z oceanem. Perfekcyjny pocałunek powietrza i wody.

- Kiedyś wiedziałam - odparła. - Teraz nie jestem pewna.

Położyła się, wspierając głowę na ręce. Joe pożerał ją wzrokiem. Kostium opinał ciało dziewczyny, żółto-różowe wypukłości sterczały w jego stronę. Sutki stwardniały pod wpływem chłodnych pocałunków oceanu. Woda zbierała się we wklęśnięciu pępka, a potem spływała po lśniącej skórze,

by niknąć w porach skały. Kieran musiał sobie powtarzać, że nie przyszedł tu na podryw, tylko po informacje. Ale gdy spojrział jej w oczy, roziskrzone w popołudniowym słońcu, pierwotny cel popadł w zapomnienie.

- A ty? - zapytała. - Kim chcesz być?

- Myślałem, że przerobiliśmy to tamtego wieczora.

- Zaczęliśmy, ale się wymigałeś. Chcę wiedzieć, dlaczego jesteś w Terrel. Wyglądasz na podróżnika. Myślę, że jesteś prawdziwym reporterem. Życie w Terrel nie jest tym, o czym marzy prawdziwy reporter!

- Mnie to mówisz?

- Więc dlaczego? Zostaniesz czy wyjedziesz? A może... - Pokazała w uśmiechu trochę za wiele zębów. - Może przywiodła cię tu wielka, tajemnicza historia?

- Historia mojego życia.

- Słucham.

- Zaczyna się, gdy byłem chłopcem...

- Przestań! Śmiało, bez wykrętów.

- Może później. Po paru piwach. Możesz pić, prawda?

- Zależy kto stawia.

- Ja, jeśli pokonasz mnie w drodze do brzegu.

- Hazardzista! - Zsunęła się ze skały i niemal nad falami pomknęła ku plaży.

Joe podążył za nią, ale tym razem nawet nie próbował jej doścignąć.

Rozdział IV

Słyszałaś Jego wezwanie?

- Tak - odparła Karen Sander, ściskając szklanekę tak mocno, że zbieleły jej kłykcie.

- Niebawem musimy odpowiedzieć.

- Wciąż słyszę Go w snach. Nie mogę spać. A kiedy zasypiam, moje sny...

„...Skrwawione ręce, obejmujące, gładzące, pieszczące...”

Karen przegarnęła włosy drżącą dłonią.

- Wiem, wiem. Mówiłam ci, że nie skończy się na Jamesie. Czulałam nawet to... to mrowienie, o jakie On przyprawia. Jakbym znów musiała z kimś być. Minęły lata odkąd to czulałam, odkąd czulałam ten przymus. Pomyślałam nawet, że znów zacznę malować. Ale nie tknęłam pędzla. Nie chciałam mu ulec.

Druga kobieta pokiwała głową.

- Ja w tym tygodniu godzinami grałam na fortepianie. Nie mogłam przestać, jakby ktoś inny kierował moimi rękami. Nadal uważam, że kluczem jest Rachel. Jeśli się dowiemy, co zrobiła z dzieckiem, spełnimy ostatni warunek Przymierza. I wtedy będziemy miały spokój.

- Nie, jeśli ten reporter się od nas nie odczepi - westchnęła Sander. - Co będzie, jeśli pozna całą historię? Jeśli prawda wyjdzie na jaw, ludzie z miasta nas zabiją.

- Rozmawiałaś o tym z innymi?

- Nie. Ale myślę, że może nadszedł czas na zebranie. - Karen pokiwała głową, jakby już podjęła decyzję. - Nie nad wodą.

- Niedługo musimy tam pójść. Oszaleję, jeśli tego nie zrobię.

- Gdy pójdziemy... jeśli pójdziemy, to tylko jako grupa -

przestrzegła Sander. - Pamiętaj.

- W takim razie zwołaj zebranie. Szybko. Proszę.

Rozdział V

„Bliski Kosmos” był znacznie czystszy, niż Joe się spodziewał, ale mroczny zgodnie z oczekiwaniami. Ściany pomalowano na czarno, podłogę wyłożono ciemnymi płytkami. Pod jedną ścianą ciągnął się porysowany, imponujący drewniany bar, który kiedyś mógł być ozdobą kinowego holu. Cała ściana na tyłach klubu pełniła rolę tablicy ogłoszeniowej, obwieszona plakatami kapel, które niebawem miały grać w mieście, i tym podobnym śmieciem. Pomędzy afiszami ludzie przypinali wypisane czarnym markerem ogłoszenia o zebraniach klubu obywatelskiego i kartki w rodzaju „Szukam współlokatora”. Na podłodze leżały darmowe czasopisma, a na półce kolorowe ulotki. Joe uznał, że nie mógł wybrać lepszego miejsca, żeby dowiedzieć się czegoś o ciemnej stronie kultury Terrel.

Cindy nie kryła entuzjazmu, gdy na plaży wspomniał o tym lokalu.

- „Kosmos”?! - zawołała z uśmiechem. - Tak. Gra tam mnóstwo niezłych kapel. Bywam tam czasami. Podają alkohol bez sprawdzania, czy człowiek jest pełnoletni.

Powiedział jej, że szuka czegoś, co naprowadziłoby go na sekty albo jakieś dziwne grupy działające w Terrel.

Przewróciła oczami.

- W Terrel nie ma druidów składających ofiary na urwisku. Gdyby byli, pewnie znalazłbyś ich w „Kosmosie”, ale po prostu ich nie ma. Nie oni za tym stoją.

Mimo wszystko obiecała, że spotkają się w klubie wieczorem.

Czekając, Kieran przeglądał ulotki na tyłach klubu. Jego oczy szybko przyciągnął stosik fioletowych kartek z napisem: „WRÓZKA ANGELIKA. Przyjdź do mnie, a ja pokażę Ci

przyszłość”.

Pokręcił głową i sięgnął po kolejną reklamówkę. „Grupa Neorenesansu” zapraszała na „spotkania w kręgu, wspólne udawanie i zabawę w środowe wieczory o 17.00”.

Były też ulotki reklamujące miejscowe komiksy czy ogłoszenia zespołów, które szukały gitarzystów. Znalazł nawet kuszącą ofertę masażu: „Przyjdę do Ciebie, gdy zeszytnieją Ci członki, a gdy wyjdę, będziesz zupełnie odprężony”.

Potem natknął się na coś, co wyglądało na prawdziwy skarb. Ogłoszenie wydrukowane na żółtym papierze i otoczone ramką z wijących się węży.

BADACZE URWISKA

szukają nowych członków.

Przyjdź czcić z nami ducha ziemi.

Poznaj siłę, która może pochłonąć nas wszystkich.

Dowiedz się, co mieszka pod Górą Terrela.

Zbadaj wraz z nami tajemnicę.

Kontakt: Ken Brownsell, tel. (880) 555-3556.

Joe z uśmiechem schował kartkę do kieszeni. Teraz mógł wytropić paru interesujących świrów i przeprowadzić wywiad.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

- Przepraszam, czy nie widziałam pana wcześniej nieprzyzwoicie rozebranego do kąpielówek?

Uśmiechnął się i odwrócił do uśmiechniętej Cindy. Była ubrana z modną niedbałością w swobodną szarą koszulkę na ramiączkach i obcisłe czarne spodnie. Włosy miała związane w koński ogon, ale przez makijaż wyglądała na dwadzieścia pięć lat. Uszy ozdobiła srebrnymi kolczykami w kształcie trupich główek.

- Tak, a czy ja nie widziałem pani w nieprzyzwoicie

mikroskopijnym bikini?

- Możliwe. Jakiś problem?

- Absolutnie.

- Chodź, usiądźmy. Za pół godziny będą tylko miejsca stojące.

Idąc w stronę sceny, lawirowali wśród okrągłych stolików, wokół których siedzieli roześmiani, rozgadani ludzie.

- Ten jest wolny. - Wskazała dziewczyna. - Później możemy zostać odepchnięci przez tańczących, ale...

Joe wzruszył ramionami i wysunął dla niej krzesło. Cindy ominęła je i powiedziała:

- Sama potrafię to zrobić. Ale możesz postawić mi piwo. Millera. Genuine... Proszę.

Usiadł i wyszczerzył zęby. Ta dziewczyna pobudzała go do uśmiechu. Przypominała ludzkiego motyla, który pomyka z miejsca na miejsce, nigdzie nie przysiadając na tyle długo, aby dać się złapać. Ale bawiło go polowanie i to, że wyciskała z niego dobry humor tak łatwo, jak sok z dojrzałej pomarańczy.

Zanim zdążył się rozejrzeć, kelnerka sama do nich podeszła. Kiedy zamówił dwa piwa, ruszyła do następnego stolika. W trakcie przyjmowania zamówień zbierała puste butelki na tacę. Niczego nie zapisywała i Joe nie miał pojęcia, jak może wszystko spamiętać.

- Słyszałaś już wcześniej tych gości? - zapytał Cindy.

- Toxic Gas? Nie. - Pokręciła głową. - Ale znam faceta z kapeli, która będzie grała przed nimi. Anglicide. Dają czadu... w zeszły Halloween zrobili przedstawienie z odwróconym krzyżem wiszącym za perkusją. Na koniec wrzucili krzyż do płonącego wiadra. Mają dryg dramatyczny.

- Nie ubrałem się zbyt kolorowo? - zapytał Joe, widząc wokół tylko czerń. Czarne szminki, czarne spodnie, czarne

pończochy...

- To nie ma znaczenia - odparła, przysuwając się, żeby zarzucić mu rękę na ramiona. - Przychodzą tu różni ludzie, dzisiejszy wieczór jest po prostu bardziej gotycki. Gdybym naprawdę się angażowała, założyłabym podarte nylony i czarny, głęboko wcięty top z łańcuchem w talii. I pewnie utapirowałabym włosy. Wpięła gdzieś po dwa, trzy dzęty...

- Wystarczy - przerwał jej ze śmiechem. - Przerażasz mnie. Czy kapela twojego kolegi jest dobra?

- Są trochę podobni do Cultu, ale bardziej mroczni.

Kelnerka wróciła z butelkami i Kieran podał jej pięć dolarów.

- Kiedy zaczną? - zapytał, gdy odeszła. Rzeczywiście, jak zapowiedziała Cindy, nikt nie sprawdzał, czy klienci są pełnoletni.

- Pewnie za dwadzieścia, trzydzieści minut. Zawsze ogłaszają, że występ zacznie się godzinę wcześniej, niż się zaczyna.

Pociągnęła łyk piwa i ruchem głowy wskazała jego butelkę.

- Pij szybciej.

- Dlaczego?

- Jesteś mi winien historię życia, a powiedziałeś, że możesz zacząć dopiero po kilku piwach. Dlatego pij szybciej.

Posłusznie pociągnął długi łyk.

- Co chcesz wiedzieć?

- Ile... ile masz lat?

- Martwisz się, że jestem za stary, aby się ze mną pokazywać?

- Nie. Jestem tylko ciekawa. Jeśli zgadnę, postawisz mi następne piwo?

- Jasne.

Pochyliła się i uważnie wpatrzyła w jego twarz.

- Hm. Nie ma wyraźnych zmarszczek ani plam wątrobowych, a jednak...

Klapnął ją w rękę, gdy sięgała do jego włosów.

- Mów.

- Dwadzieścia cztery.

- Blisko. Dziewczyna dostaje punkty za odmłodzenie. Dwadzieścia pięć.

Udała, że się dąsa.

- Nie dostanę piwa? - zapytała.

- Och, nie ma obawy! Pochlebstwo cię spije. Czy twoi rodzice wiedzą, że wyszłaś ze starszym mężczyzną?

- Czy nie mówią, że facet powinien być cztery albo pięć lat starszy od dziewczyny? - zapytała, przerzucając koński ogon przez ramię. - Mężczyźni dojrzewają znacznie wolniej niż my!

- Błagam, odpowiedz na pytanie.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Powiedziałam im, że poznałam sympatycznego młodego reportera, który zabiera mnie na występ świetnej, ambitnej, odłotowo koncertującej kapeli.

- Odłotowo koncertującej czy koncertowo odlatującej?

- Wybór należy do ciebie. Chyba zaraz zaczną.

Skinęła głową w stronę sceny, gdzie pojawiła się grupa dwudziestokilkuletnich facetów. Solista kocim krokiem podkraść się do mikrofonu, jego jaskrawoczerwone usta kontrastowały z nienaturalnie bladą twarzą. Na koszulce miał spłowiałe zdjęcie Roberta Smitha z The Cure.

- Kiepski naśladowca - mruknął Joe.

Kieran szybko uznał, że Cindy trafnie określiła charakter

zespołu. Gdy cały klub dudnił od basów, przypomniał sobie studenckie noce spędzane na włóczeniu się po mrocznych jaskiniach „Cabaret Metro” w Chicago, gdzie słuchał Stabbing Westward, Black Tape for a Blue Girl i innych punkowych kapel o gotyckiej orientacji. Grupa Anglicide rzeczywiście hołdowała stylowi Cultu, praktycznie rezygnując z jakiegokolwiek oryginalności. Joe po trzech utworach wiedział, jakie będą następne. Ale mieli energię. I włosy. I dryg dramatyczny, jak to nazwała Cindy. Solista podrywał ręce przy każdym słowie, miotał się i wyginał przed mikrofonem, gdy gitary zawodziły posepnie.

Po trzech swoich kawałkach i jednym utworze Joy Division Anglicide odstepili scenę grupie Toxic Gas. Ich ogolone głowy, obcięte džinsy i tuningowane gitary wprowadziły do klubu zupełnie inną atmosferę. Joe szybko stwierdził, że dobrze dobrali sobie nazwę. Byli toksyczni. Cindy z bolesnym grymasem pokiwała głową, gdy w połowie występu zapytał, czy chce wyjść.

- Boże... - jęknęła, kiedy już opuścili zadymiony klub i poczuli świeże powietrze. - Miałam wrażenie, że chcą wyszarpnąć mi mózg przez uszy.

- Faktycznie, trochę hałaśliwi - zgodził się Kieran, potrząsając głową, jakby chciał w ten sposób pozbyć się szumu w uszach.

W drodze do samochodu dziewczyna wsunęła dłoń w jego rękę.

Chwycił ją jak ostatnią deskę ratunku.

- Chcesz wracać do domu czy skoczymy gdzieś indziej? - zapytał, gdy wsiedli do wozu. - Jeszcze jest wcześniej.

- Nie mam ochoty wracać. A ty?

- Mów, dokąd jechać.

Rozpromieniła się po chwili namysłu.

- Może do Memoriał Park?

- Nie ma sprawy.

Dziesięć minut później szli przez polanę na gęsto zalesionym zboczach w zachodniej części miasta. Pośrodku polany stał pomnik dumnego żołnierza na koniu.

„Bohater wojny secesyjnej” - założył Joe. Nie podszedł bliżej, żeby sprawdzić. Cindy prowadziła go do dużej białej altany po drugiej stronie parku.

- Chodź - przynagliła, niemal biegnąc.

Wciągnęła go za rękę po schodkach i stanęli razem pod dachem. „Miejsce idealne do kameralnych koncertów i niewiele większych imprez” - pomyślał Joe, zauważając ławki wokół wolnej przestrzeni dla orkiestr czy mówców.

Uklękli obok siebie na jednej z chłodnych drewnianych ławek i wychylili się nad poręczą, żeby spojrzeć w dół na światła miasta. Park leżał wysoko na wzgórzu. Gdy ktoś miał dobry wzrok, mógł pomiędzy drzewami po drugiej stronie doliny dostrzec szczyt Góry Terrela. Szept oceanu docierał nawet tutaj.

Kieran nakrył ręką jej dłoń, a ona spojrzała na niego. Wydawała się zasmucona, ogień przygasł w tych błękitnych oczach, które wcześniej skrzyły się radością.

- Dziękuję, że przywiozłeś mnie tutaj - szepnęła. Wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy.

Mocniej ścisnęła jego rękę.

- Często przychodziliśmy tu z Jamesem - powiedziała, patrząc na mrugające światła miasta. - Siadywaliśmy, patrząc na gwiazdy i na światła w domach. Czasami czuliśmy się tak, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie. Nie byłam tu od... od...

Joe objął ją.

- Wszystko w porządku.

Na chwilę spuściła ją, przytulając głowę do jego piersi. Nagle odetchnęła głęboko i odsunęła się od niego.

- Znasz jakieś konstelacje? - zapytała. Jej głos znowu brzmiał dźwięcznie, choć chyba wciąż drżał leciutko.

- Nie. Myślę, że tutaj niebo wygląda inaczej niż w Chicago. Czasami udawało mi się znaleźć Wielką Niedźwiedzicę, ale tu widać znacznie więcej gwiazd. Nie wiem, jak można coś wyłapać w tym mrowiu.

Zaśmiała się cicho.

- Są śliczne. Widziałeś kiedyś spadającą gwiazdę?

- Nie. Chyba nie.

- No to patrz.

Wyciągnęła rękę w stronę oceanu.

- Jeśli jesteś cierpliwy, zawsze możesz zobaczyć. Wtedy trzeba wypowiedzieć życzenie.

- Życzenie spadającej gwiazdy? Trochę ckliwe, nie sądzisz?

Nie odpowiedziała.

Kieran patrzył na usiany gwiazdami czarny aksamit nieba. Wiatr szeptał w drzewach, ćwierkały świerszcze. Samo miasto milczało. Czuł się tak, jakby nagle trafili na bezludną wyspę. Od spoglądania w niebo aż rozbolały go oczy.

„Jakby na świecie nie było niczego innego do roboty poza gapieniem się w pustkę” - pomyślał. Nie był przyzwyczajony do takiego relaksu. I nie należał do cierpliwych.

Przypomniał sobie bezustanne bombardowanie głosów, hałasów i zapachów w wielkim mieście. Ale zostając kosmopolitą, człowiek poniekąd wyrzeka się miejsc, z których pochodzi. Kiedy opuścił Chicago, pod wieloma względami przestał być osobą, którą był kiedyś. Czasami tęsknił za miastem, czasami tęsknił za nią, za Ann. Ale nie

teraz. Popatrzył na milczącą dziewczynę, która klęczała obok niego, na jej twarz zalaną srebrnym blaskiem letniego księżycyca.

- Nie mogę wymyślić żadnego życzenia - powiedział cicho. - Myślę, że w tej chwili mam wszystko, czego chcę.

Uśmiechnęła się leciutko i ścisnęła jego rękę.

- To miłe - szepnęła, ale nie popatrzyła mu w oczy. Jej spojrzenie wydawało się roztargnione.

- A ty czego sobie życzysz? - zapytał.

Pokręciła głową.

- Jeśli chcesz, żeby życzenie się sprawdziło, musi być realne. A James...

Joe milczał. Wypatrywał na niebie spadającej gwiazdy, żeby wypowiedzieć życzenie. W tej chwili nie chciał niczego dla siebie.

- Jest - powiedziała Cindy, wskazując niebo nisko nad horyzontem, tuż nad ciemnymi sosnami.

Zobaczył cienką smużkę, która wyglądała jak rysa na błonie fotograficznej i wypowiedział życzenie.

- Pragnę, żebyś była szczęśliwa.

Pocałowała go w policzek i wreszcie spojrzała mu w oczy. Ciche łyzy lśniły na jej policzkach.

- Życzenia wypowiedziane na głos nigdy się nie spełniają, głuptasie.

- W takim razie musimy poczekać na następną spadającą gwiazdę. I tym razem ani mru-mru.

Przysunęła się tak blisko, że poczuł jej ciepłe piersi. Objęła go mocno i pocałowała, tym razem w usta. Przez nocny chłód jej ręce pokryła gęsia skórka. Ale on miał wrażenie, że dziewczyna jest gorąca jak płomień.

- Nie musisz wypowiadać życzenia dla mnie - powiedziała.

- Już jestem szczęśliwa.

Kieran pochylił się, żeby ją pocałować. Gdy ich języki spotkały się w delikatnym trzepocie, popatrzył przez aureolę jej włosów w niebo. Wypatrywał kolejnego płonącego kamienia spadającego z królestwa aniołów.

Wolał nie ryzykować.

Rozdział VI

Joe długo nie mógł zasnąć. Leżał z zamkniętymi oczami i wspominał Cindy. W dzień widział ją w jaskrawym frywolnym kostiumie, a wieczorem w stroju „klubowym” i za każdym razem wyglądała olśniewająco. Czuł jej palce wtulone w swoją dłoń i chłodne ramię, gdy się do niego przytulała. Wciąż rozpamiętywał jej szybki, ciepły pocałunek na chwilę przed tym, gdy wysliznęła się z samochodu. W wyobraźni widział, jak biega niczym podłotek po żwirze nad zatoką. Jak w barze przerzuca złote włosy przez ramię. Jak w jej oczach skrzy się psotny humor i coś więcej... Obietnica?

Ale potem wrócił myślą do jej słów na plaży. Coś, co powiedziała, przez cały dzień nie dawało mu spokoju. Opowiadając o założycielu Terrel, wspomniała o „Przymierzu”. Taki sam tytuł miał obraz pani Sander. Czyżby jednak coś w tym było?

Odsunął od siebie te myśli. Zamiast na urwiskach, samobójcach i mordercach chciał się skupić na oczach Cindy, na jej promiennym uśmiechu tuż przy jego twarzy. Chciał zasnąć, przypominając sobie jej pocałunek na ustach.

I w końcu tak się stało.

A w niedzielę rano leżał w łóżku, patrzył w sufit i było mu strasznie głupio.

Śnił najpierw na jawie, potem już w nocy, o cudownej dziewczynie, która, na litość boską, była przecież małolatą! Poza tym co mógłby jej dać? Nie wyglądał jak mister universum. Jej uściski, trzymanie za rękę i delikatne pocałunki były z pewnością wołaniem o przyjacielską pomoc. Przelotny flirt nie wymaże koszmaru, jakim była utrata prawdziwej miłości. Powiedziała mu, że przeżywa trudne chwile, a rodzice w zasadzie nie mogą jej pomóc.

Dał sobie mentalnego kopniaka: „Dość tego! Pora wrócić do ulubionego tematu”.

Z drugiej strony zaczynał się zastanawiać, dlaczego Cindy zawraca sobie nim głowę. Jeśli całe miasto chce wierzyć w dżinna w skalnej butelce, pał je lichy. Czemu miałyby próbować kogokolwiek przekonać, że jest inaczej?

Mimo to wyciągnął wczorajsze dżinsy i przetrząsnął kieszenie.

Znalazł żółtą kartkę z wijącymi się wężami, złożoną i wymiętą. Rozwinął ją i zastanawiał się chwilę. Czy to miało choć odrobinę sensu? Czy grupa sekciarzy naprawdę reklamowałaby się, rozkładając ulotki w klubie?

„Dowiedz się, co mieszka pod Górą Terrela”.

Przeczytał to zdanie kilka razy. Dokładnie tego chciał się dowiedzieć.

„Nie zaszkodzi spróbować” - pomyślał i podszedł z kartką do telefonu, żeby zadzwonić do Kena Brownsella.

Po szóstym sygnale usłyszał zaspany głos.

Joe przedstawił się i powiedział:

- Przepraszam, że zbudziłem. Kiedy mogę przyjść i pogadać o waszej grupie Badaczy Urwiska?

- Nie ma sprawy, i tak musiałem wstać - wymamrotał rozmówca. - Spotykamy się dzisiaj po południu, jeśli chcesz do nas dołączyć. Na północnym zboczcu Góry Terrela. Przyjdziesz?

- Jasne. Z przyjemnością. Jak do was trafić?

Kieran zanotował wskazówki, podziękował Kenowi i odłożył słuchawkę.

Znów spotkanie na urwisku. Tym razem kilka kilometrów od miejsca zbrodni. Na terenie, którego dotąd nie odwiedził.

Znalazł ich dość łatwo. Zamiast jechać z Main Street, na

szczyt urwiska, skrzył w zwirową drogę, która biegła przez las i wiła się wokół skalistej góry. Trudno byłoby nie trafić na miejsce spotkania. Grupa zebrała się na końcu drogi.

Na poboczu stało kilka samochodów. Joe zaparkował za błękitnym jak niebo volkswagenem garbusem. Nie miał pojęcia, dlaczego i jakim cudem te zabytki wciąż jeżdżą. Wydawało się, że na wybrzeżu jest ich więcej niż gdziekolwiek indziej. Przez chwilę patrzył z namysłem na zbieraninę sfatygowanych, pordzewiałych aut i gromadę chudych długowłosych młokosów kawałek dalej. Pokręcił głową.

„To powinno być... interesujące” - uznał.

Siedzieli w nierównym kręgu na ziemi i kamieniach. Spojrzeli na niego, kiedy się zbliżył. Szacowali go wzrokiem.

- Ty musisz być Joe - powiedział ciemnowłosa, długonosy facet w spodniach i bluzie khaki.

- Ken?

- Zgadza się. Fajnie, że przyjechałeś. Tutaj zwykle się spotykamy, chyba że leje. Wtedy idziemy do jaskini w tamtym wąwozie. - Wskazał pobliskie zbocze.

- W tej górze są jaskinie?

- Jasne! I o to chodzi. Parę miesięcy temu założyłem klub Badaczy Urwiska, żeby je eksplorować. Nie można tego robić na własną rękę. Rozumiesz, to pierwsza zasada grotolazów. Ale siadaj, przejdziemy do rzeczy.

- Wasza reklamówka mówiła o odkrywaniu ciemnych mocy, które mogą pożreć miasto, o oddawaniu czci duchowi czy...

Ken parsknął śmiechem i poklepał Kierana po ramieniu.

- Tak, próbowałem coś wymyślić, żeby eksplorowanie jaskiń wydawało się tajemnicze. Na ciebie podziałało, co nie?

Brownsell odszedł i Joe usiadł na ziemi. Grotolazi

wyglądali jak członkowie cyganerii. Doszedł do wniosku, że trafił na fałszywy trop. Ale pomyślał, że będzie głupio, jeśli odwróci się i odejdzie, więc podciągnął kolana i trzymał język za zębami.

Po chwili Ken stanął na różowo-szarym granitowym głazie i teatralnie uklonił się zebranym.

- Witam członków klubu i rekrutów na naszym piątym spotkaniu. Dzisiaj pokażę wam coś wyjątkowego. Szkoda czasu na gadanie. Nie zejdziemy głęboko, ale zasady pozostają w mocy: sprawdź latarkę, sprawdź linę, dobrać sobie partnera. Nie mam najmniejszej ochoty wzywać komendanta Swartzky'ego, żeby organizował grupę szukającą kogoś z nas.

Przewodnik zatarł ręce, a członkowie klubu wstali, żeby sprawdzić sprzęt i dobrać się w pary.

Joe nie krył zawodu. Nie na to liczył. Miał nadzieję na spotkanie z kimś więcej niż z hipisami bawiącymi się w berka w błotnistych jaskiniach. Nie usłyszał ani słowa na temat okultyzmu. Zdecydował, że lepiej się zmyć. Zerknął na boki, chcąc sprawdzić, czy ktoś nie upatrzył go sobie na partnera. Na szczęście nie było chętnych. Niestety, zanim ruszył do samochodu, poczuł klepanie po plecach.

- Pewnie nie masz sprzętu, co?

Był to Brownsell. Kieran zauważył z niesmakiem, że facet ma wyjątkowo żółte zęby.

- Nie. Może wpadnę na następną zbiórkę.

- Nie chrzań! - zadudnił Ken. Basowy głos nie pasował do takiego wysokiego chudzielca. - Mam zapasową linę i latarkę, ale brakuje mi partnera. Możesz pójść ze mną. Wprowadzę cię do naszej grupy. Byłem na dole parę dni temu i odkryłem coś naprawdę ekscytującego. Chodź.

Z wielkiego czarnego plecaka zaraz zaczął wyłuskiwać

sprzęt. Reporter ani się spostrzegł, jak miał linę u pasa, a na głowie coś, co przypominało górniczy kask z latarką.

- Wchodzimy! - ryknął Brownsell.

Zeszli ścieżką do wąwozu biegnącego równolegle do drogi. Po paru sekundach zniknęli w gąszczu krzewów, trawy i drzew. Przed nimi wznosiło się północne zbocze Góry Terrela. Nagle Joe zobaczył cel wędrówki. W skale za kępą postrzępionych krzaków ziała czarna dziura, niezbyt duża, może na metr szerokości. Udeptana ścieżka wiodła prosto do niej.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko ubłoceniu gaci - powiedział Ken, znów klepiąc go po plecach.

„Zrób to jeszcze raz, a dam ci w zęby” - pomyślał Kieran.

- Głowa na dół i powoli, zaraz za wejściem jest spadek - przestrzegł Brownsell.

Joe wcisnął się za nim ostrożnie, bo za cholere nie widział, dokąd wchodzi. Letnie gorąco ustąpiło jesiennemu chładowi i natychmiast dostał gęsiej skórki. Potarł ramiona i czekał, aż oczy dostosują się do surrealistycznej mieszaniny egipskich ciemności i oślepiającego blasku latarek na hełmach. Ktoś od tyłu złapał go za pas i coś szcęknęło.

- Już, Joe. Teraz jesteśmy spięci - wyjaśnił Ken, wymijając go. - Gdyby coś poszło nie tak... - Przewodnik pokazał mu koszmar dentysty. Ale tutaj pod ziemią, jego uśmiech już tak nie raził.

„Wygląda jak borsuk” - uznał Kieran.

- Będę w zasięgu ręki - usłyszał.

Potem Brownsell ryknął już do wszystkich:

- Dobra, ludzie! - Jego głos ucichł, a potem wrócił echem, które tłukło się dziwnie w jaskini. - Pójdziemy do lewego rozwidlenia, które zbadaliśmy w zeszłym tygodniu, ale gdy dotrzemy do trzeciej komory, ruszymy nową trasą. Hank,

zabezpieczysz tyły?

Około dziewiętnastoletni olbrzym energicznie pokiwał głową, aż zatrzęsły się różowe mięsiste policzki i piaskowe włosy. Odsunął Joego, żeby przypiąć linę do klamry w białej przy wejściu.

- W porządku. Idziemy!

Następna godzina była dla Kierana piekłem na ziemi. Ktoś chciał go ukarać. Może samo urwisko. Brnął wilgotnymi, błotnistymi korytarzami, czołgał się przez szlamowate tunele tak niskie, że niemal muskał głową strop. Nie cierpiał na klaustrofobię, ale w trakcie przepędzania z jednej groty do drugiej ścisnęło go w dołku na myśl o ciężarze góry nad głową.

Słyszał echa stęknąć i przekleństw reszty grupy. Zastanowił się, jakim cudem Hank zdołał się przecisnąć przez wąski komin, z którego przed chwilą sam wylazł z nie małym trudem. A co najgorsze w całej imprezie, żeby stąd wyjść, przyjdzie mu ponownie pokonać tę trasę.

Ken nie odpuszczał, odwracał się co parę minut i pytał szeptem:

- Wciąż jesteś ze mną, Joe?

A Joe miał cholerną ochotę odpiąć linę, zanim padnie następne pytanie.

Po przebyciu najtrudniejszego odcinka znaleźli się w wielkiej grocie. Kieran nie wiedział, jak wielkiej, bo światło latarek nie docierało do ścian. Miał wrażenie, że temperatura spadła o kolejne dziesięć stopni. Brownsell przestał go ciągnąć za sobą.

- W porządku, Badacze Urwiska! Wciąż jesteście ze mną?

W odpowiedzi rozległ się chór entuzjastycznych potwierdzeń. Joe wymamrotał niepewnie:

- Jasne.

- I o to chodzi. Zeszłym razem poszliśmy dalej i trafiliśmy w ślepy zaułek. To naprawdę mnie wkurzyło, dlatego wróciłem tu później z Charlesem Donahue. Byłem pewien, że od tej głównej komory odchodzi jakiś korytarz. Poszliśmy w tę stronę - wskazał w prawo - i szczęście nam dopisało. Za mną. I nadstawiajcie uszu.

„Czego mamy nadśłuchiwać? - zastanowił się Kieran. - Nietoperzy? Lawin?”

Ciche echa jaskini zaczynały przyprawiać go o ciarki. Słyszał kroki i kasznięcia grupy, ale nie to go niepokoiło. Od czasu do czasu zdawało mu się, że coś pomyka przed nimi. Jakby nietoperz czy wąż uciekał spłoszony przez intruzów. Joe pocieszał się tą myślą - jeśli w jaskini żyły jakies zwierzęta, wołał, żeby naprawdę uciekły.

Poza niesprecyzowanym lękiem dokuczało mu zimno i wilgoć. Gdzie ta nagroda grotołaza, gdzie te wszystkie piękne stalagmity i stalaktyty, o których zawsze słyszał? Dotąd widział tylko szare ściany i błoto pod nogami. Miał wrażenie, że pełźnie nagi przez króliczą norę, szukając garnka złota. Równie dobrze mógłby gonić tęczę.

Ken szarpnął linę i Joe z niechęcią zmusił nogi do ruchu, idąc za nim w ciemność. Światło podskakiwało na ścianie z prawej strony i odbijało się od podłoża, gdy spoglądał w dół, ale przed sobą widział tylko zasłonę mrocznej tajemnicy.

- Czego szukamy? - zapytał w końcu. W odpowiedzi usłyszał surowe upomnienie:

- Sza. Słuchaj.

Joe przewrócił oczami i brnął dalej. Zauważył, że ściany znów są coraz bliżej siebie. Kiedy spojrział w lewo, światło przesunęło się po szarozielonkawej gładziźnie wilgotnego wapienia. Coś przecięło snop światła. Kieran szybko

odwrócił głowę i wbił oczy w szerokie plecy Brownsella. Nie musiał wiedzieć, co to było. Wystarczyło mu, że miało mnóstwo nóg i ogon. I oczy. Uznał, że jeśli on to zignoruje, być może to coś zignoruje i jego.

„Daleko jeszcze? - zapytał sam siebie. - Boże, mam nadzieję, że nie”.

Zaczynało mu doskwierać pragnienie. Cichy szmer wody tylko je nasilał.

Szmer wody?

Z przodu?

A więc o to chodziło Kenowi! Znalazł podziemną rzekę, która płynęła przez te jaskinie.

Dumny z odkrycia niespodzianki Brownsella Joe niemal wszedł mu na plecy.

- Stać! - zawołał Ken. Powoli zebrali się wokół niego. Kieran stanął na lewo od reszty grupy. Dostrzegł ściany po drugiej stronie komory, ale podłóże urywało się niedaleko za miejscem, w którym zatrzymał ich przewodnik. Wcześniejszy szmer ustąpił głuchemu szumowi wody pędzącej gdzieś w dole. Joe ostrożnie, krok za krokiem zbliżył się do czarnej pustki, która pożarła podłóże.

- Szukaliśmy go od ponad miesiąca - powiedział Brownsell. - Szukaliśmy twórcy tego systemu jaskiń. Mrocznej siły, która zżera litą skałę.

- Jedyna mroczna siła w tym urwisku, jak słyszałem, nie wydaje się zainteresowana zjadaniem skały - zażartował ktoś.

Kieran przesunął się jeszcze kawałek dalej, próbując zobaczyć wodę. Sądził, że była blisko, ale w tych jaskiniach wszystkie odgłosy brzmiały tak, jakby ich źródło znajdowało się o wyciągnięcie ręki. Równie dobrze rzeka mogła płynąć kilkadziesiąt metrów niżej.

- Teraz wiemy, że góra wciąż żyje - kontynuował Ken.

Sprawiał wrażenie nadzwyczaj zadowolonego z siebie. - Codziennie wycinane są w niej nowe jaskinie. Nasze zadanie polega na zbadaniu szlaku, który wycięła woda, żeby doprowadził nas do serca góry. Ostrożnie, tu może być bardzo stromo!

Joe oddalił się od Brownsella i zszedł po łagodnie nachylonym podłożu, żeby spojrzeć w próżnię. Gdzieś w dole rwała czarna woda.

Nagle Kieran zobaczył coś na dole, światło odbiło się od skały lub wody. Odkoczył od skraju podziemnego kanionu, ale ten był bardziej nachylony, niż Joemu się wydawało, kiedy podchodził. Chwycił śliski wapienny szpic, żeby nie stracić równowagi. Ciężar okazał się zbyt wielki, wapień pękł z trzaskiem i reporter poczuł, że spada.

- O cholera!!! - To było wszystko, co zdążył zawołać.

Nogi uciekły spod niego. Uderzył głową w kamień i jaskinia nagle rozbłysła - powietrze eksplodowało, rozjaśnione tysiącami gwiazd bólu. Joe wyciągnął ręce, szukając oparcia, ale paznokcie tylko zadrapały kamień śliski jak teflonowa patelnia.

Już będąc w locie, uświadomił sobie, że naprawdę spada.

Spadał, wrzeszcząc ile sił w płucach i modląc się, żeby tym, co widział w atramentowej czerni była woda, nie skała.

Rozdział VII

Spadanie trwało całą wieczność i ułamek sekundy. Ciało Joego mknęło w głąb dziury czarnej jak smoła. Czuł, jak muska go mrozący do szpiku kości wilgotny podmuch, a potem z trzaskiem zderzył się z powierzchnią.

Najpierw zdał sobie sprawę z zimna, które z siłą lodowatej pięści uderzyło go w twarz i poprawiło w krocze. Po chwili zrozumiał, że jeśli nie spróbuje się ruszyć, będzie jeszcze gorzej. Przeżył upadek i tym samym zdobył z pierwszej ręki wiedzę o rzece, której szukał Ken.

Ale walka o życie dopiero się zaczęła. Nurt był wartki i już uniósł go kilka metrów od miejsca, w którym wpadł do wody. Zmuszając do ruchu zmarznięte kończyny, ostrożnie przekreślił się w wodzie i zaczął energicznie machać nogami. Czuł żar w płucach i lodowaty ogień na skórze. Upadek wycisnął mu dech z piersi, ale jak dotąd Joe nie zaczerpnął wody. Rozpaczliwie potrzebował powietrza.

Otaczała go czerń. „Tak musi być w zbiorniku deprywacji sensorycznej” - pomyślał, przypominając sobie eksperymenty psychologiczne na ochotnikach pozbawionych bodźców i punktów odniesienia. Nagle ciemność ponad nim lekko pojaśniała. Zmusił się do większego wysiłku, z trudem pokonując prąd, który próbował go wciągnąć. W końcu wychynął na powierzchnię. Sapiąc i parszając, wciągnął haust powietrza.

Odetchnął. Za nim rzeka nikła w atramentowym bezkresie, a niedaleko z przodu nagle opadała. Najgorsze było to, że ściany tworzył polerowany wapień. Na przemian szary i zielonkawy, w zależności od kąta padania światła. Ale tak samo gładki - jak szkło.

„Jak do cholery mam wrócić na górę?” - pomyślał Kieran.

- *Może powinieneś tu zostać* - odparł gruby głos.

Zdawało się, że dochodzi zewsząd, a przecież dudnił w jego głowie. Wibrował w sercu Joego. Krew stężała mu w żyłach i zaczął się trząść.

- Co?! - zawołał. - Kto to powiedział?

Poczuł szarpnięcie w pasie. Spanikował, zastanawiając się, co ciągnie go w dół.

Zaczął macać ręką, żeby się uwolnić, a wówczas palce trafiły na coś, co było cienkie i szorstkie. Przesuwając dłoń, zrozumiał, że to linka asekuracyjna. Biegła napiętym łukiem od pasa do powierzchni wody i dalej w górę nad podziemną rzekę.

- *Nie chciałbyś tutaj zostać z Jamesem i ze mną? Nie chciałbyś popłynąć z nami w dół, w dół, w ciemność?*

Kieran wrzasnął.

Upiorny rozmówca zamilkł. Za to ktoś go wołał z góry.

- Joe?! Joe?!

Znowu poczuł napięcie linki. Czuł się jak skała stercząca pośrodku strumienia. Woda tłukła go wściekle, pędząc w coraz głębszą ciemność. Do piekła.

- Nic mi nie jest! - odkrzyknął. Obracał głowę we wszystkie strony, wypatrując, czy nic się nie porusza w ciemności. Potem schował twarz w wodzie i próbował płynąć pod prąd, żeby zmniejszyć odległość dzielącą go od grotolazów.

- *Szukałeś mnie, słyszałem. Co mogę dla ciebie zrobić? Wyssać szpik z kości?*

Głos prześliznął się przez jego czaszkę i bezlitośnie zaatakował serce. Połaskotał w palce nóg i pocałował w usta. Joe wyrwał się z hipnotycznego uścisku.

- Nie! Puść mnie! - wrzasnął.

- Nie, Joe, trzymaj się! - krzyknął z góry Ken, nie

rozumiejąc, o co mu chodzi. - Wyciągniemy cię. Trzymaj się blisko brzegu.

Kieran uznał, że powinien przesunąć się w prawo. Światło lampy podskakiwało chaotycznie po lśniącej, stromej skale. Zbliżył się do brzegu, ale boleśnie uderzył w coś palcem u nogi i zgiął kolano.

- Cholera! - zaklął. Zaraz potem całą stopą dotknął dna. Zaczął dreptać, zagarniając wodę szeroko rozpostartymi ramionami.

Pod ścianą mógł się wyprostować. Prąd wciąż próbował go wciągnąć, ale Joe już łatwiej stawiał mu opór, brodząc w głębokiej do pasa wodzie. Nie mógł jednak wyjść z rzeki - miał wrażenie, że tkwi w głębokiej rynnie pełnej pędzącej wody. Mimo wszystko przesunął się wzdłuż brzegu w kierunku miejsca, od którego linka biegła pionowo w górę. Od miejsca, gdzie spadł.

- Joe, słyszysz mnie? - Głos Kena tłukł się dziwnie po ciemnej jaskini.

- Tak, Ken. Jestem tutaj.

- Nic ci nie jest? Złamałeś coś? Słyszeliśmy twój wrzask.

- Nie. Tylko zimno. Wpadłem do rzeki. Nie ma schodów na górę!

Usłyszał stłumioną rozmowę, a potem znowu Brownsella:

- Znasz się na wspinaczce?

- Teoretycznie.

- Spróbujemy cię wyciągnąć. Odbijaj się od skały pomiędzy naszymi pociągnięciami, to wszystkim pomoże.

- Jestem za.

Lina nagle ścisnęła go boleśnie w pasie. Poczuł, jak stopy odrywają się od dna, jak centymetr po centymetrze grotolazi wciągają go wzdłuż stromej ściany.

- Czuję się jak zasrany Piotruś Pan! - zawołał.

- Zaczynij machać rękami i pomagać - padła stłumiona odpowiedź.

- Staram się! - odkrzyknął słabo.

Wciąż spoglądał w dół, bojąc się, że coś wyskoczy z czarnej wody, zębami chwyci go za nogi i pociągnie z powrotem w głąb rzeki. Lina zakołysała się lekko i niebawem jego ciało zaczęło zataczać łuki. Nogami odepchnął się od skały, jak kazał Ken i w tej samej chwili poczuł, że ciągną go w górę.

Odbił się drugi raz. I usłyszał krzyk:

- Trzymaj się, Joe!

Znów spadał.

Woda powitała go cięciem lodowatej stali. Sapał z bólu. Stracił orientację, ale po chwili udało mu się wybić na powierzchnię. Telepał nim strach i zimno. Sparaliżowała go świadomość, że faktycznie może się nie wydostać z tej dziury.

- *Postanowiłeś zostać?*

Głos wstrząsnął nim jak uderzenie prądem. Kieran poczuł, że jego pęcherz w końcu się poddał.

- Kim jesteś?! - krzyknął.

Nie usłyszał odpowiedzi. Tylko szum niedalekiego wodospadu.

- Wybacz, Joe! Żyjesz?

- Może.

- Skruszyła się skała, o którą się zapieraliśmy. Próbuujemy drugi raz.

- *Jestem wszystkim, czego zawsze pragnąłeś...* - napłynęła spóźniona odpowiedź. Żar rozgrzał Joemu brzuch, gdy pomyślał o Cindy i Chicago. O tym, czego pragnął.

Lina znów się naprężyła. Poczuł serię bolesnych szarpnięć i ponownie był w powietrzu.

- .../ *wszystkim, czego nie chcesz* - dokończył głos, mroząc mu trzewia.

- Pospieszcie się! - wrzasnął Kieran, wierzgając dziko w powietrzu. Zaczął ręką za ręką wspinać się po linie. Musiał uciec przed tym, co włożyło mu do głowy. Natychmiast.

- *Możesz uciec, lecz znów się spotkamy.*

Joe wyrwał stopy z nurtu. Grzmiące bicie jego serca zagłuszało szum wody.

- Boże, błagam, niech tym razem mnie wyciągną. Błagam!
- mamrotał.

Odepchnął się nogami od skały. Słyszał stęknienia grotolazów, gdy wciągali go centymetr po centymetrze.

- Jeszcze kawałek! - zawołał Ken głosem chrapliwym z wysiłku. - Trzymaj się mocno.

Nagle znalazł się na górze w oślepiającym blasku lamp.

Brownsell stał z przodu. Reszta grotolazów wciąż trzymała linę przerzuconą przez wielki głaz, który pełnił rolę boczka.

Chwycili Kierana za ręce i w następnej chwili leżał na ziemi, oddychając urywanie, drżąc z zimna i ze strachu. Ręce szarpały go za koszulę, spodnie i buty. Nie potrafił zrozumieć, co robią. Powietrze falowało mu przed oczami i mógł myśleć tylko o głosie, który mówił, że o nim wie i że na niego czekał.

I obiecywał ponowne spotkanie.

Stał podtrzymywany przez dwóch mężczyzn, gdy spowijająca go mgła wreszcie się rozproszyła.

- Chodź człowieku. Musisz się przeczłogać, pamiętasz?

Patrzył pustym wzrokiem na wąski otwór i drżał na myśl o czołganiu się ciasnym korytarzem. Teraz, gdy wiedział, że pod ziemią coś jest...

- Będziemy zaraz za tobą.

- Puśćcie go chłopaki - polecił Ken. - Naprzód. Zabierajcie

resztę grupy, my pociągniemy za wami.

Grotolazi jeden po drugim znikali w skalnej ścianie jak robaki, które zagrzebują się w ziemi.

- Niezbyt dobrze wypadło twoje pierwsze spotkanie z górą, co? - powiedział Brownsell, klepiąc Joego po ramieniu. Dopiero teraz reporter spostrzegł, że ubrali go w kraciastą koszulę z długimi rękawami i trochę za duże dzinsy, zabierając przemoczone ubranie. Szorty i gołe nogi właściciela spodni właśnie nikły w otworze.

- Racja - wymamrotał. Potrząsnął głową i odwrócił się, żeby spojrzeć na przywódcę grupy.

- Nie powinniśmy tak szybko zabierać cię pod ziemię - powiedział Ken z przygnębieniem. - Moja wina. Powinieneś najpierw poćwiczyć czołganie i tak dalej. Jaskinie mogą być niebezpieczne, dlatego zawsze chodzimy dwójkami. I dlatego zawsze mamy linki asekuracyjne. Chociaż... - skrzywił się - gdybyś spadł z większej wysokości, pociągnąłbyś mnie za sobą. Liny ledwo wystarczyło.

- Przepraszam - bąknął Kieran. Wciąż drżał mu głos. - Podszedłem za blisko krawędzi. To moja wina. Przepraszam, że zepsułem wam wyprawę.

- Nie, nie. - Brownsell energicznie pokręcił głową. - Przykro mi, że to cię spotkało, ale poza tym było świetnie. Ludzie zobaczyli rzekę i przekonali się, jak niebezpiecznie może być pod ziemią. Triumf i nauczka w jednym. Następnym razem wszyscy będziemy ostrożniejsi. Wybierzesz się z nami?

- Raczej nie.

- Nie pozwól, żeby ta przygoda cię zraziła. Schodzimy tam od tygodni i do tej pory nie stało się nic złego.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

Joe odetchnął głęboko i rozejrzył się, zdając sobie sprawę, że zostali sami. Reszta grupy pewnie pokonała tunele i już wychodziła na zewnątrz.

- Słyszałeś plotki o urwisku?

- Myślisz o tym strasznym potworze, który wmawia ludziom, że umieją latać?

Kieran pokiwał głową.

- I co z tego? - Brownsell wzruszył ramionami. - Chyba nie wierzysz w te brednie, co?

- Do dziś nie wierzyłem. Przyszedłem do was, bo ogłaszacie się jak okultyści zainteresowani tą górą. Zaciekawiły mnie te samobójstwa i zacząłem się zastanawiać, co za nimi stoi. To dziwne, że co roku w Halloween ktoś skacze z urwiska. Doszedłem do wniosku, że to sprawka jakiejś podejrzaney grupy.

- Pomyślałeś, że Badacze Urwiska to mordercza sekta?

Ken parskał głośnym śmiechem, który poniósł się w głąbie ziemi. Joe spojrział na jego żółte zęby i zadygotał.

- Nie zgadłeś - powiedział wreszcie Brownsell. - I wierz mi, nie byłoby mnie pod ziemią, gdybym sądził, że ktoś tu czeka na spotkanie z nami. Człowieku, to bajki dla niegrzecznych dzieci. Ludzie skaczą z urwiska w Halloween, bo to jest Halloween. Noc duchów. Czas, w którym wszyscy popaprańcy chcą dołączyć do grona wampirów i tak dalej. Ta góra jest najwyższa w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów, dlatego ściągają tu wszyscy okoliczni wariaci. Legenda otoczyła to miejsce, więc napływ czubków nigdy się nie skończy.

- Nie wierzę w takie wyjaśnienie.

Przewodnik wzruszył ramionami.

- Co mam ci powiedzieć? Możemy usiąść i przerzucać się dziwnymi historyjkami, ale ja mówię, że to tylko jaskinia jak

każda inna. I chcę się dowiedzieć, dokąd płynie rzeka. Czy uchodzi do oceanu, czy płynie poniżej jego dna. Woda jest słodka, prawda?

Joe przytaknął bez słowa.

- Tak myślałem. Jest za wielka i płynie za wysoko, żeby mógł przynieść ją przypyływ.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Ken zmarszczył czoło.

- Kiedy zapytałem, czy wierzysz w te strachy, odparłeś, że do dziś nie wierzyłeś. Co to znaczy?

- To, co powiedziałem. Do dzisiaj myślałem, że za tymi wszystkimi samobójstwami stoją ludzie.

- A dlaczego zmieniłeś zdanie?

Kieran popatrzył na niego i uśmiechnął się niewesoło.

- Jeśli ci powiem, uznasz mnie za czubka.

- Jeśli nie powiesz, też mogę to zrobić. Gadaj.

- W wodzie, na dole, słyszałem głos.

- Tak, wołaliśmy do ciebie.

- Nie. To był inny głos. Słyszałem go w głowie i w wodzie i czułem, jak wibruje w kościach.

Ken spojrział na niego spod oka, jakby mówił: „Tak, jasne”.

- Co powiedział?

- Że jest wszystkim, czego pragnę i tym, czego nie chcę, i że na mnie czekał.

- Może słyszałeś Boga, a my zawróciliśmy cię z granicy śmierci. A może diabeł czeka na twoją duszę. - Brownsell wyszczerzył zęby i trącił Joego w ramię. - Zimna woda dziwnie działa na głowę - powiedział i wstał. - Ruszamy za resztą.

- Głos dodał coś jeszcze - wyznał Kieran, gdy przewodnik ruchem ręki kazał mu wejść do tunelu.

-Co?

- Że znów się spotkamy.

Brownsell popatrzył na niego, a potem się obejrzał, spoglądając w bezkres szepczącej, wilgotnej czerni.

- Chodźmy na górę.

Joe pokiwał głową i bezwiednie zaszczekał zębami, wciskając się do ciasnego tunelu. Wyobraził sobie, że ziemia wokół niego pulsuje jak ogromna gardziel, która czeka na zmiżdżenie ludzkiej przekąski. Panikując, z przyspieszonym oddechem, gorączkowo podciągając się na rękach, Kieran próbował leżeć jak najszybciej. Za sobą słyszał posapywanie partnera.

- Jeszcze kawałek! - zawołał Ken.

Reporter czuł, jak zaciskają się żebra ziemi. W końcu zaczął trzeć ramionami o skalne ściany.

- Jesteś pewien... że to... właściwa droga? - zapytał.

Wilgotna czern spowijała go niczym peleryna. Noc go dusiła, strach dławił. A jeśli ta siła z głębin czekała u wylotu tunelu, żeby powlec go na szczyt urwiska i strącić?

Skalny przesmyk się skończył.

Joe podniósł zlaną potem twarz. Trząśnięty jak galareta. Nagle ktoś chwycił go za ramiona.

Zareagował odruchowo, odtrącając ręce i wrzeszcząc.

Potem zobaczył, że to tylko grotolazi.

- Stary, spokojnie - powiedział mężczyzna w szortach. - Chciałem ci pomóc.

Kieran uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Przepraszam, trochę się wystraszyłem.

Nie skorzystał z pomocy i o własnych siłach wpłynął do groty. Ken szybko wyszedł za nim i wszyscy ruszyli w kierunku wyjścia.

Na zewnątrz Joe nie mógł się powstrzymać i spojrzał w

głęb jaskini. Czuł się ścigany, prześladowany. Ale niezależnie od tego, jaki ponury widok spodziewał się zobaczyć, dostrzegł tylko ciemność. Poczłł szept chłodnego, wilgotnego powietrza.

„Jak tchnienie z grobu” - pomyślał i pospieszył w gasnący żar popołudniowego słońca.

Rozdział VIII

Mówiło do ciebie, prawda? - Joe chwycił Angelikę za ramiona i potrząsnął. - Prawda?

Szeroko otworzyła oczy, ale nie odpowiedziała, ruscił ją i wyminął, żeby wejść do domu wróżki. Patrzyła za nim z otwartymi ustami.

- Jak śmiesz wdzierać się tutaj i... i... - zaczęła. Wreszcie zebrała myśli i ruszyła za nim do salonu.

Joe usadowił się na kanapie, wyraźnie dając do zrozumienia, że zabawi tu jakiś czas.

- Bądź ze mną szczerą, Angeliko. Urwisko przemówiło w twojej głowie, gdy tamtego dnia, dwadzieścia lat temu pływałaś z dziewczynami, prawda? I jedna z was odpowiedziała za mało potulnie.

- Joe... - Uklękła przed nim, położyła ręce na jego kolanach. Jej otwarte usta wyrażały zdumienie i strach. - Też słyszałaś? Głos na urwisku? - Mówiła z większym ożywieniem i teraz to ona nim potrząsała. - Powiedz mi, co powiedział?

Joe powstrzymał się od przypomnienia: „Ja zapytałem pierwszy”. Wyprostował ramiona i odetchnął głęboko, a potem w szybkich, urywanych zdaniach opowiedział, co go spotkało w jaskini.

Kiedy skończył, Angelika miała w oczach coś, co przypominało litość.

- Musisz uciekać, Joe - szepnęła. - Jeśli to cię widziało, jeśli cię zna... Musisz opuścić Terrel zanim będzie za późno. Dla nas jest już za późno.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał, krzywiąc się, Kieran. - Co cię powstrzymuje od wyjazdu?

- On nam nie pozwala - odparła z drzeniem w głosie. -

Próbowałam wyjechać z Terrel tyle razy, że nie potrafię zliczyć. Za każdym razem, gdy się zbliżam do granicy miasta, słyszę nawoływanie. Jeśli je zignoruję...

- To co? Co się wtedy stanie?

Angelika wstała i wyjrzała przez okno na ulicę. Jej ciemna sylwetka rysowała się na tle pomarańczowego blasku latarni. Słońce zaszło niedługo po przyjeździe Joego, uciekając przed nadciągającym zmierzchem. Kobieta odeszła od okna i usiadła na małej kanapie po drugiej stronie pokoju.

- Chcesz wiedzieć, co może zrobić? Powiem ci. Może cię zabić. Może cię upokorzyć. I, co najgorsze ze wszystkiego, może pozwolić ci żyć. Jak pozwolił żyć naszej piątce. Ale żyjemy ze świadomością, że dał się nam poznać od najgorszej strony. Wykorzystał nas. Zagnieździł się w nas, bo nasze ciała są jedną z rzeczy, jakich pragnie. Nie może posiadać nas w pełni, nie do końca, więc zamiast tego się nami bawi. To gorsze od śmierci. Opowiem ci, co się stało, gdy ostatni raz próbowałam wyjechać z Terrel.

Odetchnęła głęboko, jak przed skokiem do wody, i podjęła:

- Było to tuż po śmierci Boba O'Grady'ego. W dwutysięcznym. Bob został zabrany jako pierwszy z dzieci, a ja nie umiałam sobie z tym poradzić. Melody, jego mama, kompletnie się załamała. Od lat żyłyśmy w strachu przed tym dniem, ale tak naprawdę chyba żadna z nas nie wierzyła, że naprawdę nadejdzie. Pewnie nie przeżyłybyśmy wszystkich tych lat po śmierci Bernadety, gdybyśmy wierzyły, że On zabierze nasze dzieci. Że my na to pozwolimy. Że będziemy pomagać.

Urwała na chwilę, głos jej drżał.

- W noc śmierci Boba nie tylko płakałam. Dostałam szału. Wyłam godzinami. W gniewie zdemolowałam dom. Tłukłam

naczynia o ścianę, zrywałam półki w salonie wróżb, nawet wyrzuciłam krzesło przez okno. Potem spakowałam parę rzeczy i wsiadłam do samochodu. Nie mogłam tu zostać. Pamiętam, jak myślałam, że mam szczęście, bo nie będę musiała oddać córki potworowi z urwiska. I że On nigdy więcej nie tknie mnie niczyją ręką. Nigdy nie zapomnę tej nocy. Naprawdę myślałam, że mi się uda...

Wreszcie, patrząc w przestrzeń, Angelika zaczęła opowiadać historię nocy, w którą podjęła próbę ucieczki...

Wyjechała z podjazdu na Main Street i ruszyła w stronę drogi wylotowej z miasta. Jej serce waliło jak oszalałe. Czy naprawdę zdoła to zrobić? Czy naprawdę w końcu uwolni się od tego koszmaru?

Pomyślała o Bobie, o jego spokojnym poczuciu humoru, o jego łagodnym usposobieniu. Miała nadzieję, że demon z Góry Terrela jest zadowolony ze smaku jego duszy. Że mając Boba do zabawy, będzie zbyt zajęty, żeby spostrzec jej ucieczkę. Na to liczyła.

Myliła się.

Z początku mogła ignorować delikatne muśnięcia. Niedługo później ból przeszył jej głowę niczym ostrze noża. Angelika zakłęła. Wóz zjechał z drogi, a sama droga rozmyła się przed jej oczami. Wstrząsały nią fale rozdzierającego bólu. Jak przez mgłę widziała żółte linie, coraz dalsze, gdy jechała na przełaj w kierunku zatoki. Przed maską wyrosła kępa drzew.

Chciała zawrócić do szosy, lecz nagle z przerażeniem spostrzegła, że jej prawa stopa sama naciska na gaz, a rękę dotknął paraliż. Samochód przyspieszył, Angelika wrzasnęła. Usłyszała złośliwy, straszny chichot, a zaraz potem przeraźliwy wrzask. Pierwszy dźwięk był śmiechem demona,

który bawił się jedną ze swoich ulubionych zabawek. Drugi popłynął z jej gardła, gdy wóz czołowo uderzył w pień dębu. Maską pękła i wygięła się z metalicznym zgrzytem. Kawałki szkła zamigotały w powietrzu, rozległ się trzask drewna. Angelika uderzyła czołem w szybę i na jakiś czas wszystko ucichło.

Oprzytomniała w ciemności, słysząc wokół brzęczenie letnich owadów. Potrząsnęła głową i jęknęła. Ból był potworny. Ale ten ból był prawdziwy, nie On go zadawał. Ostrożnie dotknęła palcem czoła i namacała duży, gorący guz z prawej strony. Pośrodku był lepki, ale nie krwawił.

Gwiazdy mrugały na niebie. Nagle Angelika zrozumiała, że leży nie w samochodzie, lecz w wysokim zielsku tuż za drzewem, z którym się zderzyła. W nikłym blasku księżyca zobaczyła wrak swojego wozu. Wyglądał, jakby próbował owinąć pień dębu. Maską się wyrzuciła, zachowany fragment przedniej szyby pokrywała pajęczyna pęknięć.

Angelika powoli wstała, przeciągnęła rękami po ciele, szukając ran czy połamanych kości. Nie znalazłszy poważnych obrażeń, ruszyła w stronę drogi. Wprawdzie po zmroku niewiele aut jeździło przez Terrel, ale miała nadzieję, że trafi się ktoś, kto podrzuci ją do miasta. Ból pulsował w jej głowie przy każdym kroku. Na szczęście do szosy nie było daleko.

A potem On wrócił.

Ręce Angeliki podniosły się same i powoli zaczęły rozpinać bluzkę. Łzy spływały jej po policzkach, gdy krzycząc bezgłośnie: „nie!”, skupiała wolę na odzyskaniu władzy nad zdradzieckimi palcami. Jej starania tylko zwiększały ból. Stopy też ją zdradziły, niosąc w inną stronę. Była bezradna. Palce z uporem, wbrew jej woli rozpięły kolejne guziki. Niezdarnie, jakby była marionetką poruszaną

przez niewprawnego lalkarza, Angelika zdjęła bluzkę, a potem sięgnęła za plecy, żeby rozpiąć stanik. Gdy rzuciła w chwasty tę część garderoby, zajęła się dzinsami. Obląkane nogi zatrzymały się na chwilę, żeby zzuć buty i pozwolić rękom ściągnąć z siebie nogawki. Potem znów podjęły wędrówkę. Jeden kciuk zjechał pod gumkę różowych majtek i przez chwilę bawił się futerkiem. Nagle mocno szarpnął w dół, ściągając miękką bawełnę na uda. Angelika potknęła się i upadła z niemym krzykiem, ostre kamienie rozcięły jej ramię. Zaraz niewidzialne sznurki poderwały kobietę z ziemi i ruszyła, zupełnie naga, ku drodze.

Dygotała ze złości i strachu, lecz nie mogła się zatrzymać. Nie wystarczyło Mu, że uniemożliwił jej wyjazd z miasta, rozbijając samochód. Chciał poniżyć nieposłuszną, zemścić się w jakiś straszny sposób. Wiedziała, że rozebranie jej do naga jest tylko początkiem.

Łzy spływały jej po policzkach, gdy niczym zombi szła skrajem asfaltu. Czuła się tak, jakby ktoś wbijał jej kolce w czaszkę za oczami. Kamienie, kawałki szkła i ostra trawa kaleczyły jej stopy. Modliła się, żeby nikt nie nadjechał do końca tej piekielnej nocy, żeby nikt nie zobaczył, jak zmaltretowana, zakrwawiona, naga dziewczyna stoi na drodze z podniesionym kciukiem. Może jej oprawca znudzony brakiem widowni, skupi uwagę na jakiejś innej, bardziej interesującej ofierze. Wtedy, zanim znów sobie o niej przypomni, może Angelika zdoła odzyskać ubrania i szacunek do siebie samej. Może uda jej się uciec do domu i ukryć. Lecz tej nocy On nic nie zostawił przypadkowi.

Stała po prawej stronie drogi w szerokim rozkroku, z jedną ręką na biodrze, z kciukiem drugiej uniesionym w powietrze. Zobaczyła światła.

Ból głowy trochę zelżał, ale teraz wwiercił się w stawy

zmęczone wymuszoną postawą. Widząc błysk świateł w dali, Angelika wezwała całą siłę woli, żeby się poruszyć. Skoncentrowała się na stopie. Drżała z wysiłku, On jednak był znacznie silniejszy. Spróbowała się pochylić, aby stracić równowagę i wpaść do rowu. Nie dbała o to, że się potłucze, najważniejsze było zniknąć z szosy.

Nie dała rady. Trzymał ją w żelaznym uścisku, zamrożoną w tej samej pozycji, a światła były coraz jaśniejsze, mocniejsze, większe.

Lewy kciuk Angeliki obrócił się do tyłu w uniwersalnym geście autostopowiczów, a prawa ręka musnęła blade żebra i wplotła się we włosy na karku. Oprawca wygiął jej plecy, żeby wyeksponować piersi, i zgiął prawą nogę, zwracając kolano w kierunku żółtej linii. Uczynił z niej zrozumiałą dla każdego symbol „chodź tutaj”. Nawet przydrożne tirówki wyglądają mniej wyzywająco.

Oślepiające światła rozdarły źrenice. Łzy znów zmoczyły jej twarz, krew plamiła kamienie kaleczące podeszwy stóp.

Rozpoznała charakterystyczny warkot ciężarówki. Samochód zwolnił i z jękiem hamulców zatrzymał się parę kroków od niej. Gdy światła przygasły do postojowych, zobaczyła zardzewiałego rzęcha, który „przybył z odsieczą”. Był to ford pickup z siedemdziesiątego drugiego, żółty jak szkolny autobus. Silnik charczał, pracując na luzie.

Angelika знаła ten pojazd. Łzy popłynęły jej po policzkach i dostała mdłości - była to reakcja na widok mężczyzny, który wysiadł z kabiny. Ze wszystkich sił próbowała zmusić nogi do ruchu, wyteżała się tak bardzo, że niebo poczerwieniało jej w oczach. On nie pozwolił uciec. Jej stopy wrosły w ziemię. To była Jego ostateczna kara. I rozkosz.

Jęknęła, gdy jej lewa ręka opadła, a prawa zaczęła

masować piersi. Wbrew własnej woli wabiła zbliżającego się typa.

Był to Harold Palmer, miejscowy mechanik, przekleństwo jej życia od pierwszej klasy liceum. Przez całe szkolne lata próbował poderwać Angelikę, zaczepiał ją w szatni i na korytarzach, a później przychodził po wróżby. Zawsze, choć czasami tylko o włos, udawało jej się unikać jego umizgów. Do dziś. Stała przed nim wyprężona w tanim, wulgarnym pokazie udawanego pożądania. Wiedziała, że nie ucieknie. Zbierało jej się na wymioty, gdy ścisnęła nabrzmiąły sutek, prezentując go mechanikowi.

Harold zrozumiał, że tym razem będzie miał więcej szczęścia. Jego śliczna Włoszka długo kazała się gonić, ale w końcu ją dopadł. I sądząc z wyglądu, marzyła, żeby ją przeleciał. Niemal chciał jej kazać, żeby o to błagała... ale bał się przeciągnąć strunę.

Podszedł do niej z palcami zahaczonymi o szlufki, oblizując usta.

- Cześć, Angie - powiedział, oblesnie przeciągając samogłoski. - Wyglądasz naprawdę super.

W odpowiedzi wysunęła język i przeciągnęła koniuszkiem po wargach, jednocześnie smukłym paznokciem obrysowując brodawkę sutka. Zawodziła w duchu. Czuła się jak uwięziona w szkle, przez które wszystko widziała, lecz którego nie mogła rozbić.

Rzucił się na nią w okamgnieniu. Angelika wrzeszczała bezgłośnie, gdy grube, spocone łapy obmacywały jej piersi i pośladki. Czuła na nich smar. Oddech Harolda cuchnął zepsutym mięsem, szczecina porastająca szczękę drapała jej skórę. Jego usta wędrowały wszędzie.

Ciało Angeliki reagowało tak, jakby był Romeem, jakby był mężczyzną, o którym śniła każdej nocy. Czuła, jak

twardnieją jej piersi, a fałdki pomiędzy nogami obrzmiewają i wilgotnieją. Jej ręce macały go po pośladkach, pomagały mu się rozebrać. Żołądek podszedł do gardła, gdy poczuła w ustach język mechanika. Nie zwymiotowała. Jej język tańczył gorączkowo, odpowiadając liźnięciem na liźnięcie, pocałunkiem na pocałunek. Ich twarze, szyje i ramiona były śliskie od śliny, gdy w końcu bez tchu odsunęli się od siebie. Potem Angelika usłyszała głos, który płynął z jej gardła, lecz nie należał do niej. Oprawca mówił za nią, błagając skradzionym głosem:

- Och, Haroldzie, pragnę cię od tak dawna. Weź mnie od tyłu. Weź mnie natychmiast!

Zakrztusiła się, słysząc te słowa, ale opadła na maskę pickupa, wypinając gołą pupę w stronę obiektu wieloletniej nienawiści. Ślina ciekła jej z kącików ust, lecz mechanik tego nie widział.

Harold spuścił się, gdy tylko jego członek wniknął pomiędzy jej pośladki. Nie zrezygnował, wcisnął się w nią ponownie i po chwili wystrzelił kolejny ładunek. Czekał na to dziesięć lat i zaoszczędził dość spermy, żeby przelecieć ją pięć razy pod rząd, jeśli mu pozwoli.

Oczywiście prawdziwy Harold nie miałby na to odwagi, ale ten, który obłapiał jej cycki i trącał biodrami pośladki, nie był prawdziwym Haroldem. No, był Haroldem, lecz trochę podrasowanym. Prawdziwy byłby się spuścił, wrzasnął ze wstydu i uciekł. Ale nieprzypadkowo to on jechał w środku nocy drogą za miastem. Został wezwany, czy o tym wiedział, czy nie.

Ciało Angeliki drżało z rozkoszy, przyjmując w siebie jego fiuta, a nawet zachęcając, żeby rznął ją mocniej. Jednak umysł popadał w szaleństwo, na przemian płacząc i wyjąc. A

usta milczały, płynęły z nich tylko cienkie strużki śliny.

Chciała tłuc pięściami w cuchnące cielsko, które kopulowało z jej ciałem, które ją gwałciło... Nic z tego. Ręce Angeliki czule gładziły spoconą twarz Palmera, jakby był prawdziwym kochankiem i bawiły się śliskim narzędziem pomiędzy grubymi udami. Stała się jego dziwką i nie mogła nic zrobić.

Ale oczywiście to nie był koniec.

Nie wystarczyło Mu, żeby Angelikę przeleciał najbardziej odrażający facet, jakiego знаła. Wiedział, jak zadać jej jeszcze większy ból.

Długo tarzali się po brudnym kocu, który Harold ściągnął z platformy ciężarówki. Gdy skończył trzeci raz, gdy Angelice kręciło się w głowie od smrodu jego potu, spoczęli obok siebie. Wilgotni i nadzy patrzyli w gwiazdy. Ale myśleli o różnych rzeczach.

- Marzyłem o tobie - szepnął. - Od tak dawna, Angie. Dlaczego kazałaś mi czekać?

Angelika nie podzielała jego zadumy. Gdy Harold rozkoszował się spełnieniem życiowego marzenia, jej ręce były zajęte. Nie miała pojęcia, co On knuje. A nawet gdyby odgadła i tak nie miałyby to znaczenia. Nie mogłaby niczemu zapobiec. Tej nocy była jego narzędziem.

- Jesteś wszystkim, czego zawsze pragnąłem - powiedział Harold. Angelika podniosła się na łokciu i zobaczyła łzy spływające po jego tłustej, zarosniętej twarzy. Był brzydkim mężczyzną, jeszcze bardziej odpychającym niż dawniej, gdy głupkowaty i obrzydliwy ganiał ją po labiryncie szkolnych korytarzy. Na przekór sobie poczuła coś do niego, gdy wyrzekł słowa pełne bólu, tęsknoty i samotności. Pełne obsesji, która w nim tkwiła od przeszło dwudziestu lat.

Budził wstręt.

Był brzydki.

Cuchnął.

Ale była dla niego wszystkim, czego pragnął. Tragiczne. Iskierka ni to litości, ni to współczucia zapłonęła w jej sercu.

Wtedy On uderzył.

Ręce podniosły pasek dyskretnie wysunięty ze spodni mechanika i szybko okręciły go wokół jego szyi. Harold najpierw pomyślał, że Angelika rzuca się na niego, żeby zmiążdżyć mu usta w namiętym pocałunku. Dopiero potem poczuł, że nie może złapać tchu. Spróbował odepchnąć kobietę. Za późno. Gdy tylko poderwał głowę z koca, ona błyskawicznie się przetoczyła i już była za jego plecami. Mogła zaciskać pasek, nie pozwalając się dosięgnąć.

Angelika wrzeszczała w myślach tak mocno, że coś pękło jej w szyi. Pieprzenie go było koszmarnie, ale zabijanie niewyobrażalnie gorsze. Wolałaby, żeby zalewał ją spermą, wolałaby czuć go w ustach, obciążać grubego, groteskowego penisa.

Harold przeżył grzbiet i wierzgał jak byk na rodeo, gdy coraz mocniej zaciskała pasek. Żaden kowboj nie miał takiej krzepy jak ona. Bo to nie była Angelika, wyciskała życie z mechanika za pomocą pożyczonej siły.

Skóra pasa bezlitośnie dławiła grubego mężczyznę. Bełkotał z ustami pełnymi śliny, błagając o życie.

To było najgorsze.

- Proszę, Angie - chrypiał. - Kocham cię. Kocham cię.

Łzy spływały jej po twarzy, gdy słuchała miłosego wyznania. Nienawiść do Palmera wygasła, ale nie mogła go uratować. Mogła tylko patrzeć, jak jej ręce zdradzają ich oboje. W sterylnym blasku księżycy widziała, że jego twarz robi się fioletowa jak śliwka, a oczy wychodzą z orbit. Miotał się, próbując jej dosięgnąć. Raz uderzył Angelikę w brzuch

lepką łapą. Zatrzęsła się z bólu, gdy zahaczył palcem o prawy sutek i szarpnął mocno.

W końcu mógł tylko słabo poklepywać ją po udzie. A jej ręce ani na chwilę nie rozluźniły paska.

Wreszcie charkot zaczął cichnąć. Harold przestał się bronić. Wtedy legła na nim całym ciężarem, jeszcze bardziej zacieśniając pasek.

- Ko... cham... cię - tak brzmiały jego ostatnie słowa.

Po raz pierwszy tej nocy On przemówił do niej:

- *To było urocze. Pocałuj go jeszcze raz, zrób mu dobrze. Trzeba odwzajemnić okazaną miłość.*

- Nie - wymamrotała. - Błagam.

Na próżno Go błagała, żeby ją uwolnił. Wciąż miał nad nią władzę. Zmusił Angelikę, żeby patrzyła, jak jej ręka bawi się martwym sztywnym członkiem. Potem zadarła nogę nad udem zamordowanego mężczyzny, żeby go dosięść. On wykręcił jej szyję, zmuszając do patrzenia, co robi, do patrzenia w martwe oczy Harolda. Były szeroko otwarte, jakby widział ducha. Już zrobiły się szkliste.

Martwe. Puste.

Twarz była sina, wargi wilgotne od spienionej śliny. Ale Angelika pochyliła się, opuściła głowę i...

...wsunęła język w cuchnącą otchłań stygnących ust.

Wstrząsana szlochom ślizgała się po martwym ciele, smakowała soli jego nasienia, lizała uszy, wciskała język pomiędzy gumowate wargi. Kucała nad nim przez godzinę, biorąc go w siebie, aż obtarł jej wnętrze. Czowała, jak jej krew nawilża jego fiuta, a potem... pustka.

Już nie patrzyła.

Niczego nie czuła.

Jej umysł się wyłączył, choć On wciąż nad nią panował.

Później pamiętała jak przez mgłę, że odciągnęła Harolda

daleko od drogi. Poraniła palce, podważając kamienie i zasypując nimi zwłoki, które ukryła wśród kolczastych krzaków na brzegu. Komary brzęczały, muchy kąsały. Szum fal nadawał rytm: „Podnieś, przenieś, rzuć. Podnieś, przenieś, rzuć”. Niebawem blade, kosmate ciało znikło pod kamieniami. Widziała tylko szeroką, zarosniętą twarz.

A potem rzuciła największy głaz, jaki zdołała podnieść i ziemista twarz zlała się z ziemią. Łzy moczyły piasek, który zgarniała i sypała pomiędzy kamienie, zgarniała i sypała. Potem znowu kamienie. Podnieś, przenieś, rzuć. Podnieś, przenieś, rzuć. Zgarnij i syp. Zgarnij i syp...

Pracowała godzinami pokąsana przez komary, mokra od potu, oblepiona piaskiem.

Kiedy nawet On nie mógł już wycisnąć z jej mięśni ani odrobiny siły, powlokła się na drogę, wsiadła do wozu Harolda i pojechała na drugą stronę miasta. O brzasku przeszła naga przez centrum Terrel niczego nieświadoma.

Wróciła do domu.

Rozdział IX

Angelika wpatrywała się w podłogę, nie chcąc spojrzeć Joemu w oczy.

- Nie wiem, ile osób mnie widziało, gdy szłam przez miasto, ani co mogli sobie pomyśleć. Nikt nic mi nie powiedział. I nikt nie znalazł ciała Harolda. Minęło sporo czasu, zanim doszłam do siebie. To, do czego mnie zmusił tamtej nocy... to było gorsze od śmierci. Ale dał mi nauczkę. Nie podjęłam kolejnej próby wyjazdu z Terrel. Dopiął swego.

Podniosła głowę i Kieran zobaczył smugi czarnego tuszu na jej policzkach.

- To chciałeś usłyszeć? Czy ta historia jest dla ciebie dość dobra? Nie sądzę, aby gazeta w Terrel ją opublikowała.

- Czy wróciłaś tam kiedyś... - Joe chrząknął - żeby odszukać ciało?

Parsknęła śmiechem.

- Żartujesz? Z początku nie chciałam, ale potem zaczęłam szukać. Musiałam. Musiałam wiedzieć. Długie tygodnie byłam chora ze strachu na myśl o tym, co zrobiłam i co zrobi ze mną policja, jeśli go znajdą. Wiele razy spacerowałam w tamtej okolicy. Za każdym razem czułam czyjś wzrok na plecach. Zawsze chodziłam za dnia, ale miałam wrażenie, że On mnie obserwuje i śmieje się ze mnie. Nigdy nie znalazłam niczego, co wyglądałoby znajomo. Grób, kopczyk z kamieni... Myślisz, że łatwo odnaleźć takie miejsce? Ja też myślałam. Ale ostatnie godziny tej nocy zatarły się w mojej pamięci, z pewnością nieprzypadkowo... On nie chciał, żebym zapamiętała pewne szczegóły... Swoją drogą, kto chciałby o czymś takim pamiętać?

Joego nagle opadły podejrzenia. Na samą myśl zrobiło mu się niedobrze.

- Angeliko - zaczął cicho - kiedy zadzwoniłaś do mnie tamtego wieczora i miałaś na sobie tylko szlafrok...

Zwróciła na niego oczy pełne bólu. I łez.

Pokiwała głową.

Czuł mdłości. Wiedział, że tamtej nocy został wykorzystany, ale nie podejrzewał, że w taki sposób! Angelika wcale go nie pragnęła. Może nawet budził w niej wstręt. Może to coś z urwiska rozmyślnie wybierało dla niej mężczyzn, którzy napawali ją wyjątkową odrazą. Wspomnienia nocy przeleciały mu przed oczami jak zwiastun filmu dla dorosłych. Jej oczy, dzikie i rozpustne. Jej ręce - raz aksamitnie miękkie, raz drapieżne - wbijające się w jego ciało niczym szpony rozkoszy.

Co naprawdę o nim myślała? Nagle poczuł, że musi wiedzieć. Czy wspominając tamtą noc, musiała walczyć z wymiotami? Czy miał szansę poznać prawdę?

Angelika wstała i podeszła do okna, grzbietem ręki lekko odsunęła zasłonę.

- Kogo wypatrujesz? - zapytał. - Robisz to za każdym razem, kiedy tu jestem.

- Nie chcę, żeby cię przyłapały.

- Kto?

- Pozostałe dziewczyny. Rhonda, Karen, Monika. Skoro On wie o tobie, może je przysłać.

- Angeliko...

Odwróciła się i szybko podeszła do kanapy.

- Joe, nie żartowałam, gdy kazałam ci wyjechać z miasta. Nam nie pozwala tego zrobić. Wszystkie próbowałyśmy. I czasami wykorzystuje nas, żeby powstrzymać kogoś, kto próbuje uciec. Jeśli ma cię na oku, pewnie już jest za późno. Ale jeśli możesz, Joe, powinieneś wyjechać. Szybko.

- Czy to było dla ciebie trudne w tamtą naszą noc...

Skrzywiła usta w wymuszonym uśmiechu. Pochyliła się i delikatnie pocałowała go w czoło.

- Nie tak jak myślisz.

Poderwała Kierana z kanapy. Zdumiała go siła jej szczupłych ramion.

- Mówię poważnie - powiedziała z rozpaczą. - Jeśli Go słyszałeś... musisz wyjechać.

W tej chwili ostre światło załało pokój. Czyjś samochód zatrzymał się na podjeździe.

- Cholera, cholera, cholera! - Angelika ruszyła do drzwi, zawróciła, gwałtownymi ruchami rąk wskazała korytarz. - Prędko! Do sypialni. Nikt nie może cię tu zobaczyć.

Podbiegła i chwyciła reportera za łokieć, ciągnąc w głąb korytarza na lewo od pokoju wróżb. Wepchnęła go do sypialni, zatrzasnęła drzwi. Po chwili usłyszał pukanie przy wejściu do domu.

I głosy, kobiece, sądząc z brzmienia. Nie rozumiał, co mówią. Słyszał narastające zdenerwowanie w tonie Angeliki. Mówiła głośniejsze i bardziej ostro niż pozostałe. Joe usiadł przy drzwiach, przysunął ucho do szczeliny. Nic z tego. Nie miał pojęcia, o czym rozmawiały. Po paru minutach zrezygnował z prób podsłuchiwania i rozejrzał się po pokoju. Ostatnim razem, kiedy tu był, nie miał na to czasu. Był zbyt zajęty właścicielką.

„Prawdziwa sypialnia babci - pomyślał, patrząc na rzeźbioną antyczną komodę, która stała przy łożu z kolumnkami. - Takie łóżko cię połyka, jakbyś był małym dzieckiem”.

Uśmiechnął się, ale zaraz ściągnął brwi. Nie chciał rozpamiętywać tej nocy. Nie po tym, jak usłyszał, że była opętana, że przespała się z nim pod przymusem.

„Ale czy nie sprawiło jej to przyjemności?” - zastanowił

się znowu. I przypomniał sobie, co powiedziała: „Nie tak jak myślisz”. Co to znaczyło?

Może to, że jednak ją pociągał, a demon z Góry Terrela tylko pomógł jej zaspokoić ukryte pragnienie? A może to, że gdy zaczynał rządzić jej umysłem, mogłaby pieprzyć się z gorylem i też mieć z tego uciechę?

Joe potrząsnął głową, próbując przepędzić te myśli. Lepiej do tego nie wracać. Roztrząsanie czegoś bez możliwości zadawania pytań nigdy nie doprowadzi do uzyskania odpowiedzi. Ale wgryzanie się w coś i szukanie...

Zrozumiał, że ma idealną okazję do przeprowadzenia dziennikarskiego śledztwa. Podniósł się i podszedł do starej, wąskiej komody.

„Pewnie spuścizna po babci” - uznał. Gdyby nie rysy i zadrapania, byłyby cennym antykiem. Na blacie w drewnianej szkatułce leżała biżuteria, bransoletki wysadzone sztucznymi kamieniami, opalizujące plastikowe naszyjniki. Angelika gustowała w dość niekonwencjonalnych ozdobach. Przypuszczał, że to wymóg jej profesji.

Figurka Najświętszej Marii Panny patrzyła zza stosu rachunków. Przejrzał je pobieżnie. 67 dolarów 52 centy za prąd. Bieliznę kupowała z katalogu Victoria's Secret. Uśmiechnął się. Dotąd nie miał żadnych dowodów, że nosiła bieliznę. Stan zadłużenia na karcie Visa wynosił 453 dolary.

Za stosikiem leżała złożona żółta kartka. Joe zerknął przez ramię na drzwi, rozłożył kartkę, przeczytał słowa nagryzmołone niebieskim mazakiem. Pośrodku „Bernadeta”, poniżej „28.06, godz. 20”. Na samym dole dwa słowa: „Żadnych wymówek”.

28 czerwca był właśnie dziś! Joe spojrzął na zegarek. Piętnaście po ósmej.

Wiedziała, że przyjdą. Dlatego wciąż wyglądała przez

okno. Ale czego chciały?

Nagle zrozumiał, kto ją odwiedził. Poza świętą Bernadeta słyszał tylko o jednej. Mieszkała w Terrel i utonęła dwadzieścia lat temu. W towarzystwie Angeliki. I czterech innych kobiet: Rhondy Canady, Karen Sander, Moniki Kelly i Melody O'Grady. Założyłyby się, że teraz są w komplecie. Oczywiście bez Bernadety. I bez Melody, która - o ile dobrze rozumiał słowa wróżki - skończyła w wariatkowie.

Złożył kartkę, wsunął ją za rachunki. Miał ochotę pójść do salonu. Wejść niedbałym krokiem, skinąć głową całej czwórce i powiedzieć: „Witam, drogie panie. Są jakieś wieści od naszego kumpla z urwiska?”.

A gdyby przytaknęły?

Przegnął tę myśl i zajrzał do szuflad komody.

Angelika naprawdę nosiła bieliznę, o ile jedwabne, koronkowe majteczki w najwyższej szufladzie po lewej stronie mogły być tego dowodem.

Więc... ten rachunek miał pokrycie. Ale jaka suma widniała na rachunku Bernadety?

W drugiej szufladzie zobaczył krzykliwe kostiumy, w których zasiadała do wróżenia. W następnej leżały niebieskie džinsy. Otworzył drzwiczki następnej szafki i zobaczył kolejne trzy szuflady. W najwyższej stały liczne buteleczki i flakoniki z perfumami i kosmetykami - kolejne akcesoria jej fachu. W środkowej leżała książka. Oprawiony w skórę znajomy album. Album z wycinkami, które Angelika pokazała mu na początku tamtej szalonej nocy. Teraz przyszło mu na myśl, że może zrobiła to nie z własnej woli. Może potwór, który ją opętał, kazał jej wyjawić te informacje. Podsunął mu fragment układanki, podkusił do zgłębiania tajemnicy.

Dlaczego?

Czy nie powinien strzec swoich sekretów? Może chciał, żeby on, Joe, dowiedział się więcej?

Ta myśl przyprawiła go o drżenie. Jakie miejsce zajmował w planach tej istoty? Raz go wykorzystwała, nie zdradzając swojego istnienia. Potem przemówiła do niego w trzewiach góry, zapowiadając ponowne spotkanie. Nagle rada Angeliki wydała się mądra. Czy nie byłoby lepiej, gdyby opuścił to miasto?

Położył album na ciemnoniebieskiej kapie na łóżku. Przerzucił pierwsze kartki, pamiętnik ilustrowany zdjęciami urwiska i wycinkami z gazet. Przed laty Angelika zaczęła prowadzić coś w rodzaju dziennika. Pisała niebieskim długopisem. Charakter pisma przywodził na myśl liściki wymieniane na pierwszych lekcjach algebry.

30 czerwca 1981: Nie wiem, co się stanie z tą książką, ale czuję, że powinnam pisać. Minął ponad miesiąc od śmierci Bernadety i chciałabym móc powiedzieć, że wspomnienie błędnie. Niestety, nie błędnie. Co noc słyszę w głowie Jego głos. Co noc czuję w brzuchu żar, to wyjątkowe uczucie, jakie wzbudził w nas w jaskini. Czasami bronię się z płaczem i uczucie przemija. Kiedy indziej, przyznaję ze wstydem... kiedy indziej je uwielbiam.

W tej chwili autorka dziennika wrzasnęła w drugim końcu domu.

- Nieee!

Joe zatrzasnął album. Zawahał się przy drzwiach, czekając na jakiś znak. Krzyk brzmiał rozpaczliwie, ale czy powinien ingerować? Może Angelika tylko sprzeczała się z koleżankami. No i co, ma z tego powodu wyskoczyć z sypialni, wołając: „Niespodzianka!”...

Oparł się o drzwi, nadstawiając ucha. Próbował odgadnąć, co się dzieje w salonie. Głosy przycichły do szeptu, a potem usłyszał trzaśnięcie siatkowych drzwi. Podbiegł do okna, powoli podniósł roletę i zdążył zobaczyć, jak ktoś zamyka tylne drzwi furgonetki. Dwie osoby, które widział niezbyt wyraźnie, wsiadły do kabiny. Pojazd z rykiem zniknął z podjazdu.

Kieran opuścił roletę i wrócił do drzwi. Otworzył je po cichu. Prześliznął się przez krótki korytarz ostrożnie, żeby skrzypiąca deska nie zdradziła jego obecności. Zajrzał do pokoju. Nie zobaczył gości.

Ani gospodyni.

Cholera! Nie powinien był zwlekać. Krzyk Angeliki był wołaniem o ratunek. Zapłacała za jego zbytek ostrożności.

Co teraz?

Rozejrzał się po pokoju. Nic nie świadczyło o wizycie gości. Stalowa lampa sztormowa zalewała żółtym blaskiem dwa głębokie fotele. Na jednym leżał otwarty program telewizyjny. Salon wyglądał tak, jakby Angelika wyszła do kuchni po piwo. Ale on wiedział swoje.

Miały zbyt dużą przewagę, żeby je dopędzić. Z wahaniem spojrzął na drzwi. Jechać za nimi? Domyślał się nawet, w którą stronę.

Nie!

To była okazja, jakiej żaden reporter by nie zmarnował. Mógł przejrzeć materiał źródłowy, którego Angelika być może nie udostępni mu z własnej woli. Jeśli zdoła coś znaleźć. Wrócił do sypialni. Martwił się o wróżkę, ale nie miał zamiaru pędzić za nią na złamanie karku. Tutaj mógł znaleźć informacje, które pomogą mu w poszukiwaniach.

Zawodowy instynkt zdusił tępy ból w brzuchu. Joe podjął przeszukiwanie komody od miejsca, w którym przerwał. Ale

pozostałe szuflady nie zawierały niczego poza starą bielizną i bawełnianymi koszulkami.

W kasetce z biżuterią znalazł jeden interesujący drobiazg - naszyjnik, który nosiła w noc wspólnie spędzoną w tym pokoju. Pamiętał go dobrze - była to jedyna rzecz, jaką miała wtedy na sobie. Dwie postacie splecione w erotycznym uścisku uderzały go w brodę i piersi - czasami boleśnie - gdy go ujeżdżała. Bliźniacze srebrne figurki złączone biodrami, uśmiechnięte lubieżnie, rogate. Rogi jelenia czy diabła? Podniósł naszyjnik za rzemyk, wsunął do kieszeni spodni.

Zabrał oprawiony w skórę album i uznał, że pora się zmywać. Zanim kobiety postanowią wrócić.

Rozdział X

Angelika modliła się, żeby ten dzień nigdy nie nadszedł. Ale gdy wpełnęła Joego do sypialni i zatrzasnęła drzwi, wiedziała, że zamyka je za nim - i za resztą swojego życia - na zawsze.

On znów wzywał swój krąg.

Chciał dostać jej córkę. Ostatnią z dzieci.

A ona nie mogła spełnić jego życzenia.

Oddając dziecko do adopcji, zdawała sobie sprawę, że być może pewnego dnia przyplaci to życiem. Nie dbała o to. Była silniejsza od innych. Nie zależało jej na życiu i przyjemnościach na tyle, żeby oddać pierwotne dziecko wampirowi z góry.

Zapukały do drzwi.

Nawet nie próbowała uciekać. Zresztą dokąd miałyby uciec? Już raz próbowała. Skończyłoby się na bieganiu na golasa i spółkowaniu Bóg wie z kim. Nie, tym razem musi stawić im czoła, ich wściekłości i poczuciu zdrady. Ona zerwała umowę, a teraz On upominał się o należną zapłatę.

- Otwieraj! - usłyszała ostry, nieprzyjemny głos przyjaciółki z dzieciństwa, Rhondy. Rhonda już nie była przyjaciółką.

Angelika powoli podeszła do drzwi, czując, że z każdym krokiem przekracza kolejną granicę, z której już nie ma odwrotu. Jej serce łomotało z rozpaczy i strachu: „Nie otwieraj!”.

To jednak nie zdałoby się na nic. Czowała, że w jakimś zakamarku jej umysłu On bezlitośnie szczyrzy zęby. Pozwoli kobietom wykonać brudną robotę. Jeśli zawiodą, sam zacznie działać. Wołała ponieść karę z ich rąk.

Przekręciła gałkę i ujrzała rozdętą, świńską twarz z

przylepionym stalowym uśmiechem zwycięstwa. Rhonda Canady wepchnęła się do pokoju, Karen i Monika za nią. Krąg był kompletny. Tylko Melody O'Grady do nich nie dołączy.

Nie może.

Po śmierci syna Boba, po wypełnieniu swej części umowy, zaczęła malować na ścianach w swoim domu. Niektórzy uznali fresk za genialny. Fotograficy, psychiatry i krytycy sztuki krążyli po salonie O'Gradych. Pisały o tym największe gazety. A Melody zamknięto w szpitalu psychiatrycznym. Zaraz po transfuzji, która uzupełniła krew zużytą do malowania.

Jej mąż po powrocie do domu zobaczył realistyczne, krwiste kolory piekła na ścianie za telewizorem. Demony Melody, rozszalałe i zębate, mogły budzić strach przemieszany z podziwem. Smażyły się, tańcząc w płomieniach. Wszystkie wypatroszone dzieci miały rysy Boba i usta otwarte w milczącym krzyku. Krwawe oskarżenie wyzierało z każdego kąta pokoju, w którym kobieta straciła rozum.

Lata temu.

- Jesteś gotowa? - syknęła Rhonda, gdy weszły do salonu. - Wiem, że dostałaś mój list. Czas, żebyś ty też wywiązała się z umowy. Czekałyśmy długie lata. Gdzie twoja córka? Gdzie ukryłaś Andi?

Angelika odsunęła się. Przez ponad dwadzieścia lat wypierała ten dzień ze świadomości. Wciąż nie była gotowa się z nim zmierzyć.

- Nie - odparła krótko i usiadła na kanapie plecami do byłych przyjaciółek.

- Wszystkie dotrzymałyśmy obietnicy - przypomniała Karen cichym, ale stanowczym głosem. - Korzystałaś ze

swojego daru bardziej niż my ze swoich. I nie zapłaciłaś.

- Nie dotrzymam słowa danego diabłu.

Do rozmowy włączyła się Monika. Jej głos brzęczał w powietrzu jak dzwonek telefonu.

- Nie masz większego wyboru.

- Szczerze mówiąc, mam wiele możliwości - Angelika parsknęła śmiechem. - Nie wiem, gdzie ona jest. Choćby dlatego nie mogę jej wydać. Spieprzajcie z mojego domu i dajcie mi spokój!

Ostatnie słowa wykrzyczała, lecz one zignorowały jej gniew. Rhonda, Monika i Karen zastygły pośrodku pokoju, patrząc na nią pustym wzrokiem, jakby słuchały kogoś innego.

- Słyszałaś, pieprzony potworze? - wrzasnęła Angelika. - NIE WIEM, GDZIE ONA JEST. ZOSTAW MNIE W POKOJU!

Oczy Karen Sander nagle oprzytomniały. Lekki, bolesny uśmiech wykrzywił jej wargi.

- Jak matka może nie wiedzieć takich rzeczy?

- Wyrzekłam się jej, oddając ją do adopcji. Nigdy nie zapytałam, dokąd trafiła. Nie chciałam wiedzieć.

- Matka zawsze może się dowiedzieć - powiedziała Karen powoli, jakby narodziny tego pomysłu wymagały czasu. Złośliwy grymas wykrzywił jej rysy. - Możesz ją wytropić. To bardzo proste. Idź do ośrodka adopcyjnego. Podaj swoje nazwisko. Podaj jej imię. Znajdą ją. Widziałam coś takiego w telewizji.

Jej zęby błyszczą triumfalnie.

- Mogłabym to zrobić - odparła Angelika. - Ale nie zrobię.

- Rachel, zlituj się... - jęknęła Monika i usiadła przy starej przyjaciółce.

Ale ta pokręciła głową.

- Teraz mam na imię Angelika. Wyrzekłam się

wszystkiego. Zmieniłam imię, oddałam córkę... Nie chcę mieć nic wspólnego z przeszłością. Zaczęłam nowe życie.

- Możesz nazywać się, jak tylko chcesz - powiedziała Karen, odgarniając z policzka uparty kosmyk siwych włosów.

- To niczego nie zmieni. Obojętnie, jakie przybierzesz imię, On będzie wiedział, gdzie jesteś. Zawarliście umowę. Twój drugi wzrok, twój dar przepowiadania przyszłości za życie pierworodnego dziecka.

Monika objęła ramiona Angeliki.

- Myślisz, że my tego chcieliśmy? Myślisz, że On dał nam wybór? W dniu śmierci Bernadety straciłyśmy prawo wyboru. Ty też straciłaś prawo wyboru na długo przed tym, zanim zostałaś Angeliką. Przypieczętowałaś umowę, kiedy po raz pierwszy użyłaś daru, jakim cię obdarzył. Ale możemy z tym skończyć. Jeśli wydasz Andi, umowa zostanie wypełniona. Wywiąż się z obietnicy, a wszystkie wreszcie zaznamy spokoju.

- Ona wcale nie ma na imię Andi. Nie podałam imienia do aktu urodzenia. Nie nadałam go jej. Mówiłam, że ma na imię Andi, żebyście czuli się bezpieczniejsze. Wiedziałam, że pewnego dnia będziecie próbowały ją odszukać. I mogę wam powiedzieć, że nigdy nie zaznamy spokoju. Mam dar, wiecie o tym. Więc przepowiadałam wam przyszłość.

- Nie zmuszaj nas do tego - wycedziła Karen cichym, lodowatym głosem.

- Nie odzukam jej dla was.

- W takim razie zajmiesz jej miejsce.

Chwyciły ją za ręce i nogi. Angelika zdążyła krzyknąć: „Nieeee!”, zanim wepchnęły jej rącznik w usta. Na próżno szamotała się i kopała. Ich palce głęboko wbiły się w ciało wróżki. Kobiety wyniosły przyjaciółkę na dwór, na zacieniony podjazd, gdzie stała furgonetka Rhondy.

Gdy rzuciły ją na podłogę, pod skórą na karku poczuła znajomą pieśczołę. Czułe palce kochanka.

- *Miło cię będzie znów zobaczyć, moja droga. Nie mogę się doczekać.*

A potem w głębi umysłu usłyszała Jego śmiech.

Rozdział XI

Cindy uśmiechnęła się, gdy poczuła, jak On wnika w jej umysł. Lekkie jak piórko muśnięcia łaskotały mózg i zęby dziewczyny, rozgrzewały ją od szyi po krocze. Zadrzała z rozkoszy.

W ciągu paru tygodni zespolił się z nią do tego stopnia, że już nie rozumiała, jak radziła sobie w przeszłości, gdy nosiła w głowie tylko własne udęczone myśli. Jego kojący dotyk uśmierzył smutek po utracie Jamesa. Zresztą w pewnym sensie to James ją dotykał, bo przecież teraz stanowił część Jego. Zmarły chłopak stał się Cindy bliższy niż był za życia. Może spełniło się życzenie, które Joe wypowiedział tamtej nocy w altanie? Czasami w nocy, gdy siedziała na krawędzi urwiska, patrząc z góry na łamiące się fale, zamykała oczy i czuła, jak James gładzi jej włosy. Czuła jego dotyk na sobie i w sobie. Zastanawiała się często, czy do niego nie dołączyć. Czy nie skoczyć... ku wolności.

Głos przekonywał ją, żeby na razie tego nie robiła.

- *Jeszcze nie* - mówił. - *Być może niebawem będziesz mi potrzebna w świecie żywych.*

Słyszając to, odsuwała się od przepaści i kładła na wypolerowanej przez żywioły skale, aby patrzeć w gwiazdy.

Bryza znad morza masowała ją niczym ręce kochanka. Kiedyś Cindy przyszło na myśl, że nigdy nie czuła się taka szczęśliwa. Miała nie tylko tajemnego opiekuna, niewidzialną bratnią duszę, ale także starszego mężczyznę, który okazywał jej poważne zainteresowanie. Nie znaczy to, że w przeszłości nie przyciągała męskich spojrzeń, ale Joe był... przeuroczy. Uśmiechnęła się, wspominając, jak zareagował na jej francuskie bikini. Za nic nie założyłaby takiego kostiumu na publiczną plażę! Ale wiedziała, że pod Górą Terrela tylko Joe

ją zobaczy. Prawie nikt tam nie przychodził, choć piasek był czysty. Ponura legenda odstraszała ludzi.

W przeszłości kpiła z ich strachu. Teraz wiedziała, że bali się nie bez powodu. Ale wiedziała także, że źródło powszechnego lęku nie zrobi jej krzywdy. Do licha, pieprzony potwór z Góry Terrela obecnie był jej chłopakiem!

„I co wy na to, kmiotki? - Z uśmiechem odsunęła się od krawędzi zabójczej przepaści. - Pora wracać do domu”.

Joe rzucił ilustrowany pamiętnik Angeliki na tylne siedzenie i zapuścił silnik. Światła omiotły podniszczony front domu, a gdy cofał, padły na imię wróżki z szyldu.

Był rozdarty.

Ma jej szukać, bo może została uprowadzona, czy jechać do siebie, żeby przeczytać dziennik zanim Angelika wróci i zauważy, że został skradziony? O ile wróci...

Dlaczego to coś po dwudziestu pięciu latach wciąż miało władzę nad tymi kobietami? A Angelika? Poszła z nimi jednak z własnej woli czy związały ją i wyniosły?

Kiedy dotarł do zjazdu na drogę numer 31, bez namysłu skręcił w lewo. Światła Main Street znikły prawie natychmiast, gdy gąszcz drzew otoczył wóz Kierana. W lesie panowała grobowa cisza. Joe jechał w kierunku urwiska.

Gdzie indziej miałby się udać?

Opętanie

Rozdział I

Ken Brownsell był ostrożnym grotolazem. Zazwyczaj.

Od dziecka fascynował go podziemny świat jaskiń. A wszystko zaczęło się od wulkanów. Kiedy miał pięć lat, popołudniami w WBNX-TV puszczano stare odcinki japońskiego programu dla dzieci „Ultraman”. Ultraman i jego pomocnicy, pierwowzory Transformersów, mieszkali w wulkanie i przeobrażali się w rakiety, żeby walczyć ze złem. Gdy napływało wezwanie, stawali się metalicznymi, majestatycznymi superbohaterami i startowali z głębi krateru, żywe odrzutowce mocy i potęgi. Kena nie interesowało, co robili na powierzchni. Chciał wraz z nimi uciekać do jaskiń. Mieszkać w pobliżu rozżarzonych ogni płynnej skały. Magmy. Był taki dumny, gdy nauczył się tego słowa! Magma wrzała w głębi ziemi, gdzie były wykuwane diamenty i pełzały dziwnie ubarwione stworzenia bez oczu. Tam, pod ziemią, skrywała się tajemnica i Ken chciał być pierwszym, który ją zgłębi.

Obecnie nieczęsto myślał o Ultramanie czy zapuszczaniu się w głębinę czynnego wulkanu. Ale nadal ogarniało go podniecenie, gdy przeciskał się przez mały, brudny otwór w ziemi, żeby po drugiej stronie odkryć kolejną ukrytą komorę. Marzenia o lawie i diamentach przemieniły się w te o błocie i bazalcie, lecz dziecięce emocje przetrwały.

W liceum Ken wstąpił do Amerykańskiego Klubu Speleologów, a w czasie studiów brał udział w wyprawach do Kentucky, Kalifornii i Arizony, gdzie badał podziemne formacje. Jednak główny cel eksploracji zawsze miał pod ręką - Górę Terrela z setkami wejść w głąb ziemi. Gdzieś tam czekały na odkrycie bajeczne rzeźby, jakie natura tworzyła przez tysiące lat. Brownsell spędził miesiące na

cotygodniowych wyprawach, sporządzając plany jaskiń. Niestety, większość zbadanych korytarzy kończyła się ślepo.

Prawie zawsze chodził z towarzyszem. Człowiek nigdy nie miał pewności, czy na pozór solidne podłoże nie zarwie się pod jego ciężarem. Samotne umieranie w jakiejś dziurze nie należało do jego ulubionych fantazji. Często natomiast wyobrażał sobie WIELKIE ODKRYCIE. Fantazjował, jak z wąskiego, śliskiego komina wchodzi do groty wielkości Jaskini Mamuciej. Jak przypadkiem trafia do oszałamiająco pięknej pieczary, która przypomina geoidę wielkości katedry, bo wszędzie skrzą się kryształy. Jak ludzie płyną strumieniem, płacąc po dziesięć dolców za przejście przetartym przez niego szlakiem. Szlakiem do jaskini nazwanej jego imieniem.

GÓRA TERRELA ZAPRASZA: ZOBACZ CUDA GROTY BROWNSELLA - będą zachęcały billboardy wzdłuż autostrady 31.

Na tę myśl zawsze się rozpromieniał.

Dziś miał nadzieję, że marzenie się spełni.

Wejście, które naniósł na mapę z pomocą Badaczy Urwiska, wydawało się idealne dla turystów. Względnie łatwy dostęp, droga pod ziemią też niezbyt trudna. Jasne, pewne miejsca trzeba będzie poszerzyć, ale to pestka. Znaleźli dojscie do rzeki. Jaskinia żyła. Woda wciąż wymywała jej trzewia. Gdzieś w głębi góry mogła stworzyć Grotę Brownsella. W czasie ostatniej ekspedycji, tuż przed tym, jak ten cudak skoczył na główkę do rzeki, Ken dostrzegł obiecującą drogę do bocznej komory. Słyszał także jej zew. Od tej pory, gdy wieczorem kładł się do łóżka, omamiony wizjami stalaktytów i stalagmitów, miał kłopoty z zaśnięciem.

Ken kochał się w ziemi i nie mógł jej odmówić, kiedy robiła dla niego striptiz.

„Chodź, woda jest świetna - nęciła. - Chcesz zobaczyć moje cycuszki?”

Był gotów zadzwonić do Jeffa Avery’ego i zabrać go ze sobą, ale wtedy zobaczył w wyobraźni całkiem inny napis na billboardzie: GÓRA TERRELA ZAPRASZA: ZOBACZ CUDA GROTY AVERY-BROWNSELLA.

„Tylko nie to” - mruknął do siebie Ken. Zapakował do garbusa sprzęt potrzebny w czasie samodzielnej wyprawy.

Nie będzie z nikim dzielić się tym odkryciem.

Dzień promieniał nadzieją, gdy przed wylotem jaskini Ken wyciągnął ciężki plecak z bagażnika. Słońce zdążyło porządnie przygrzać mu plecy, zanim przygotował się do wyprawy. Tutaj temperatura sięgała trzydziestu stopni, ale tam, pod ziemią, nie przekraczała dziesięciu. Dlatego włożył odpowiednio ciepły strój, w którym na razie się pocił. W końcu zarzucił plecak na ramiona, zapiął pod brodą kask górniczy (pamiątka z wyprawy do Rockies w Newadzie) i pewnym krokiem ruszył ku ciemnemu, przysłoniętemu przez chaszczę otworowi w zboczu. Poczul tchnienie podziemi, gdy tylko pochylił głowę, żeby wejść w jego cień. Smród pleśni i robaków upajał go niczym słodki aromat piżma. Z uśmiechem zapalił lampę i ruszył już znajomą ścieżką w kierunku serca Góry Terrela.

Przecisnął się przez wąski tunel, który napędził stracha cudakowi. Joe, facet miał na imię Joe.

- Nieprędko go zobaczymy - Ken zaśmiał się głośno.

- *Nie bądź taki pewny* - odparł głos w jego głowie.

Brownsell stanął jak wryty. Może tylko to pomyślał? Czy ktoś odezwał się do niego? Oświetlił szare wapienne ściany. Pokręcił głową. Podziemny świat niekiedy wyczynia cuda z ludzkimi zmysłami. Zwłaszcza gdy człowiek jest sam.

- Głupio robisz - mruknął Ken pod nosem, ale zamiast zawrócić i wezwać partnera, przypiął karabinek linki asekuracyjnej do klamry, którą Badacze wbili w ścianę. Miał przed sobą nieznaną teren, więc wołał zadbać o bezpieczny powrót. Słyszał szmer podziemnej rzeki. Dostrzeżona wcześniej droga powinna biec równolegle do niej.

Stanął dokładnie tam, skąd spadł Joe. Wiedział, że woda płynie zaledwie parę metrów niżej. Drżał lekko, pot ziębił mu skórę. Wychylił się, żeby zaświecić w dół. Stożek światła zniknął w atramentowej ciemności, niczego nie ukazując. Koryto wycięte przez wodę zdawało się bezdenne, jakby patrzył w rozpadlinę sięgającą piekła. Ken odsunął się od krawędzi i ruszył dalej, ku czarnej tajemnicy góry.

Rozdział II

„Coś trzeba zrobić z tym reporterem” - pomyślał komendant Harry Swartzky. Ze złością wciągnął powietrze i zacisnął zęby na cybuchu podniszczonej fajki, słuchając kobiety siedzącej przed biurkiem.

- Nachodził mnie i Rhondę - skarżyła się Karen. - I wiem, że parę razy odwiedził Angelikę. Nie daje nam spokoju.

Jej oczy błagały go, żeby położył kres dochodzeniu „Terrel Timesa”. I dlaczego nie? To było samobójstwo, bez dwóch zdań.

- Przez niego czujemy się odpowiedzialne za śmierć Jamesa i Billa. To okropne, on jest okropny. Co będzie, jeśli pójdzie do Moniki? Ona się załamie. Musisz coś zrobić, tato. Każ mu przestać.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział do najstarszej córki.

Kiedyś była jego małą dziewczynką. A potem wynikła sprawa z Bernadetą. Tamtego dnia coś się zmieniło w Karen, coś utraciła. Tak, gdy sprawa przycichła i czas zatarł wspomnienia, ułożyła sobie życie, wyszła za męża, urodziła dziecko... Ale już nigdy nie żyła dawną pełnią życia. Na zawsze pozostała trochę nieobecna. Oderwana od rzeczywistości. Tamtego straszego dnia pomiędzy nim a Karen wyrósł mur, którego nigdy nie zdołał zburzyć. Mur zrobił się jeszcze wyższy, gdy woda zabrała jej jedyne dziecko. Harry nie rezygnował, wciąż próbował rozwalić tę nienawistną przegrodę. Ilekroć córka czegoś potrzebowała, naprawdę potrzebowała... zawsze mogła na niego liczyć.

- Nie mogę niczego obiecać - dodał cichym, łagodnym głosem. Po ojcowsku. - Nie zrobił niczego sprzecznego z prawem. Wiesz przecież, że nie musisz go wpuszczać. Zadzwoń do mnie, wyślę Roda albo Billa. Jeśli nie zostawi

cię w spokoju, mogę wystąpić o sądowy zakaz zbliżania się do ciebie. Ale jedna czy dwie wizyty to za mało.

Przez chwilę gładził rozgrzaną główkę fajki. Karen wiedziała, że ojciec się zastanawia, dlatego zachowała milczenie. Wreszcie popatrzył na nią i pokiwał głową.

- Zadzwoń do Randy'ego i zobaczę, czy nie przykróci smyczy swojemu psu. Jest mi winny przysługę.

Uśmiechnęła się wtedy. Był to jeden z nielicznych promyków szczęścia, jakie Harry widział na jej twarzy od chwili, gdy dwa lata temu William skoczył z tego przekłętego urwiska. Karen cmoknęła ojca w policzek i wyszła.

Wonny niebiesko-biały dym tytoniu waniliowego wznosił się pod sufit, gdy komendant rozważał jej skargę. Wysunął dolną szufladę biurka i wyjął stary samochódzik. Żółtą corvette. Farba łuszczyła się na karoserii i brakowało przedniej szyby. Gdy pchnął autko po blacie biurka, skreśliło w lewo.

Każdy, kto w tej chwili wszedłby do biura, pomyślałby, że komendant Terrel po prostu zbzikował. Smużki dymu snuły się leniwie z jego ust, oczy wpatrywały się w przestrzeń, ręce spoczywały na zepsutej zabawce. Policjant był teraz w świecie, który już dawno przeminął. W świecie, w którym William (nigdy Bill) Sander żył i miał osiem lat. W świecie, w którym piaskownica na podwórku Swartzky'ego czekała na tę corvette.

- Dziadku, chcesz jechać do Londynu? - pytał William i naśladując warkot silnika, zniknął za drzwiami kuchni, przemykał przez pokój, by znów wyskoczyć na podwórko. Wieczorem myli chłopca wodą z węża, inaczej w całym domu byłoby pełno piasku.

Harry podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić do „Timesa”. Kłął pod nosem na gazetę. Czy ci cholerni reporterzy nie

mogą ograniczyć się do informowania ludzi o datach imprez kościelnych i planach budowy nowego centrum kultury?! Na świecie było dość cierpienia bez rozgrzebywania grobów, bez rozdrapywania starych ran.

Redaktor „Timesa” odebrał telefon.

- Cześć Randy - zaczął komendant. - Jak się miewa żona? Tak? Brzoskwinie były nadzwyczajne. Podziękuj jej jeszcze raz. Słuchaj, Randy, chcę pogadać o jednym z twoich reporterów...

Rozdział III

Potrzebuję twojej pomocy, Cindy. Pomożesz mi?

Cindy wysunęła rękę spomiędzy nóg. Straciła poczucie czasu. Leżała na skraju urwiska, leniwie poddając się pieszczocie Jego dotyku. To dziwne, był dla niej taki dobry, a nawet nie mogła Go zobaczyć. Ostatnio kochał się z nią co wieczór tutaj, na krańcu świata. Niewidzialny chłopak. Szkoda, że nie mogła przedstawić go rodzicom. Roześmiała się, wyobrażając sobie taką scenę.

- Mamo, naprawdę Go kocham - mówi.

- Czy on cię tknął? - burczy tata z drugiego pokoju.

- Tak. Robi to co wieczór, odkąd wróciłam ze szkoły. Bierze mnie namiętnie na urwisku.

Gazeta upada na podłogę, ciężkie kroki dudnią w kuchni.

- Gdzie jest ten łajdak? - warczy tata, jego twarz przybiera szkarłatny kolor wołowiny. - Chciałbym powiedzieć mu coś do słuchu.

- Jest tutaj. - Cindy wskazuje pustkę obok siebie. - I tam - dodaje, wskazując fotel, na którym przed chwilą siedział ojciec. - Mów, co chcesz powiedzieć. On jest wszędzie.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko i odgarnęła wilgotne włosy z oczu. Gwiazdy mrugały jasno, lśniące muszelki na ciemnej plaży nieba. Księżyc unosił się na południowym wschodzie soczysty jak dojrzała pomarańcza. Noc była piękna.

- Co masz na myśli? - szepnęła do pustego powietrza.

Zaczął tłumaczyć niesłyszalny dla nikogo innego.

Żwir trysnął spod kół, gdy hyundai pokonał zakręt i zaczął wspinać się na Górę Terrela. Joe wiedział, że są gdzieś tutaj. Musiały tu być. Gdzie indziej miałyby się odbyć spotkanie

pod kryptonimem „Bernadeta”? Za szybą przemykały cienie drzew i niebawem przez okna wpadł szum fal. Zwykle rytmiczny hałas działał na niego kojąco, ale nie tego wieczoru. Dziś brzmiał jak syreni śpiew śmierci. Pieśń łabędzia skaczącego z wysokości szesnastego piętra.

Reflektory samochodu omiały głązy w zielsku z boku drogi i spłowiła żółtą linię pośrodku spękanej nawierzchni. Pojaśniało, gdy wóz wyjechał z lasu i wspiał się na górę, którą Kieran poznał tak dobrze w ciągu minionych tygodni. Niemal czuł zapach śmierci w powietrzu. Cuchnęło solą i zdradą.

Nie podobało mu się to wszystko. Jego wewnętrzne ucho z trwogą nadśluchiwało głosu, który mógł popłynąć z ciemności i przemówić w duszy. Modląc się, żeby szum fal pozostał jedynym dźwiękiem na urwisku, Joe zjechał z drogi i zgasił silnik. Wysiadł z samochodu. Nic prócz śpiewu wiatru i świerszczy.

Czekał go krótki spacer na szczyt skalistego wzniesienia. Księżyc oświetlał ścieżkę, na końcu której Kieran spodziewał się znaleźć Angelikę. W drodze na szczyt urwiska zrozumiał, że się pomylił. Nie minął furgonetki ani innych samochodów, a w pobliżu nie było kryjówki, żeby schować wóz. Poza tym po co miałyby ją tutaj przywozić? Chyba że planowały nakarmić przepaść... Czuł jednak, że śmierć Angeliki nie była celem tego nocnego sabatu. Nie. Wierzchołek Góry Terrela nie był właściwym miejscem.

Zwolnił, zastanawiając się, czy nie zawrócić do wozu. Sprawa dotyczyła urwiska i mieszkającego w nim diabła. Jakoś, gdzieś...

- Joe? - usłyszał znajomy głos. Drgnął, spojrzął przed siebie. Ktoś wyszedł zza skały. Dziewczyna w żółtej koszulce na ramiączkach i spłowiałych dżinsowych spodenkach.

- Cindy - powiedział z uśmiechem. Nie widział jej od wielu dni. Do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo za nią tęsknił. - Co tutaj robisz?

Podeszła bliżej, a wówczas zobaczył, że płakała. Smugi łez lśniły na jej opalonych policzkach, usta miała skrzywione i smutne.

Gdy nie odpowiedziała, przyspieszył kroku i zamknął w ramionach jej smukłe ciało.

- Co się stało, maleńka? - szepnął, przytulając dziewczynę. Serce mu pękało, gdy widział ją w takim stanie.

Cindy podniosła oczy pełne bólu i ulgi.

- Tęskniłam za tobą - szepnęła.

Od razu poczuł ciepło w piersi.

- Przepraszam. Przez tydzień pracowałem w nadgodzinach. Sprawa urwiska... - urwał, uświadamiając sobie, że płakała zapewne z powodu „sprawy urwiska”.

- W porządku. - Delikatnie pocałowała go w usta. - Po prostu przytul mnie mocno, dobrze?

Zrobił to i czuł, jak ona przywiera do niego. Włosy dziewczyny miały zapach fali i kwiatów, a jej ciepło sprawiało, że przenikał go dreszcz czułości.

- Po co tu przyszedłeś? - zapytała po chwili. - Szukałeś mnie?

- Nie. Prawdę mówiąc... - znów urwał, wiedząc dobrze, jak w jej uszach zabrzmiałoby to, co zamierzał powiedzieć.

- Co? - Złapała go za rękę i poprowadziła na skraj urwiska. Fale łamały się daleko w dole, księżyc wymalował na morzu jasny szlak, który wiódł od horyzontu do atramentowej linii brzegu.

- No mów - nacisnęła, a on stwierdził, że nie może skłamać.

- Byłem dzisiaj u Angeliki Napoli. U tej wróżki.

Cindy skinęła głową.

- Ona wierzy we wszystkie miejscowe legendy o demonie mieszkającym w urwisku - ciągnął Joe.

Teraz zrobiła zaintrygowaną minę.

- Mówi, że demon ma władzę nad nią i kobietami, które tutaj straciły dzieci, jak pani Sander i pani Canady. Powiedziała, że demon może opętać ludzi, że to on zabrał dzieci jej przyjaciółek.

Dziewczyna znowu pokiwała głową. Nie wyglądało na to, że uważa jego słowa za niedorzeczne.

- Słuchaj dalej, będzie jeszcze dziwniej. Kiedy Angelika, pani Sander, pani Canady i ich koleżanki były młode, przychodziły tutaj pływać, zapewne w to samo miejsce, w którym byliśmy razem. Pewnego dnia utonęła jedna z ich paczki: Bernadeta. Pozostałym nic się nie stało, ale po latach każda z nich straciła syna albo córkę. Z wyjątkiem Angeliki, która nie ma dzieci. W każdym razie byłem dzisiaj u niej, dopytując o te rzeczy, gdy zjawily się kobiety. Angelika ukryła mnie w sypialni i poszła z nimi porozmawiać. Gdy czekałem, znalazłem liścik z wiadomością, że dziś wieczorem ma się odbyć spotkanie związane z Bernadetą, dziewczyną, która utonęła przed laty. Potem usłyszałem krzyk Angeliki. Nie miałem pojęcia, co zrobić. Zależało jej, żeby nikt nie wiedział o mojej obecności w jej domu, więc się nie pokazałem. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, jak kobiety wsiadają do furgonetki. Wyszedłem z sypialni. Angeliki nie było w domu. Uprowadziły ją. Nie mam pojęcia dlaczego. Przyjechałem, bo przyszło mi na myśl, że może tu ją przywiezły. Istny obłąd, prawda?

Cindy tym razem pokręciła głową. Jej twarz straciła wyraz. Zdawała się przebywać milion kilometrów dalej wpatrzona w puste niebo nad ramieniem Joego. Zaintrygowany obejrzał

się, a potem pomachał ręką przed jej oczami.

- Nic ci nie jest?

Spojrzała na niego i przemówiła powoli, jakby z namysłem.

- Wiesz... Angelika miała dziecko.

- Tak. Wyznała, że kiedyś oddała niemowlę do adopcji.

Dziewczyna mówiła cicho, monotonnym tonem:

- I wcale nie ma na imię Angelika.

- Nie?

- Nie zawsze była Angeliką. - Cindy nie mrugała, oczy miała szeroko otwarte i nieruchome. - Kiedyś miała na imię Rachel. Zmieniła imię, gdy zaczęła wróżyć. Pewnie uznała, że „Angelika” brzmi bardziej tajemniczo, magicznie. A może chciała zapomnieć, że kiedyś była Rachel.

Joe milczał. Wrócił myślą do artykułu o utonięciu Bernadety. Jak mógł się nie zorientować? Większość informacji o śmierci tamtej pochodziła od Angeliki i Karen. A gazeta nie podała imion wszystkich dziewcząt, które były wtedy pod Górą Terrela.

- Co wiesz o dziecku? - zapytał.

Na chwilę Cindy zamknęła oczy, ściągnęła usta. Wyglądała tak, jakby przygotowywała się do wyrecytowania wykutej na pamięć przemowy. Spojrzała w dal nad jego ramieniem i zaczęła mówić.

- Kiedyś Rachel, Angelika, miała kochanka. Nikt w mieście nie wie, kto to był. Może jeden z jej klientów. Może przejezdny, który tylko zabawił się w mieście i pojechał dalej. Ale Terrel widziało dowód. Urósł jej brzuch i urodziła w szpitalu. Nie zabrała dziecka do domu. Oddała je do adopcji zaraz po porodzie. Większość ludzi pewnie o tym zapomniała, bo to było dawno. Ja byłam wtedy mała, a może jeszcze się nie urodziłam. Ale przez jakiś czas wszyscy o niej

plotkowali. Nasza wróżka stała się bohaterką skandalu.

Kieran patrzył na ocean zbyt oszołomiony, żeby się odezwać. Przypomniał sobie opowieść Angeliki o gwałcie i morderstwie... W młodości ukryła dziecko przed demonem... Duch zemścił się, czyniąc z niej ofiarę gwałtu i zabójczynię, tego był pewien. Ale co z dzieckiem?

Cindy zadrżała, otworzyła oczy. Były jasne i czujne, jakby właśnie ocknęła się z przyjemnej drzemki.

- Ze wszystkich, które były tu w czasie śmierci Bernadety, tylko dziecko Angeliki nie skoczyło z urwiska, prawda, Joe?

Teraz on pokiwał głową. Nagle wszystko stało się jasne. Nadeszła kolej wróżki. Jej dziecko powinno umrzeć. Chciała ukryć je przed demonem, przed pozostałymi kobietami. Dlatego ją zabrały, bez wątpienia na jego rozkaz. Pewnie będą ją torturować, dopóki nie wyjawi, gdzie znaleźć dziecko. A potem je zabiją.

- Byłeś reporterem w Chicago, prawda? - zapytała Cindy, kładąc rękę na jego ramieniu. - Znasz kogoś, kto mógłby pomóc? Może ktoś pomoże ci znaleźć dziecko, żeby je ostrzec. - Twarz dziewczyny wyrażała głęboką troskę.

Joe pomyślał o znajomych w agencji adopcyjnej. Może mógłby pociągnąć za parę sznurków.

- Rachel Napoli - mruknął. - Dzieci jej koleżanek zmarły po ukończeniu osiemnastego roku życia. O ile chcesz się założyć, że jej dziecko ma około osiemnastu lat?

Na to Cindy tylko uśmiechnęła się melancholijnie i ze znużeniem pokiwała głową.

- To pewny zakład.

- Jutro spróbuję się czegoś dowiedzieć. Może wytropię dzieciaka.

- A teraz co zrobisz? - zapytała z drżeniem w głosie.

Kieran popatrzył na nią, zobaczył w jej oczach ślady łez,

ale także gorące pragnienie. Musiał odnaleźć Angelikę. Kto wie, co mogły jej zrobić. Ale gdzie jej szukać? Z rozdartym sercem myślał, że gdzieś ją torturują. Biją bez litości. Co zrobić? Przed nim stała inna kobieta, która także potrzebowała pomocy. Nie wiedział, gdzie szukać Angeliki, ale wiedział, że może pocieszyć Cindy i bezpiecznie odwieźć ją do domu.

- To zależy od ciebie - odparł. - Co mogę dla ciebie zrobić? Odwieźć cię do domu?

W odpowiedzi wtuliła twarz w jego szyję. Drżący szept musnął jego ucho.

- Zostaniesz ze mną jeszcze przez chwilę?

Mignęła mu przed oczami wizja Angeliki przywiązanej do krzesła w białym pokoju, z tuszem do rzęs zmytym przez łzy na opuchnięte, krwawiące usta. Ale gdzie szukać tego pokoju? Gładka, idealna twarz Cindy błagała go o uwagę. Jej nie musiał szukać.

„Cholera!”

Objął ją, a ona przywarła do niego. Delikatnie przesunął rękę po jej włosach i wzdłuż kręgosłupa, a potem ledwo wierząc, że to robi, wsunął palce pod swobodną koszulkę i potarł jedwabście gładkie plecy. Dziewczyna odsunęła się i pokazała mu, że nie nosi stanika. Po chwili nie miała już także koszulki.

Rozdział IV

Jaskinie były przekorne. Za każdym razem, gdy miał wrażenie, że zaraz wejdzie do wielkiej pieczary, korytarz zwężał się do szczeliny szerokości dziesięciocentówki.

Ken Brownsell oświetlił lampą gładką szarą ścianę i pokręcił głową. Musiał przeoczyć odnogę. Tunel po prostu nie mógł się skończyć w ten sposób. Przeszedł zaledwie sto metrów od miejsca, gdzie tamten cudak dał nura do rzeki. Pokonał tylko parę zakrętów i co? Lita skała. A poza tym, dziwna rzecz, korytarz wcale się nie zwężał jak inne fałszywe tunele. Zamykała go szeroka ściana, jakby ktoś zacementował przejście w obronie przed intruzami. Ken wyjął młotek i zaczął opukiwać skalny mur. Może drogę zamykała tylko cienka przegroda? Może miała dwadzieścia czy pięćdziesiąt centymetrów grubości? Może za nią czekała pieczara, której piękno zaprze mu dech w piersi?

Przyłożył ucho do ściany i stuknął młotkiem. Powoli. Nasłuchiwał, pragnąc usłyszeć głuchy ton. Uderzył znowu kawałeczek dalej. Modlił się, żeby ta trasa miała dalszy ciąg.

Na twarzy poczuł zimno od potu. I strachu. Nie mógł znieść myśli, że przegrał. Nie. Nie wierzył! Korytarz był zbyt szeroki. Zbyt obiecujący. Grota Brownsella znajdowała się na wyciągnięcie ręki.

Stukał, za każdym razem nad słuchując i oceniając brzmienie.

Zaraz, zaraz...

Czyżby głuchy odgłos? Puknął mocniej, przycisnął ucho do chłodnego wapienia. Uderzył znowu.

I jeszcze raz.

A potem napłynęła odpowiedź. Powolny, przeciągły jęk budzący echa w korytarzu. Jakby ziemia stęknęła niczym

mityczny lodowy olbrzym, który w czasie snu usiłuje przewrócić się na drugi bok. Lita skała przed nim zadrżała.

I pękła.

- Cholera!

Podłoże zadygotało. Zanim Ken zdążył podnieść się z klęczek, ściana przed nim runęła. Oparty o nią walił młotkiem i teraz, gdy ustąpiła, poleciał za nią. Ale nie walnął całym ciałem na podłoże, jak oczekiwał. Szybował, ściskając w rękę kawałek zimnego kamienia ze ściany, która rozprysła się niczym szklana tafla.

- Kuuurwaaa!!! - zawył, a potem mocno w coś uderzył. Przerażliwy ból przeszył mu ramię, gdy odbił się od skalnej półki, i znowu spadał, ale tylko chwilę. Lodowate zimno zgasiło ogień w ramieniu. Wpadł do rzeki, do tej samej rzeki, w której Joe Kieran pływał kilka dni wcześniej. Tylko że teraz nikt nie czekał z pomocą.

- *Zastanawiałem się, kiedy w końcu tu trafisz.* - W głosie, który usłyszał Ken, pobrzmiwała złośliwa uciecha.

Potem wessał go prąd, a kiedy otworzył usta, żeby zaczerpnąć powietrza, lodowata woda wlała mu się do nosa i płuc. Brownsella spowiła ciemność.

Rozdział V

Joe wśliznął się bocznymi drzwiami do redakcji i minął „kostnicę” w drodze do działu informacyjnego. Błądził myślami milion kilometrów od artykułu o radzie miejskiej i sprzedaży ciast na kiermaszu dobroczynnym. Niemal wpadł na George’a, który zmywał korytarz.

- Uważaj, synu - zarechotał stary dozorca, podnosząc rękę, żeby ochronić się przed zderzeniem. - Jak nie będziesz patrzył dokąd idziesz, nigdy nie dotrzesz do celu!

Joe wesoło poklepał go po ramieniu.

- Przepraszam, mam mnóstwo spraw na głowie.

George zmrużył oko i popatrzył krytycznie na reportera. Obejrzał się, zerknął nad jego ramieniem i dopiero wtedy spytał cicho:

- Trzymałeś się z daleka od tej, o której rozmawialiśmy?

Kieran pokręcił głową.

- Nie mogłem, a teraz...

- Chodź - polecił dozorca i pociągnął go za łokieć.

Weszli do stróżówki. George zamknął drzwi i ruchem ręki dał znać, żeby Joe usiadł na łóżku. Sam przycupnął na plastikowym baniaku.

- No to mów, w co się wpakowałeś.

- Chciałem tylko napisać prawdziwy artykuł o samobójstwach. Skorzystałem z twojej rady i odwiedziłem Angelikę, ale w zasadzie mi nie pomogła, przynajmniej nie od razu.

Opowiedział o liście z pogrozkami, potem o spotkaniu z Cindy. Kiedy powtórzył zasłyszaną od niej miejską legendę o zniknięciu Johna Ryana, stróż pokiwał głową, jakby znał ją dobrze.

- Nie wierzyłem w ani jedno słowo - mówił Joe - dopóki

nie zszedłem z pewną grupą do jaskiń u stóp Góry Terrela.

George uniósł brwi, ale wciąż milczał.

- Wszystko było dobrze, dopóki nie wpadłem do podziemnej rzeki. Wtedy go usłyszałem.

Dozorca zrobił wielkie oczy.

- Go?

- Diabła, ducha, cokolwiek jest w tym urwisku. Bo coś tam jest, George, teraz wiem.

Stróż podszedł do drzwi. Kiedy się odwrócił, Kieran zobaczył, że drży mu lewa ręka. Stary oparł ją na regale ze środkami czyszczącymi.

- Przemówił do ciebie - pokręcił głową dozorca.

- To jeszcze nie wszystko. - Joe powiedział, co się stało wczoraj w domu Angeliki.

- Ostrzegalem, żebyś nie ruszał tej sprawy - westchnął George, kiedy reporter skończył.

- Za późno. - Kieran wzruszył ramionami. - Muszę dowiedzieć się czegoś więcej. Muszę pomóc Angelice, ale nie wiem, od czego zacząć. Skąd to coś się wzięło w Terrel? Jak mam z tym walczyć, jeśli dojdzie co do czego?

Staruszek jakby się skurczył i podszedł do niego.

- Z nim nie można walczyć - szepnął. - Możesz tylko schodzić mu z oczu i mieć nadzieję, że cię nie przyuważy. Nie spisałeś się, Joe.

- Racja.

- Nie znam nikogo, kto mógłby powiedzieć ci więcej niż Angelika. - George potarł brodę. - Jak już mówiłem, czasami lepiej nie wiedzieć o pewnych rzeczach. Domyślam się, że jako reporter nie to chciałeś usłyszeć.

- Ale ja muszę wiedzieć więcej. Angelika jest w niebezpieczeństwie, nie mogę jej zostawić.

Powoli kiwając głową, dozorca minął Kierana i wszedł w

głęb długiego pomieszczenia. Ze stalowej wykrzywionej półki ściągnął pudełko po butach. Wyjął jakąś książeczkę i podał ją Joemu.

- Nie jesteś jedyną osobą w mieście, którą zaniepokoiły samobójstwa nastolatków. Parę lat temu, gdy zaczęli skakać, i to nie w wigilię Wszystkich Świętych, sam czytałem trochę na ten temat.

Joe wziął cienki tomik i przeczytał drobne białe litery na brązowym grzbiecie: „Czary, demonologia i opętanie”. Bez nazwiska autora.

- To nie dotyczy Terrel ani naszych problemów - dodał George - ale zawiera parę ciekawych uwag o demonach i tym podobnych. Nie wiem, co zrobisz z tą wiedzą, ale jeśli chcesz, możesz z niej skorzystać.

Kieran pokiwał głową, wertując książkę. Była cienka, ale napisana drobnym drukiem, bez żadnych wykresów czy zdjęć.

- Dzięki. Rzucę okiem. - Wstał. - Lepiej pójdę do pracy. Randy dostanie szau, jak się spóźnię.

Stary pokiwał głową. Z troskanie nie znikło z jego pomarszczonej twarzy.

- Joe - powiedział, gdy reporter otworzył drzwi - nie powiem ci, że masz dać spokój, ale bądź ostrożny.

Obracając książkę w rękach, Kieran szedł do swojego biurka. Wciąż czuł się głupio, przyznając choćby przed sobą, że to może być prawda. Był rozdarty na dwoje. Jedna część zaprzeczała, że słyszał głos w jaskiniach. Druga część paliła się do przeczytania książki. Potrzebował informacji, wszelkich informacji o istocie, która mogła stać za tym wszystkim. Musiał wiedzieć, co zrobić, żeby nie zostać marionetką w rękach demona jak kiedyś Angelika.

Wsunął książkę do plecaka i usiadł, żeby zabrać się do pracy. Ledwo zaczął pisać, gdy usłyszał swoje imię.

- Joe! - zawołał Randy z drugiej strony redakcji. - Możesz przyjść do mnie na chwilę?

To nie wróżyło niczego dobrego. Szef zapraszał do siebie tylko wtedy, gdy chciał kogoś zrużać. Wszystkie inne rozmowy odbywały się w pokoju redakcyjnym. Do licha, rzadko kiedy były tam trzy osoby naraz.

Kieran wyprężył ramiona i wszedł do biura Randy'ego. Było tak ciasne, że bardziej przypominało schowek na szczotki, no ale każdy szef musi mieć choć kawałek miejsca na opieprzanie pracowników. Ciekawe, co tym razem Joe schrzanił.

Skończył już głupi artykuł o bibliotece, a napisanie notki o zebraniu rady miejskiej jak zwykle nie wymagało myślenia. Nie znaczy to, że radni nie mieli nic do roboty w takiej sennej miejscinie jak Terrel. Ale na pewno nie tracili czasu na rozmowy o ludziach, którzy od czasu do czasu skakali z tutejszego punktu widokowego.

- O co biega, Randy? - zapytał nonszalancko, gdy wszedł pomiędzy sterty pożółkłego papieru spiętrzone po obu stronach futryny.

Redaktor nawet się nie uśmiechnął.

- Zamknij drzwi.

Joe zagryzł zęby. Zdecydowanie nie zanosilo się na przyjacielską pogawędkę.

Randy wszedł za stalowe biurko. Zazgrzytały nienaoliwione kółka, gdy przesunął sfatygowany skórzany fotel. Usiadł ciężko i przez chwilę patrzył na swojego jedyne go pełnoetatowego reportera. Miał taką minę, jaką więzienny strażnik rezerwuje dla więźnia, który wszczął bijatykę. Na pewno nie była to duma.

- Mówiłem ci Joe, żebyś odpuścił sobie ten artykuł o samobójstwach.

Kieran pokiwał głową.

- Nie zrobiłeś tego - stwierdził jego szef.

- Nie napisałem niczego więcej. - Joe zrobił unik, zastanawiając się, skąd redaktor wie, że nie zarzucił tematu. Podśluchiwał pod kanciapą stróża? Bo przecież George po jego wyjściu nie pobiegł na skargę. Nie po tym, jak dał mu tę książkę.

- Możliwe - mówił Randy - ale kręcisz się po mieście i zadajesz mnóstwo pytań. Pytań, które ranią miejscową społeczność. Szkodzisz reputacji „Terrel Times”, Joe. Ta gazeta nie jest brukowcem w rodzaju „National Enquirer”. My nie rozdrapujemy ran. Dzieciak Canadych nie żyje. Podobnie jak dzieciak Sanderów i O’Gradych. Posłuchaj mnie uważnie Joe, bo drugi raz tego nie powiem.

Redaktor pochylił się i popatrzył na niego twardo.

- Zostaw ich, niech spoczywają w pokoju. Rozumiesz? - Pytając uniósł kosmate gąsienice brwi.

Joe znów pokiwał głową.

- To dobrze. Teraz daj mi coś, co naprawdę mogę zamieścić w jutrzejszym numerze.

Randy odwrócił się do monitora. Zaczął pisać, jakby Kieran już wyszedł.

W drodze do swojego biurka Joe próbował dociec, kto go wystawił. Nie ośmielił się spytać szefa. Kto zadzwonił do gazety ze skargą? Rhonda? Karen?

Angelika... a może raczej powinien powiedzieć: Rachel? Uśmiechnął się na myśl o tym nowym-starym imieniu. Było bardzo biblijne. Cindy uznała, że brzmiało za mało tajemniczo, jednak według niego doskonale pasowało do wrózki.

A może chodziło bardziej o to drugie - Angelika zmieniła imię, bo chciała uciec od osoby, jaką była Rachel? Nie uciekła jednak przed konsekwencjami.

Obojętnie kto się poskarżył, nie mógł wybrać gorszego momentu. Właśnie teraz, gdy Joe musiał kopać jeszcze głębiej... Musiał ubiec kobiety i pierwszy odnaleźć dziecko Angeliki. Nie wiedział, gdzie szukać samej wróżki, ale mógł pociągnąć za parę sznurków, żeby ochronić jej dziecko. To miało oznaczać przeprowadzenie kilku rozmów międzymiastowych. I wycieczkę do stanowego urzędu stanu cywilnego. Musiał poznać datę urodzenia i nazwę szpitala, zanim zadzwoni do Chicago.

Spisał numer i adres urzędu z książki telefonicznej, schował kartkę do kieszeni. Postanowił najpierw zadzwonić pod inny numer.

Do Angeliki.

Nie zdziwił się, gdy nikt nie odebrał.

Odłożył słuchawkę i usiadł wygodniej. Musiał załatwić parę spraw, zanim poświęci więcej czasu swojemu ryzykownemu planowi. W wyobraźni zobaczył wściekłą minę Randy'ego. Jeśli się nie przyłoży, straci robotę.

Ale patrząc w zakurzony ekran starego komputera, myślał tylko o zeszłej nocy. O żółtej kartce z imieniem „Bernadeta” wypisanym - tak, teraz był tego pewien coraz bardziej - tym samym charakterem, co ostrzeżenie znalezione pod drzwiami. O ciepłych ustach i czułych ramionach Cindy, gdy tuliła się do niego namiętnie w nocnym powietrzu nad oceanem.

Oplotła go niczym winorośl, jej gładkie ciało wyrażało pragnienie tak wielkie, że nie był pewien, czy zdoła je zaspokoić. Wydawała się wygłodniała. W jej oczach lśniło światło gwiazd, gdy całował jej szyję, piersi, podbródek.

- Kocham cię - szepnął po jakimś czasie.

- Tak... - westchnęła i położyła się na nim.

Joe otrząsnął się ze snów na jawie. Zeszłej nocy na Górze Terrela znalazł kogoś wyjątkowego, ale nie była to kobieta, której szukał. Tymczasem Angelika mogła być w wielkim niebezpieczeństwie. W drodze do pracy wstąpił do jej domu. Nie wróciła. Nie odbierała telefonu. Dokąd ją zabrały? Co jej zrobiły?

I co się stanie, jeśli te wiedźmy pierwsze znajdą jej dziecko?

Pragnąc jak najszybciej odwalić zadaną robotę, otworzył nowy plik i zaczął pisać. Chciał zdążyć do urzędu stanu cywilnego przed siedemnastą.

Rozdział VI

Angelika podskakiwała na stalowej podłodze furgonetki, która skróttem od Main Street wyjeżdżała z miasta. Wiedziała, dokąd jadą i w żaden sposób nie mogła temu zapobiec. Rhonda i Monika związały jej ręce za plecami, gdy tylko wsiadły do wozu. Walczyła, ale nie mogła nic zrobić znacznie silniejszej Rhondzie Canady, która na domiar złego miała charakter wrednej suki. Zawsze tlił się w niej zajadły ogień, którego lepiej było nie podsycać. Muskularne ręce Rhondy ścisnęły ramiona Angeliki jak kleszcze. Wróżka zdołała tylko uderzyć ją w twarz i w nagrodę usłyszała głośny jęk.

Zaraz potem krzyknęła, bo Rhonda ugryzła ją w ramię i wybuchła śmiechem.

Czy ta suka skaleczyła ją zębami do krwi?

Przez okno z tyłu niewiele było widać, ale Angelika czuła, jak z każdą chwilą jest coraz bliżej Niego.

Furgonetka podskoczyła, przechyliła się, zakołysała. Tył zarzucił, ale zaraz potem wyrównał. Dotarli na plażę.

Przez kilka minut słyszała tylko wytężone wycie silnika i chrzęst piasku pod kołami. Potem furgonetka zatrzymała się z poślizgiem. Karen zgasiła światła, na moment zapadła cisza.

Rhonda otworzyła boczne drzwi i wyciągnęła ręce.

- Idziemy - warknęła i poderwała Angelikę z podłogi, a Monika i Karen Sander złapały ją za ramiona i wywlokły na piasek.

Szły najpierw przez ciemną, rozkołysaną trawę w pobliżu rumowiska wielkich głazów, a potem wzdłuż skraju wody. Angelika natychmiast rozpoznała to miejsce. Tutaj, w zatoczce pod urwiskiem, pewnego upalnego dnia w 1981 pływało sześć dziewcząt.

A potem zostało ich pięć.

Urwisko nad nimi zdawało się sięgać księżycy. Choć przysłaniało znaczną część nieba, u jego stóp wciąż było na tyle jasno, że bez większego trudu znajdowały drogę. Szły skalistym brzegiem ku jaskini dostępnej tylko w czasie odpływu.

Wszystkie kiedyś tam były.

Na drodze, która wznosiła się coraz wyżej nad nimi, Angelika nagle dostrzegła samochód. Śledziła wzrokiem bladą aureolę blasku sunącą ku szczytowi. Potem światła zgasły.

Ktoś zaparkował na górze. „Pewnie dzieciaki z liceum obściskujące się na tylnym siedzeniu” - pomyślała, gdy brnęły po plaży. Idealne miejsce do pieszczoł, jeśli ktoś nie przejmował się historią urwiska. Może powinna teraz krzyknąć, zawołać pomocy, ale jej głos i tak by utonął w szumie fal. Gdyby jednak zdołała uciec, dotrzeć do ścieżki na górę...

Rhonda uderzyła ją w plecy, popychając do przodu. Angelika skorzystała z okazji. Udała, że się potknęła, wpadła na dwójkę kobiet idących z przodu. Karen straciła równowagę, poleciała na ręce i kolana. Potem obie się odwróciły i spojrzały krzywo na Canady.

- Uspokój się, Rhon - pisnęła Monika.

- To tylko przedsmak tego, co ją czeka.

Przez chwilę nie zwracały uwagi na Angelikę.

Wtedy ta przemknęła pod wyciągniętą ręką Rhondy i pobiegła w stronę furgonetki. Żwirowa ścieżka wyraźnie odznaczała się wśród trawy.

Miała przewagę zaskoczenia, ale spowalniały ją skrzepowane ręce. Pośliznęła się na miękkim piasku, już myślała, że zaryje głową w ziemię. Ale biegła zdecydowana

dotrzeć do drogi i zawołać na pomoc tego, kto zatrzymał się na urwisku. Musiała wspiać się wyżej, żeby ją usłyszał.

Minęła furgonetkę. Jej krok się wydłużył, bieg bez wymachiwania rękami już nie był taki trudny. Uda się!

Postawiła jedną stopę na śliskiej stromiźnie, potem drugą. Pokonała nawis i znalazła się na drodze, która wiodła do Terrel albo w górę, na szczyt urwiska.

A potem coś ciężkiego uderzyło ją w głowę. Upadła.

Podłoże pod jej rękami było zimne i wilgotne.

Z daleka płynęły głosy. Rozmawiały o niej.

- Jezu, Rhonda, musiałaś ją walnąć tak mocno? - zapytał ktoś cicho.

Odpowiedź była głośna, wyraźna:

- Tak. Co zrobimy, jeśli się nie ocknie?

- Ocknie się - zapewnił trzeci głos.

Angelika poczuła na twarzy zimne, słone krople. Woda przez nos spłynęła jej do gardła. Zakaszła. Otworzyła oczy, próbując złapać oddech, wypluwając z ust krew, sól i piasek z plaży.

- Mówiłam. - Canady wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu. Klęczała, trzymając w rękach skręconą flanelową koszulę. Skręciła ją jeszcze mocniej i parę kropel wody spadło na twarz Angeliki.

Wróżka pokręciła głową i przewróciła się na bok. Zobaczyła przed sobą kolana pozostałej dwójki.

- Powiesz nam coś więcej o Andi? - zapytała Karen. W jej głosie pobrzmiwał smutek. Angelika wyczytała z jej oczu, że nie chciała tego robić. Ale Rhonda...

- Mówiłam wam, nie mogę, nawet gdybym chciała.

- W porządku. - Sander poddała się z westchnieniem. - Wrócimy jutro.

- Z przyjemnością zostałybyśmy na pogawędkę o starych dobrych czasach - wtrąciła z uśmiechem gruba Canady - ale zbliża się przyptyw. Ocean niebawem odetnie jaskinię. Idealna klatka dla naszej małej Rachel. Ale nie martw się, nie będziesz zupełnie sama. On dotrzyma ci towarzystwa.

- Chodźcie, wynośmy się stąd - ponagliła Karen. - Dość zrobiliśmy.

Trzy kobiety wstały i jedna za drugą opuściły skalną komorę.

- Czy woda zaleje pieczarę? - zapytała Monika, gdy znalazły się w korytarzu prowadzącym do wyjścia.

- Nie wiem - odparła Sander z rezygnacją. - Mam nadzieję, że tak. Dla jej dobra.

Angelika wiała się i wykręcała, ale osiągnęła tylko tyle, że ziarenka piasku wpadły pod ubranie i w majtki. Teraz było jeszcze gorzej.

Przyprowadziły ją tutaj po tych wszystkich latach. Do sanktuarium.

Do miejsca, w którym zawarły Przymierze.

W grocie paliła się świeczka wetknięta w skalną szczelinę. Płomyk migotał, dziwne cienie tańczyły po ścianie, długie palce światła pełzały po stropie. Angelika niemalże widziała Jego sylwetkę. Przyjdzie po nią, to pewne. Gdyby był człowiekiem, wiedziałaby, co z nią zrobi, zanim zabije. Machinalnie ścisnęła kolana, choć nie to ją w tej chwili martwiło. On nie był człowiekiem, nie mógł wyrządzić jej fizycznej krzywdy.

Nie.

Mógł zgwałcić ją znacznie gorzej. Zgwałcić psychicznie. Narzucić pragnienia. Zmusić do robienia różnych rzeczy. Zmusić do wyrzeczenia się przyszłości...

Znów była osiemnastolatką i miała na imię Rachel.

- Rhonda, chodź na tę skałę! - zawołała, odpychając fale splecionymi palcami. Uwielbiała patrzeć, jak grzywacz łamie się na jej rękach, wzbiera i bryzga na nią kropelkami wody. Mama ostrzegała ją przed połykaniem morskiej piany: „Złapiesz Bóg wie jakie paskudztwo!”. Ale Rachel nie przejmowała się ostrzeżeniami. Z uśmiechem zlizwała krople z ust. W język zapiekła ją sól, oleista esencja życia. Mocno słonego życia. Łzy w kielichu. Pot oceanu. Woda była jej żywiołem, czuła się w niej jak w łonie matki. Ilekroć mogła, sprowadzała tu koleżanki.

- Naprawdę muszę już wracać - powiedziała Rhonda tym znajomym tonem, który oznajmiał: „Koniec zabawy”. Dla Rachel ocean był filmem dokumentalnym o istocie życia, dla jej koleżanek krótkim komediowym serialem. Wskoczyć, pochłapać się i zaraz wyjść. A Rachel chciała poczuć ocean w duszy. Też się bawiła, ale pozostałe dziewczyny nigdy nie zrozumiały, że chodziło o coś znacznie więcej. Siedząc na skałach pośrodku zatoki, widziała dalekie miejsca. Niekiedy myślała, że całe miasto jest tylko pomostem, z którego człowiek może skoczyć do wody, jeśli ma dość odwagi. Jeśli chce zobaczyć, co skrywają ciemne, pędzące fale. „Tam jest rzeczywistość - myślała. - Tam zaczęło się życie”.

Rachel miała nadzieję, że może choć musnęła powierzchnię tych tajemnych pierwotnych głębi, jeśli nawet nie zdołała w nich zanurkować. Jej koleżanek nie interesowało nic więcej jak krótki spacer po pomoście, a potem powrót. Tak właśnie jak przed chwilą chciała Rhonda.

- Robi się późno - dodała Karen, która we wszystkim jej słuchała. Zresztą Melody, Monika i Bernadeta też.

- Jeszcze jedna rundka? - spróbowała Rachel, spoglądając

na Karen. Piegi na jej twarzy były wyraźne w gasnącym świetle dnia. Nigdy się nie opalała, na słońcu wręcz bladła jeszcze bardziej. Jej włosy zwisały w długim warkoczu, naturalny pomarańczowy ogień zmatowiał w mokry brąz.

Rhonda przewróciła oczami.

- Chodźcie, to nie potrwa długo - powiedziała Bernadeta, choć raz stając po stronie Rachel. Ta podziękowała jej uśmiechem. Wskoczyła do szmaragdowej wody i popłynęła w kierunku urwiska. Tam, gdzie ściany niczym pylony wyrastały z wody, było najwięcej muszelek, a głązy zatrzymywały to, co przyływ wyniósł z głębin oceanu.

Plusk wody powiedział dziewczynie, że koleżanki płyną za nią. Już spiętrzyły na brzegu kopiec morskich skarbów, ale jedna rundka więcej nie zaszkodzi. Kto wie, może znajdą coś fajnego z jakiegoś statku. Wcześniej przyniosły długi kawałek włókna szklanego, który zdaniem Rachel musiał pochodzić z samolotu.

- Może pomiędzy skałami tkwi ciało pilota - zasugerowała Rhonda. - Może następnym razem znajdziemy jego czaszkę.

Karen ochlapała jej twarz i przez jakiś czas wygłupiały się przy brzegu. Ale słońce już wkrótce miało zachodzić. Naprawdę czas wracać do domu. A w ich domach spóźnienie się na kolację było poważnym przestępstwem.

Tylko że Rachel nie chciała wracać. Gotowa była skorzystać z każdego pretekstu, byle odwlec tę torturę...

- Do jutra odpływ morza wszystko zabierze! - zawołała przez ramię. Nie musiała długo zachęcać koleżanek.

Rachel dotarła do miejsca, w którym znalazły długi kawałek włókna szklanego.

- Zacznijmy tutaj. Cokolwiek znajdziecie, kładźcie na tej skale, dobrze?

Dziewczyny pokiwały głowami i rozproszyły się wśród

głazów, oddychając głęboko i wsuwając głowy pod wodę, żeby zbadać mroczne dno.

To Bernadeta znalazła jaskinię. Oddaliła się od grupy, która szukała szczątków wraku. Być może zatonał wiele mil dalej, a przypyływ przyniósł go aż tutaj. Na przestrzeni lat w Zatoce Terrel nagromadziło się wiele dziwnych rzeczy. Zabójcze prądy były otoczone legendą na tym wybrzeżu.

- Hej, dziewczyny! Tutaj. - Bernadeta wskazała szeroką na kilka kroków łatę piasku pomiędzy podstawą urwiska a kamienistym dnem. - Czy to wejście?

- Możliwe. - Melody pokiwała głową. - Sprawdźmy.

Wyszły na plażę, otrząsając się i wyciskając wodę z włosów. Podeszły do niewielkiego otworu w skale. Miał niespełna metr szerokości. Rachel wsunęła głowę do środka.

Gdy zagwizdała, usłyszały echo biegnące kilometrami.

- Rozszerza się - powiedziała, wyciągając głowę. - Wygląda na wielką jaskinię.

- Jak to się stało, że nie znalazłyśmy jej wcześniej? - zapytała Bernadeta, mrużąc ze zdziwienia migdałowe oczy.

- Pewnie przez większość czasu jest pod wodą - odparła Karen. - Patrzcie, jak blisko sięgają fale.

- Zajrzymy?

Rachel wiedziała, że gdyby to ona zapytała, spotkałaby się z odmową. „Absolutnie nie. Pora wracać”. Ponieważ propozycja padła z ust Bernadety, Rhonda odwróciła się i pobiegła po plażę.

- Mam latarkę przy rowerze - zawołała przez ramię.

Dziesięć minut później sześć maturzystek weszło na palcach w głąb Góry Terrela. Gładka skalna ścieżka biegła coraz wyżej, coraz dalej w trzewia góry.

- Nie za daleko, żeby się nie zgubić - ostrzegła Rachel.

Rhonda ją uciszyła.

- Patrz pod nogi, żeby nie zdeptać jakichś stworów z czarnej laguny. Prosta droga tam, prosta droga z powrotem. Wszystko będzie dobrze.

Szły jedna za drugą po łagodnej pochyłości. Ścieżka zaprowadziła je do pieczary.

Nagle Bernadeta wrzasnęła.

Spojrzały na nią przestraszone. Ich koleżanka pobiegła w mrok groty.

- Bernadeta, zaczekaj! - zawołała Rachel i wszystkie popędziły za nią.

Rhonda oświetliła wnętrze. Zobaczyły szare ściany, lecz ani śladu dziewczyny.

- Bernie, co ty wyprawiasz?! - wrzasnęła Rhonda. Zaraz potem ujrzały ją w stożku światła skuloną pod najdalszą ścianą. Kręciła głową, jakby czegoś wypatrywała. Jej oczy w blasku latarki wydawały się dwa razy większe niż zwykle.

- Słyszałyście Go? - szepnęła, gdy zatrzymały się przy niej.

- Kogo? - zapytała przywódczyni ich paczki.

- Powiedział... powiedział, że na nas czekał.

- Przestań chrzanić, Bernie - warknęła Rhonda. Gdy była rozdrażniona, zawsze ją tak nazywała. - Wracajmy do domu.

- Słyszałam męski głos - oznajmiła Bernadeta, ale dziewczyny ją wyśmiały.

- Pewnie ducha pirata - prychnęła Rhonda. - Próbuje nas powstrzymać od dobrania się do jego złota. A może to ten pilot z rozbitego samolotu.

- Patrzcie, co to? - zawołała Rachel. - Zaświeć tutaj.

Stała parę kroków dalej, a u jej stóp coś migotało. Rhonda podeszła z latarką i wszystkie zobaczyły skarb lśniący w żółtym świetle.

Skrzynka nie większa niż pudełko cygar. Wieczko

zmatowiało, szerniało i zzieleniało w morskim powietrzu, ale gdzieniegdzie połyskiwało srebrem.

- Otwórz! - pisnęła z podnieceniem Monika.

- Nie! - krzyknęła Bernadeta.

Rachel nie posłuchała. Nie zwracając uwagi na koleżankę, spróbowała podważyć prosty metalowy zatrask. Wreszcie wieczko odskoczyło. Zaskoczona dziewczyna straciła równowagę i klapnęła na tyłek. Zawartość pudełka rozsypała się po piasku.

Była to dziwna kolekcja.

Cienki pędzelek z drewnianą rączką pokrytą ciemnymi plamami. Laseczka węgla rysunkowego. Oprawiona w skórę książeczka. Wisiorek w kształcie dwóch rogatych, kopulujących postaci. I pęknięty, pożółkły klawisz fortepianu.

Dziewczęta pisnęły z zachwytu. Znalazły skarb! Gdy całe lata temu, jeszcze przed liceum, zaczynały się w to bawić, naprawdę wierzyły, że coś kiedyś znajdą. Nieraz dostawały gęziej skórki i siniąły z zimna, ale wcale im to nie przeszkadzało. Teraz szukanie skarbów było raczej zetląłą tradycją, która kiedyś cementowała ich przyjaźń.

I właśnie teraz w końcu znalazły skarb! A przynajmniej pudełko ze starymi rupieciami.

- Patrzcie na to - powiedziała Rachel, otwierając książkę. - Jak myślicie, do kogo należała?

- Kto wie? - mruknęła Melody. - To dziennik?

Gdy przekazywały sobie znalezione w pudełku rzeczy, wszystkie usłyszały głos, który wcześniej zbił z nóg Bernadetę.

- *Cieszę się, że przyszyście.*

Dziewczęta patrzyły jedna na drugą, jakby pytając: „Czy ty też słyszałaś?”

- *Minął długi czas, odkąd cieszyłem się towarzystwem młodych kobiet!* - Głos brzmiał entuzjastycznie. - *Nie bójcie się, proszę. Weźcie z pudełka, co chcecie. Każdy przedmiot zapewni wam coś wyjątkowego.*

- Czy jesteś... dziewczyną? - szepnęła z drżeniem Bernadeta, wodząc wzrokiem po ciemnych ścianach jaskini. Zabrzmiało to idiotycznie, jakby cofnęły się w czasie do dzieciństwa. Nikogo prócz nich tu nie było. Nic się nie poruszyło. Jednak jakoś żadnej nie przyszło do głowy wyśmiać pytanie koleżanki.

- *W pewnym sensie. Ale nie spełniam życzeń za darmo.*

Rachel odruchowo założyła erotyczny wisiołek na szyję, gładząc rogi na głowach postaci. Karen bawiła się pędzlem, kreśląc w piasku długie zakrzywione linie. Inne dziewczyny też przeszukiwały pudełko.

Usłyszały śmiech.

- *Tak, czekałem bardzo długi czas.*

Ciepło i mrowienie, które poczuła Rachel, sprawiło, że świat wydawał się przepiękny. Jakby na początku piwnej imprezy. Po godzinach spędzonych w wodzie wrażenie było miłe, ale szybko stało się nieprzyjemne, piekące jak oparzenie słoneczne. Gorąco, dziwne gorąco. I podniecenie. Pożądanie. Rachel popatrzyła na splecione figurki naszyjnika i oblizwała usta spragniona. Tego pragnienia nie ugasi wodą.

Boże! Przesunęła spojrzenie z piersi na brzuch, potem jeszcze niżej, potarła palcami skórę przy majteczkach bikini i nagle zrozumiała, czym jest to gorąco. Chciała się pieprzyć!

- Co...? - zaczęła mówić, a potem przez mgłę w oczach zobaczyła, że jej koleżanki muszą odczuwać to samo. Posapywały dziwnie, ich wzrok stał się szklisty, gdy pocierały się palcami, z początku dyskretnie, potem już na całego. Rhonda oblizwała górną wargę, gdy jej ręka znikła pod

stanikiem. Karen siedziała oparta o ścianę, rysując paznokciami czerwone pręgi po białej skórze wnętrza ud.

Rhonda przestała masować sutki, które zwisły nieprzyzwoicie, gdy się pochyliła. Ściągnęła majtki, odsłaniając czarne kędziory. Nawet spokojna, nieśmiała Monika wsunęła rękę pomiędzy nogi. Rachel patrzyła, jak jej palce kulą się i prostują rytmicznie pod napiętym materiałem. Nie dbała, że masturbuje się przy koleżankach. Zawsze były bliskimi przyjaciółkami... ale nie aż tak bliskimi.

- *Od dawna nie widziałem zabawiających się kobiet. Pokażcie mi dziewczęta, co potrafiacie.*

Rhonda krokiem zombi ruszyła ku Bernadecie. Jedną rękę wplotła w ciemne włosy u zwieńczenia ud. Drugą podtrzymała młode, ale już ciężkie i mięsiste piersi, szczypiąc palcami sterczącą brązową brodawkę. Pojękiwała, nie kryjąc swoich zamiarów. Drobniejsza dziewczyna cofnęła się pod ścianę i patrzyła na koleżanki jak na przybyszów z kosmosu. Tylko na nią nie wpłynął dziwny erotyczny żar, który odebrał im wolę.

- Nie! - wrzasnęła, gdy Rhonda przycisnęła usta do jej ust.
- Nie, nie, nie! - Rzuciła się do ucieczki.

- *Nie powiedziałem, że możesz odejść.* - Wszystkie usłyszały zwodniczo łagodny głos. Ale Bernadeta nie zawróciła z drogi wiodącej nad ocean.

Po chwili przed jaskinią rozległ się krótki krzyk. Nie zwróciły na to uwagi. Rozkoszowały się słodkim wrażeniem, które przytępiało zmysły. Erotyczny żar omywał ich kończyny, tętnił w udach, spływał niczym gorący miód do gardeł. Pływały i tonały zalewane piżmowym zapachem żaru. Zapamiętały się zauroczone. Spijały żar jak mleko matki, nie mogły się nim nasycić, nie miały dość jego smaku. Dotykały siebie i pragnęły dotykać przyjaciółek. Kolorowe trójkąty

kostiumów leżały na ziemi, a one podeszły do siebie bardzo blisko. Po chwili wszystkie leżały już na piasku, szukając się językami, ssąc i pocierając. Bez wahania czy wstydu, szeroko rozkładając ręce i nogi. Całowały się w ślepym zapamiętaniu - usta szukały ust, ręce sięgały w dół, palce wnikały do środka.

Nie uspokoiły się nawet wtedy, gdy Bernadeta wróciła i stanęła wśród nich. Była naga, kropelki wody pokrywały jej drobne, blade piersi. Wokół jej stóp utworzyła się kałuża zimnej morskiej wody, krople ściekały po smukłych udach, błyszczały w kędzierzawym gąszczu włosów łonowych. Dziewczęta utworzyły krąg wokół niej, wijąc się i jęcząc. Duszny zmysłowy opar seksu walczył z chłodnym technieniem przyływu płynącym z ciała Bernadety. Żadna nie zwróciła uwagi na ciemne, ciężkie krople krwi spływające z głębokiej rany, która biegła od lewego oka przez czoło i znikła w mokrych włosach.

Rachel później przypomniała sobie, że ssaly tę ranę. Dziwnie nieprzytomne oczy Bernadety obróciły się, a z jej dziewczęcej piersi popłynął niski śmiech. Wraz ze śmiechem z ust trysnęła woda, chłodząc jęczące dziewczyny. Przynęły się jeszcze bardziej, pragnąc, by chłodna wilgoć ugasiła szalejący w nich ogień. Ocean studził rumieńce na ich skórze, lecz szybko parował w żarze, który niemal roztopiał im kości.

Rhonda zlizwała kropelki z piersi Melody, a potem połaskotała Bernadetę pod pachami. Z rozwartych ust popłynął głębszy, dłuższy śmiech, a z nim gęstsza, jakby bardziej brudna struga krwi. Nie dbały o nic. Bernadeta była ich źródłem.

Większość rzeczy, które Rachel zapamiętała z tego popołudnia, budziła rozkosz. Splątane włosy i ręce, nagie

piersi i piźmowa, nienasycona żądza. Nieprzyzwoita, zła, cudowna godzina dotykania, ssania, odgrywania kochanka i kochania się ze wszystkimi. Nie zważały na nic. Nie istniały żadne granice. To była ekstaza.

Niespodziewanie, równie szybko, jak się zaczęła, dziwna, karykaturalna orgia dobiegła końca.

Smak miodu w ustach szybko ustąpił gorzkiemu osadowi żelaza i soli.

W oczach im pojaśniało.

Rachel oderwała wargi od stwardniałych, jędrnych piersi Moniki i podniosła oczy. Napotkała równie przerażone spojrzenie.

Karen wysunęła się spomiędzy Melody i Rhondy, wypluła smak ich orgazmu, nieudolnie zasłaniając podniesionym kostiumem własne wilgotne podbrzusze. Oczy miała dzikie ze strachu, zupełnie nie rozumiała, co się stało.

A Bernadeta znów stanęła w kręgu i uśmiechnęła się obłąkańczo. Jej piersi, brzuch i jasne, krótkie włosy łonowe pokrywała skrzepnięta krew. Ta sama krew skrzepła na ciałach dziewcząt.

Melody przeciągnęła ręką po twarzy i przez długie sekundy patrzyła na palce pokryte stygnącą czerwienią. Zadrżały jej usta. Popłynął z nich straszny jęk przerażenia.

- To było zabawne - powiedziała Bernadeta.

Ale nie swoim głosem. Ten był niższy, bardziej chrapliwy, jakby zanieczyszczony żyłkami i żwirem. Oczy też były jakieś nie takie. Puste. Lśniące szklane kulki obracające się w czaszce.

- Musimy to kiedyś powtórzyć.

Karen, która gorączkowo wkładała majtki, nagle znieruchomiała i wrzasnęła, gdy zobaczyła na materiale czerwone plamy. Smugi krwi pokrywały jej chude łydki,

bryzgi krwi widniały na stopach. Osunęła się na ziemię z jękiem, z majtkami na wysokości kolan, z oczami pełnymi łez i paraliżującego strachu.

- Jestem pewna - mówiła Bernadeta - że chcecie wrócić do domu.

Któraś zaczęła płakać. Rachel miała wrażenie, że Rhonda.

- Ale najpierw opowiem wam o waszych darach.

Bernadeta wskazała ręką na Karen. Jej palce, białe niczym brzuch ryby, były umazane krwią.

- Pędzel pozwoli ci malować najbardziej realistyczne obrazy, jakie tylko zdołasz sobie wyobrazić. Ten pędzel całował usta świętych i kopulował z zarażonymi waginami piekła. Kiedyś należał do człowieka, który przynosił światło nieba na ściany i sklepienia kościołów. Jego imię czczone było na dworach Europy. Zarówno księża, jak artyści wypowiadali je z pełnym uszanowaniem i podziwem. Był żywym świętym, dopóki nie poznał sukuba, demonicznej kochanki, która przemieniła jego chwałę w żądzę. Zapomniał o sterylnej czystości aniołów, nowym tematem jego dzieł stała się kobieta, profanacja jej piersi i ud używanych przez mężczyzn i niewiasty. Obrazy zostały wyklęte, on zaś uciekł z kochanką na zapomnianą wyspę, gdzie malowali swoje ciała sikami oraz krwią i spali z kośćmi dzikich. Znałem go dobrze. Przed śmiercią dał mi ten pędzel, pokryty zgnilizną swego ciała. Wykorzystaj go dobrze.

Następnie Bernadeta wskazała Rachel.

- Ten naszyjnik dostałem dawno temu od etruskiej ladacznicy. Noc w noc błagała o odejście z tego świata, ale jej pan wiązał ją i uwalniał tylko wtedy, gdy przychodził klient. Pewnej nocy wiła się i krzyczała pod szatami jednego ze stałych klientów, handlarza starożytności. Zdjęty litością mężczyzna zapytał dlaczego płacze, a ona mu powiedziała.

Handlarz niedawno wszedł w posiadanie wielkiego skarbu skradzionego z grobu starożytnego króla. Wspaniałomyślnie sięgnął do sakiewki u pasa, wyjął naszyjnik i założył jej na szyję. „Używaj go dobrze - przykazał i podniósł się, żeby odejść. - Podobno kiedyś zdobył szyję najwyższej kapłanki w Egipcie. Legenda mówi, że pokaże ci to, co zechcesz zobaczyć. Możesz spojrzeć w przyszłość i ujrzeć swoją śmierć albo znaleźć drogę ku nowemu życiu”. Zapewne nie znał potęgi tego podarunku, ona zaś z początku nie pojęła jego słów. Zrozumiała je jakiś czas później. Użyła daru klejnotów, żeby uciec od pana, a potem została jedną z najszlachetniejszych wrózek w Italii. Zmarła bardzo bogata. Ty możesz zrobić to samo. Dotknij czyjejś ręki, mając wisiorek na szyi, a ujrzysz przyszłość tej osoby. Łatwa sztuka. Gdy pozwolisz komuś wejść w siebie, wizja się pogłębi. Będziesz mogła zdradzić kochankowi mroczne sekrety, jakie jego potomkowie będą nosić w najciemniejszych zakamarkach serca.

Bernadeta podniosła głos niczym naganiacz przed namiotem cyrkowym:

- Zdumiewaj przyjaciół i rodzinę! Uwodź ich, wciągaj do kazirodczego łoża i szepcz o kurwach, jakimi zostaną ich dzieci. Całuj i wsuwaj język w ich uszy, mówiąc cicho, jak i kiedy umrą. - Zaśmiała się groteskowo. - Twoje łóżko może uszczęśliwiać i unieszczęśliwiać!

Monika patrzyła ze strachem na złamaną laseczkę węgla. Trzymała ją z daleka od siebie, ale nie mogła rzucić na ziemię.

Bernadeta pogładziła ją po nadgarstku, zostawiając lepki ślad na skórze.

- Ten węgiel należał kiedyś do kochanki markiza de Sade'a - wyjaśniła. - Czy któraś z was, dziewczęta, słyszała o

markizie? - Puste spojrzenie prześliznęło się po nich, zatrzymało na Rhondzie, która przysłańiała ręką duże piersi.

Wtedy Bernadeta podeszła bliżej, wsunęła dłoń pod przedramię przyjaciółki i zimnymi palcami ścisnęła sutek. Rhonda zadrżała.

- Nie, nie sędzę, aby któraś z młodych dam była dość zepsuta, aby już znać upodobania i żądze markiza. Zapamiętajcie nazwisko, spodobałaby mu się wasza dzisiejsza zabawa.

Palce zacisnęły się mocniej i Rhonda wrzasnęła głośno. Istota, która kiedyś była ich koleżanką, ze śmiechem chwyciła ją za włosy i zmusiła do podniesienia głowy. Drugą ręką wymierzyła głośny policzek z taką siłą, że pozostałe dziewczyny zadrżały.

- Dzisiejsza zabawa była tylko przedsmakiem tego, czym razem będziemy cieszyć się później. Bo każdej z was sprawiło to przyjemność, nieprawdaż?

Podeszła do Moniki.

- Kochanka markiza nie mogła się nasycić tymi zabawami. Lizala i ssała wszystko, czym ją częstował. A po powrocie do domu, posiniaczona, obolała i krwawiąca ze wszystkich sekretnych miejsc, rysowała najbardziej koszmarnie sceny. Piękne okrucy piekła. Przekażę ci ten dar. Jej duch, wciąż żyjący w tym węglu, pomoże ci ujrzeć głębie, w które razem możemy wkroczyć.

Wreszcie Bernadeta skinęła na Rhondę, która trzymała klawisz fortepianu.

- Twój dar jest prostszy. Zagraj, na jakim tylko chcesz instrumencie, a ludzie będą słuhać jak urzeczeni. Będiesz ich miała w swej władzy. Zostaniesz Szczurołapem z Terrel. Zrobiją, co każesz. A jeśli zagrasz dla mnie, przybędę do ciebie, żeby całą noc i cały dzień tańczyć w twoim łóżku.

Będziemy rozdzierać twoich kochanków na kawałki, kość po kości. Unurzamy się w ich krwi, aby ukoronować naszą słodką miłość. Bo ja was kocham, dziewczęta, czy wiecie?

Bernadeta pochyliła się, żeby pocałować Rhondę w usta, a potem zostawiła krwawe odciski warg na twarzy każdej z nich.

- To dary ode mnie, waszego dżinna, waszego diabła - zaśmiała się. - Cieszcie się ich owocami. Używajcie ich dobrze, bo zapłacicie mi za nie życiem. Każda z was może uważać swoje życie za pożyczkę ode mnie. Kiedyś zażądam zwrotu. I ostrzegam, zlekceważcie moje dary, zlekceważcie mnie, a wyszę was do sucha jak tę tutaj. Ach, była słodka do samego końca!

I ciało Bernadety upadło na ziemię.

- *Zawrzyjmy małe Przymierze* - kontynuował głos, znów brzmiać tylko w ich głowach.

Niedługo później los pięciu dziewczyn został przypieczętowany.

Angelika strząsnęła łzy z twarzy, wspominając, jak ostatni raz była uwięziona w tej grocie. Kiedy zawarły „Przymierze”. Nie miała zamiaru go dotrzymać. Wiedziała, że jej koleżanki są podobnego zdania. Myślały, że gdy tylko stracą urwisko z oczu, wszystko rozwieje się jak zły sen.

Lecz On nie pozwolił im odejść.

- *Należą się odsetki od twojej pożyczki* - zachichotał głos.

Wtedy Angelika przestała już tłumić łzy.

Rozdział VII

Jedną z korzyści, jakie wynikają z pracy dla wielkomięskiej gazety, jest możliwość nawiązywania kontaktów w wielu różnych dziwnych miejscach. Tak się złożyło, że Joe miał znajomości w przemyśle adopcyjnym.

Bo to był przemysł. Jak na ironię, pieniądze przechodziły z ręki do ręki pod stolikami w klubach ze striptizem, a czarnorynkowy handel dziećmi opierał się tak na dobrych chęciach, jak na chciwości. Joe napisał cykl artykułów na ten temat dla „Tribune”. W trakcie zbierania materiałów zyskał kilkoro przyjaciół i, co było do przewidzenia, z paru innych osób uczynił sobie wrogów.

Przyjaźń stanowiła niezwykłą premię w tym konkretnym przypadku. Wrogość była rzeczą dość naturalną. Nikt nie lubi, gdy ktoś demaskuje afery korupcyjne z jego udziałem.

Ta myśl prowadziła do Ann, jego byłej dziewczyny.

Albo „wilczycy w skórze owieczki”, jak przeważał ją pewien mądrała z gazety.

W najlepszej wierze, choć na bakier z etyką, weszła w mały korupcyjny układ z radnym, który miał lukratywny kontrakt na utylizację odpadów. Próbując pogrążyć radnego, Joe pogrążył również swoją kochankę.

W rezultacie czuł się chory nie przez godzinę, dzień czy tydzień. Prawie codziennie odtwarzał scenę, jaka się rozegrała po publikacji artykułu. Nie ustąpił, choć działał na własną szkodę. Ale nie żałował powziętej decyzji. Puścił artykuł i w konsekwencji wplątał dziewczynę w aferę korupcyjną. Jak sobie pościelisz, tak... Wiadomo co. Ale wciąż budził się w środku nocy, słysząc jej wyrzuty:

- Joe, poślą mnie do więzienia! Trafię za kratki, Joe!

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem po przeczytaniu

artykułu zamieszczonego na trzeciej stronie „Tribune”. Najgorsze, że nie rzuciła się na niego z pięściami i wrzaskiem. Oklapła, jakby tekst, który wiązał ją, radnego i kilku miejskich urzędników z łapówkarskim kantem, był wielką szpilką, a ona balonem. Osunęła się na drewnianą podłogę w swoim mieszkaniu, podkuliła nogi i nisko zwiesiła głowę, jakby chciała ucałować własne stopy.

Kieran zostawił ją w takim stanie, płaczącą, w za dużej koszulce Chicago Cubs. Nie wiedział, jak Ann zapłaci za jego uczciwość.

Nie wiedział też, jak pogodzić się z faktem, że musi wypić piwo, którego nawarzył. Niby nawyk, właściwie obowiązek ujawniania sprzecznych z prawem poczynań, ale spadło to na jego prywatne życie w sposób, który nie pozwolił mu zachować dystansu do artykułu. Tym razem, obnażając korupcję, która rujnowała życie innym, spieszył własne.

Nie próbował niczego naprawić. Gdyby próbował, stałby się równie zepsuty jak ci, których demaskował.

Wrócił do pokoju redakcyjnego, starał się czerpać radość z ujawnienia afery w Zarządzie Dróg Stanu Illinois, ale czuł się pusty. Dziennikarskie śledztwa przestały mieć dla niego znaczenie. Stracił Ann, a wraz z nią zabił część siebie. Odszedł po paru tygodniach spoglądania na swoje odbicie w monitorach w pokoju redakcji informacyjnej. Oprócz twarzy człowieka przegranego widział tylko puste, pozbawione treści słowa. Nawet nie uprzątnął biurka. Po prostu uciekł.

Do Terrel.

A teraz poznał na nowo pragnienie drażenia tematu, czyli to, co skłoniło go do zajęcia się dziennikarstwem. Otrząsnął się z odrętwiającego marazmu, wyrwał z grzęzawiska renowacji biblioteki i letniego festiwalu sprawozdań prasowych. Znowu czuł zew prawdy. I w pościgu za nią

znowu zaczął mieszać w życiu ludzi, którzy mieli sekrety i pragnęli je zachować. Ostatni temat mógł zmarnować życie pięciu kobietom. Ale nie, Kieran nie chciał ani nie potrafił przestać. Dlatego cierpliwie czekał, aż Angie Harkenride odbierze telefon. Dlatego od dziesięciu minut słuchał płynącego ze słuchawki nagrania Kenny ego G. Zawsze wierzył w sens pracy reportera, jeśli nawet na jakiś czas zamknął się w sobie i uciekał przed jej konsekwencjami.

Nagle muzyka ucichła, rozległ się trzask i usłyszał ciepły, kobiecy głos, który rozgrzał mu krew w żyłach. Tęsknił za paroma rzeczami... i osobami, które zostawił w Chicago.

- Słucham, Joe?

- Angie, chciałbym, żebyś porozmawiała z Brettem. Chciałbym cię prosić o drobną przysługę.

Gdy tylko odłożył słuchawkę, zaczął się zastanawiać, kiedy Angie pogada z Brettem, a Brett przeszuka akta. Nie cierpiał, gdy jego sprawy zależały od rozkładu dnia innych osób. Kręcił się po mieszkaniu, wiedząc, że najprawdopodobniej minie kilka godzin - albo kilka dni - zanim Brett da cynk. Nagle wpadło mu do głowy, że pewne badania może przeprowadzić na własną rękę.

W gorączce pracy i pospiesznego wyjazdu do urzędu stanu cywilnego, gdzie uściślił daty narodzin i adopcji dziecka Angeliki, Joe niemal zapomniał o porannej rozmowie z George'em.

Teraz podniósł plecak z podłogi przy drzwiach, wyjął książkę „Czary, demonologia i opętanie”, położył ją na stoliku przy fotelu. Przyrządził whisky z colą, usadowił się wygodnie i podniósł podnózek.

Książka ukazała się w roku 1956, ale nigdy nie słyszał o wydawcy: Necrorium Press. Spis treści obejmował tuzin

zagadnień okultystycznych od „Utrzymania zwierzęcych towarzyszy czarownicy” i „Wzywania demona” po „Opętanie” i „Składanie ofiar”.

Przewertował pierwsze rozdziały, wreszcie zaczął czytać.

5. Wzywanie demona

Istnieje tyle szkół wzywania, co rodzajów wzywanych demonów. Niektóre starożytne obrzędy wymagają stosowania pentagramu i radzą wytyczać go za pomocą soli, ludzkiej krwi, świętych świec i innych ezoterycznych akcesoriów i substancji - łącznie z ekskrementami dziewicy, jak wspomniano w jednym z opracowań - aby demon nie mógł uciec przed zadzierzgnięciem przymierza posługi.

Większość współczesnych ekspertów twierdzi, iż nie można powstrzymać demona za pomocą mineralów czy przedmiotów religijnych. Demony są przecież istotami eterycznymi. Nie chodzi o to, żeby uwięzić ducha, lecz związać go z tym światem. Ponieważ nasza ziemia nie jest naturalnym siedliskiem demonów, mogą one przebywać tu nie dłużej niż chwilę, chyba że zostaną zobowiązane do służby w zamian za materialne korzyści. Kluczem jest przymierze i jeśli demon okaże zainteresowanie pozostaniem w ziemskim królestwie - a wielu tego pragnie za wszelką cenę - wówczas wzywający musi zawrzeć korzystne dla niego przymierze. W chwili wezwania demon powinien poznać warunki proponowanego

przymierza i jeśli uzna, że są zadowolające, nie ucieknie do świata, z którego został przywołany.

Jednym z kluczowych założeń demonologii jest moc przyrodzona imionom. Próba wezwania demona bez zwracania się do konkretnej istoty i bez rozumienia jej natury może okazać się bardzo niebezpieczna. Przymierze nie zwiąże demona z ziemskim panem, o ile w wezwaniu nie padnie jego prawdziwe imię. Justorius w roku 654 opisał przypadek wzywania bez podania imienia. Na wezwanie odpowiedział wyjątkowo złośliwy demon Borlock, który unicestwił połowę mieszkańców wioski, zanim stracił władzę nad tym królestwem i zniknął. Wypadek ten potwierdza również bezużyteczność granic wytyczonych za pomocą soli i świec. Wiedźma, która próbowała wezwać demona, użyła solnej zapory.

Rodzi się pytanie, gdzie znaleźć imię demona, którego pragnie się wezwać. Oczywiście próżno by szukać książki telefonicznej innego królestwa z imionami demonów specjalizujących się w takich dziedzinach, jak zapewnianie płodności, bezpieczeństwa, zdrowia, bogactwa i tym podobnych. Istnieje jednakże kilka ksiąg okultystycznych wydanych na przestrzeni minionych stuleci, a podających wiele imion demonów wzywanych i wykorzystywanych do

służby przez ludzi wprawnych w czarnej magii. Wybitne dzieło Demarcka „Diabły i delirium”, opublikowane w roku 1798, zawiera aneks z imionami kilku tuzinów ważnych duchów...

Zabrzączał telefon. Joe zaznaczył miejsce w książce i odłożył ją na bok. Miał nadzieję, że dzwoni Brett, choć nie przypuszczał, aby znajomy tak szybko wszedł w posiadanie potrzebnych mu informacji. Podniósł słuchawkę po trzecim sygnale.

- Słucham.

- Joe? - Nie tego głosu się spodziewał, lecz mimo to twarz mu pojaśniała.

- Cześć Cindy. O co chodzi?

- Wiesz, jutro już piątek - powiedziała, prowokacyjnie zawieszając głos.

- Masz na coś ochotę?

- Czy to propozycja?

- Kolacja, film?

- Przyjmuję - odparła.

Gdy odłożył słuchawkę, już nie pamiętał o wzywaniu demona. Poszedł do kuchni. Po szybkim przeglądzie ubogiego wnętrza lodówki wyjął papier i pióro, żeby sporządzić listę zakupów.

Miała być długa.

Rozdział VIII

Nieprzytomny Ken Brownsell mknął czarnymi korytarzami pod Górą Terrela. Woda wypełniła jego płuca, a temperatura ciała spadała w tempie, które poważnie zaniepokoiłoby sanitariuszy z pogotowia Foltera, gdyby oczywiście mogli ją zmierzyć.

Nie mogli.

Ken niczym liść płynął wodnym szlakiem, który wiódł do ciepłego, słonego łona oceanu.

Ale ocean nie był ostatecznym miejscem jego przeznaczenia.

- *Zrobimy to elegancko* - oznajmił bezceremonialnie głos w pustych przestrzeniach jego mózgu. Ręka grotowała uniosła się powoli i uderzyła w wodę. Druga po chwili dołączyła do niej i ciało Kena napędzane sztywnymi, nieskoordynowanymi ruchami, zaczęło podpływać do brzegu. Był jak pływak zombi.

Twarz uderzyła w brzeg koryta i ręce poderwały się w górę, żeby zahaczyć o skałę. Nurt rzucił Kena na wapienny występ. Huk zderzenia głośno poniósł się po komorze, lecz nie wzruszył istoty, która kierowała ciałem.

- *Dobry jak każda inna kotwica* - zauważył głos.

Ręce Brownsella przesunęły się po szarej skale, żeby objąć nawis sterczący nad nurtem. Jednocześnie coś zgięło mu prawą nogę, a lewą zadarło, zahaczając nią o brzeg. Ken odepchnął się od kamienia i przeturlał. Spoczął na boku z dala od zimnej wody, wciąż nieprzytomny i krwawiący z licznych skaleczeń - jedno sięgało od oka do podbródka.

Rozdział IX

Joe był marnym kucharzem, ale wolał zaprosić Cindy na kolację do siebie, niż zabierać ją do restauracji. Ludzie zaczęliby gadać.

A dokładniej, ludzie zaczęliby gadać o facecie z wielkiego miasta, który wtyka brudne paluchy w majtki miejscowej dziewczyny.

W tej chwili nie zależało mu na takim rozgłosie, Cindy też nie. Wprawdzie poszli razem do klubu, ale przesiadującej tam młodzieży nie obchodziło, że dwudziestokilkuletni facet spotyka się z młodszą dziewczyną. Kolacja w restauracji pod ostrzałem spojrzeń miejscowych kelnerek i gości to zupełnie inna para kaloszy.

Stąd Joe miał teraz dylemat.

Przejscia pomiędzy półkami w sklepie spożywczym Cartera nigdy nie wydawały się takie obce, tak pełne pułapek, jak tego wieczora. Wrzucił do wózka główkę sałaty (chrupkiej, lecz niezbyt twardej), następnie kilka pomidorów (ze szklarni, pewnie bez smaku, ale co człowiek ma zrobić?), zieloną paprykę, ogórka i torebkę dymki. Po namyśle wyjął cebulę i odłożył na półkę. Kto chciałby mieć brzydki oddech po zjedzeniu sałatki?

Zrobił dwa kroki i zawrócił.

Co to za sałatka bez dymki? W każdej restauracji, w jakiej jadał, podawano sałatki z cebulką.

Zabrał z powrotem torebkę i rzucił ją na dno wózka.

Nadeszła kolej na dressing. Włoski nie budził w nim zaufania, ale dołożył go do zakupów, bo mgliście pamiętał, że butelka w lodówce jest w połowie pusta. Potem przyszło mu na myśl, że może Cindy nie lubi sosu włoskiego.

Nie zapytał jej o to, gdy zaproponował na kolację stek z

sałatką. Na wszelki wypadek wziął jeszcze sos winegret, ten z sera pleśniowego, a także majonezowy z dodatkami. Butelki podzwaniały wesoło wśród innych zakupów, jakby spełniały toast za nadchodzący wieczór.

Uznał, że stek potrafi wybrać bezbłędnie. Modlił się tylko, żeby nie spalić go na węgiel. Zawsze przyrządzał mięso na zasadzie „na dwoje babka wróżyła”, ale gdy nikogo nie musiał częstować, twarda brązowa podeszwa na kolację nie stanowiła problemu.

Dziś nie mógł się narazić na kompromitację.

Przejrzał z pół tuzina porcji, szukając takiej, która miałaby jak najmniej tłuszczu, ale była w sam raz poprzerastana. Musiała porządnie skwierczeć na grillu.

Wreszcie wybrał odpowiedni plaster, wziął jeszcze z półki zakwaszaną śmietankę do ziemniaków i ruszył do kasy, przed którą naturalnie stała kolejka sześciu wózków.

Bajecznie!

W trakcie czekania przeglądał nagłówki brukowców rozbawiony ich jawnymi łgarstwami. Czasami go wkurzały - plotkarstwo i kłamanie w żywe oczy szkodziło reputacji jego zawodu. Ale głównie był rozbawiony. Ludzie naprawdę chcą wierzyć w to, w co raz postanowią wierzyć - wiedział to dobrze. Różniły się tylko źródła, z jakich czerpali wiedzę. Wniebowstąpienie, niepokalane poczęcie i zmartwychwstanie? Przyszli mesjasze, minione wcielenia, eony karmy? Chiromancja, seanse spirytystyczne i tarot? Wielka Stopa, potwór z Loch Ness albo UFO? Żyjący Elvis? Poltergeist? Urwisko zamieszkane przez złego ducha?

Ale sam zaczął wierzyć w tę ostatnią szaloną historię. Najprawdopodobniej była tylko fantastycznym wymysłem, któremu nigdy nie powinien dawać wiary. Ale choć była wystarczająco dziwaczna, nie doczekała się nagłówka w

prasie ani lokalnej, ani innej.

To użyczało jej odrobinę wiarygodności.

Joe pokręcił głową po przeczytaniu zajawki o duchach dwugłowych dzieci i przejrzał czasopisma kobiece. „Nie powiem, jacy mężczyźni!” - krzyczały litery wysokie na pięć centymetrów. „Zaciągnij go do łóżka” - kusił inny tytuł. „Lepszy seks - 56 rad: wynik sondy wśród naszych czytelniczek”. Joe tylko się uśmiechnął. Jeśli nie można ich złapać na magię albo religię, należy zastawić seksualne sidła. Przejrzał parę „porad” i artykułów na temat „tajników seksu” w kobiecych czasopismach. Nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek może zaglądać do tych źródeł, aby szukać w nich wiedzy o seksie. Pomyśleć, że autorami tekstów w „Cosmo” i „Woman’s Day” byli dorośli ludzie! Miał głębsze przemyślenia na temat doznań erotycznych w wieku piętnastu lat, gdy oglądał reklamy biustonoszy w katalogach magazynu Searsa.

Wreszcie zbliżył się do czarnego pasa podajnika przy kasie. Chwycił plastikową przegródkę, położył ją na taśmie i pokręcił głową, gdy zauważył przyklepioną do niej reklamę papierosów. Nie ma miejsca wolnego od reklam. Kto by pomyślał, na listewce przy kasie? Odgrodził swoje zakupy od tych, które wyładowała stojąca za nim przysadzista kobieta po czterdziestce. Z irytacją zauważył, że klientka przed nim przyniosła dwadzieścia trzy rodzaje produktów do kasy z tabliczką „do 15 towarów”.

„Ludzie nie dość, że czytają głupie, beznadziejnie czasopisma, to jeszcze nie chcą albo nie umieją przeczytać niczego innego - pomyślał. - Widzisz tylko to, co chcesz zobaczyć”.

Kolejny raz policzył w pamięci swoje sprawunki i z satysfakcją pokiwał głową.

Czternaście.

Joe polał węgiel płynną rozpalką i zapalił zapałkę. Gdy płomienie skoczyły łakomie, wrócił do mieszkania. Uzbrojony w rzeźnicki nóż pokroił warzywa na sałatkę. Wrzucił je do głębokiej drewnianej miski i wstawił do lodówki. Położył stek na talerzu. Zabrał zimne piwo Miller Genuine i rozsiadł się na kanapie, żeby czekać na pukanie Cindy. Słyszał ciekawski głos swojej matki: „Tak Joe, wydaje się bardzo miła. Ale to tylko dziecko. Co pomyślą jej rodzice? Nie powinna umawiać się z kimś w swoim wieku? O czym będziecie rozmawiać? Co was łączy?”.

Skrzywiłaby lekko pomarszczone usta w tym swoim wszystkowiedzącym uśmiešku, a on z podkulonym ogonem popęzłby do swojego pokoju, żeby w samotności przełknąć poczucie winy i wstydu.

- Nie tym razem, mamó - powiedział na głos.

Pokój nie odpowiedział. Nie spodziewał się, że odpowie.

Czy na pewno?

Poczuł się dziwnie, mówiąc na głos do zmarłej. Wyszedł na zewnątrz, żeby sprawdzić grill. Dmuchał chłodny wiatr, krwawa plama słońca rozlewała się nad horyzontem. Nadchodziła zimna noc.

Węgłe dobrze się wyżarzyły. Były białe z wierzchu, niżej ogniście pomarańczowe, gdy przyszła Cindy. Podała mu butelkę czerwonego wina, a on szybko cmoknął ją w usta zanim przestąpiła próg.

- Czy chcę wiedzieć, skąd nieletnia wzięła tę flaszkę? - zapytał.

Mrugnęła i pokręciła głową.

- Cudownie wyglądasz - powiedział, patrząc na obcisłą, żółtą jak mlecz bluzeczkę i niebieskie džinsy, które nie tyle

okrywały, ile podkreślały ponętne krągłości figury. Jej usta płonęły życiem, oczy skrzyły się nawet w nikłym świetle pokoju.

- Dzięki - powiedziała z leciutkim rumieńcem. - Lubię ten strój. Jest wygodny i wiem, że niektórzy faceci patrzą na niego z przyjemnością.

Znowu mrugnęła i minęła go w wejściu.

- Ja uważałbym na facetów, przy których to nosisz - odparł.

- Czyżbyś był niebezpieczny? - zapytała, szeroko otwierając oczy i patrząc na niego z minką udawanej niewinności.

- Możliwe. Mam nadzieję, że jesteś głodna - powiedział, nie podejmując jej gry.

- Mam nadzieję, że jesteś kucharzem!

- Sama zobaczysz - odparł ze śmiechem. - Mam nadzieję, że jesteś głodna, bo jeśli nawet ja coś schrzanię, ty i tak wszystko spałaszujesz.

- Akurat!

Joe podniósł pilota od telewizora i rzucił go na kanapę.

- Jeśli chcesz jeść, muszę zabrać się do roboty. Jakie mięso lubisz?

- Pulsujące - powiedziała z powagą, lecz po sekundzie nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Później mogę zaoferować ci piękny pulsujący kawałek. -Kieran nie pozostał jej dłużny. - Ale steki są mocno nieżywe, zapewniam. Nie ruszają się, nie tętnią. Średnio krwisty?

- Byle nie tryskał posoką.

- Załatwione.

Zabrał talerz na taras i długim widelcem ułożył steki na grillu. Gdy patrzył na węgle, oceniając temperaturę, ręka

dziewczyny objęła go w pasie. Delikatnie opalone palce sunęły niczym pajak, opuszczając się powoli, lecz z oczywistym zamiarem.

„Jest tylko dzieckiem!” - wrzasnęło sumienie.

„Czy tak zachowuje się dziecko?” - odparła racjonalna część umysłu.

- Tęskniłeś? - Cindy przerwała tę wewnętrzną sprzeczkę.

- Tak - mruknął i ignorując jej poczynania, przewrócił skwierczące mięso widelcem. - A ty?

- Wcale, ani trochę.

Kiedy się odwrócił, zobaczył jej uśmiechniętą twarz.

- Nie muszę dziś wracać do domu - oznajmiła.

- Rodzice nie będą się martwić?

- Myślę, że pojechałam do koleżanki ze szkoły. Powiedziałam, że pewnie nie wrócę na noc.

Joe poczuł skurcz w kroczu. Noc, gdy spędzili kilka godzin na tylnym siedzeniu jego wozu, była niebiańska. Ale nie będzie miała porównania z luksusem łóżka. A Cindy najwyraźniej chciała skorzystać z tego luksusu.

Miał nadzieję, że nie spali kolacji.

Nie spalił.

Na stoliku w kuchni położył dwa talerze, pośrodku postawił miskę z surówką i wszystkie zakupione butelki z sosem. Wypróbowanym, godnym zaufania korkociągiem wyciągnął korek i nalał cierpkie, ciemne wino do dwóch kieliszków o smukłych nóżkach. Potem przyniósł steki z grilla, który choć stał na zewnątrz, wypełnił mieszkanie apetycznym zapachem pieczonej wołowiny. Zaburczało mu w brzuchu. Cindy parsknęła śmiechem.

- Trzymasz tam dzikie zwierzę?

- Nigdy nic nie wiadomo.

Położył mięso na ostatnim talerzu, jaki miał. Dobrze, że nie wydawał przyjęcia, bo z kompletu w niebieskie kwiatki zostały tylko trzy sztuki. „I jak tu wierzyć w zapewnienie, że są nietłukące?!” - parsknął w duchu.

„Kroi stek z wdziękiem księżniczki” - pomyślał, patrząc, jak nóż z drewnianym trzonkiem powoli, delikatnie, lecz pewnie przecina soczysty plaster wołowiny. Cindy zerknęła na niego z lekkim uśmiechem, a on w tym krótkim spojrzeniu wyczytał wdzięczność, uznanie i głód. Miała niezwykle wyrazistą twarz, usta stworzone do śmiechu i drwiny. Jedna zmarszczka na jej czole mogła wyrażać tyle, co rozdział powieści. Joe zaczynał mieć nadzieję, że będzie mu wolno przeczytać książkę od deski do deski.

- Sos do steków, keczup? - zapytał.

- Jeśli mięso jest coś warte, nie potrzebuje niczego - odparła z przekonaniem, podnosząc do ust widelec z parującym kawałkiem steku.

Gryzła przez chwilę. Kieran patrzył, z niepokojem czekając na najłżejszą oznakę niezadowolenia.

- I jak? - zapytał, gdy przełknęła.

- Zawsze możesz mnie karmić. - Jej zęby błysnęły białą, gdy wsuwała następny kęs do ust.

Do licha, gdzie on się pakował?

Do łóżka, jak się okazało.

Po kolacji rozsiedli się na kanapie i popijali wino.

Trochę rozmawiali - ona mówiła o studiach, koleżankach, dorastaniu w maleńkim Terrel, on o studiach, kolegach i mieszkaniu w wielkim mieście. W telewizji leciały stare odcinki „The Dike Van Dyke Show” i „Star Trek”, przejrzeni też stare teledyski na VH- I i MTV. Wreszcie przełączyli na kanał Discovery, gdzie pokazywali film o

ginących gatunkach pingwinów i długorekich małpach. Cindy siedziała oparta o jego ramię, a potem położyła się, wspierając głowę na udach Joego.

Kieran pomyślał, że w tej pozycji dziewczyna poczuje, co się dzieje w jego spodniach. Popatrzył na jej słodką, lekko zarumienioną twarz. Pragnął się pochylić i poczuć jej język w ustach. Chciał wziąć w ramiona jej smukłe ciało i zanieść do sypialni. Ale, cholera, wciąż była nieletnia! Pomimo tego, co robili w samochodzie i na urwisku, czuł się dziwnie. Zdecydował, że jeśli Cindy chce pójść z nim do łóżka, to musi wykonać pierwszy ruch.

W końcu wykonała pierwszy, drugi i trzeci.

- Naprawę cię lubię, Joe - powiedziała.

Jewel nuciła w MTV, obcisły kostium z gazy ledwo okrywał jej ciało. Cindy podniosła się, żeby pocałować go w usta.

- Nie wiem, co bym zrobiła przez tych parę tygodni, gdybym nie miała ciebie. Rozumiesz, byłam taka załamana, gdy się poznaliśmy... To wciąż boli, naprawdę. Mam cudownych rodziców, ale oni nie zapełnią tego miejsca. Dzięki tobie jestem mniej pusta w środku.

Oczy jej się zaszkliły. Kieran pokiwał głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Tylko nie myśl, że cię wykorzystuję... - podjęła. - Sama nie wiem, pozwól mi przetrwać dopóki nie pojawi się następny facet.

- No tak, ja jestem dla ciebie trochę za stary - szepnął. Nie chciał tego mówić, ale czuł, że musi.

- Wcale nie. - Gwałtownie pokręciła głową. - Jesteś idealny. Wiesz, czego chcesz, jesteś otrzaskany, ale nie zblazowany. Naprawdę lubię być z tobą, Joe. Chcę, żebyś to wiedział, bez względu na wszystko. Chcę być z tobą.

Pocałowała go znowu, z języczkiem, zamykając oczy i przytulając się mocno. Potem pchnęła go na kanapę i zaczęła rozpinąć mu koszulę. Nie protestował, ale też nie pomagał. Dopiero gdy sięgnęła do paska, poczuł, że pora interweniować.

Odepchnął ją lekko, usiadł, zrzucił rozpiętą koszulę, wreszcie wziął Cindy na ręce jak dziecko. Podniósł się z kanapy i stwierdził, że zdążyła poradzić sobie z klamrą paska. I z suwakiem. Spodnie opadły mu do kostek. Pocałowała go znowu i objęła za szyję, gdy wysunąwszy stopy z nogawek, niósł ją ostrożnie do sypialni. Minęły lata odkąd z kimś mieszkał, ale z jakiegoś powodu uznał, że musi zatrzaskać drzwi. Nawet gdyby miał sublokatora, cienkie drewno nie wytłumiłoby odgłosów, jakie miały towarzyszyć uprawianiu miłości. Cindy nosiła bardzo obcisłe dzinsy. Zdumiał się, jak szybko je ściągnęła.

I równie szybko pozbyła się koszulki. Kiedy wsunęła dwa smukłe palce pod gumkę jego szarych bokserów, Joe przestał się dziwić dojrzałości jej pożądania i zaczął pomagać, aby jak najszybciej je zaspokoić. Rękami, które prowadziły się wzajemnie i ustami całującymi na dowód wdzięczności.

I innymi częściami ciała.

Rozdział X

Biegł długim białym korytarzem. Szpital. Ale bez pacjentów. Może kostnica. Chłodne białe drzwi urozmaicały monotonię ścian po obu stronach. Wszystkie były zamknięte. Nie zwolnił, żeby sprawdzić, czy można któreś otworzyć. Biegł w kierunku okna. Na końcu korytarza.

Okna, w które uderzały cicho gałęzie drzewa: stuk, stuk.

Musiał dotrzeć do okna, bo inaczej Cindy umrze. Wiedział. Ale im szybciej biegł, tym bardziej okno się oddalało.

Nagle ktoś otworzył drzwi przed nim i zatarasował drogę. Pani Canady, żywa barykada, wielka krowa szczerząca zęby w złośliwym uśmiechu. Jedno oko lśniło krwawą czerwienią w siarkowym świetle korytarza, płonęło jak ostrzegawcza latarnia: „Nie podchodź blisko”.

Podszedł. Jej ręce zamknęły się wokół niego niczym szczypce kraba, ale nie zwolnił. Niewiele myśląc, kopnął ją kolaniem w brzuch i wysłiznął się z jej ramion, zostawiając panią Canady stękającą i jęczącą na podłodze.

Biegł szybciej. Inne matki wyszły z drzwi po obu stronach korytarza. Trzymały kije baseballowe i wymachiwały nimi groźnie, miarowo, po cichu.

Zrobił to, co zrobiłby dobry gracz małej ligi.

Z szaleńczym rykiem pędził prosto na nie, lecz w ostatniej sekundzie, gdy już wznosiły kije, mierząc w jego głowę, padł plackiem i prześliznął się pomiędzy ich nogami. Kije świsnęły w powietrzu.

- Pudło - zawołał i poderwał się z podłogi.

A potem zobaczył Angelikę.

Była ubrana w jaskrawy jedwabny szlafrok bez paska. Stała w rozkroku pośrodku korytarza i szeroko otwierała

ramiona, żeby przytulić go do piersi. Jej cipka zapraszała, a sutki, choć przysłonięte materiałem szlafroka, wyraźnie sterczały.

Gdy już miał zaliczyć trzecią bazę, przemykając pomiędzy jej nogami, z waginy wysunęła się ręka pokryta zieloną ropą. Ostre, szpiczaste czarne paznokcie cięły powietrze, sięgając w jego stronę.

Krzusząc się ze strachu i odrazy, Joe zrobił unik w lewo. Walnął całym ciałem w twardą betonową ścianę, przeskoczył nad bosą stopą Angeliki i wylądował chwiejnie na środku korytarza.

Słyszał je za sobą. Stukot obcasów, plaskanie bosych stóp. Okno wydawało się teraz trochę bliższe i przez nie widział coś pod drzewem: czyżby to coś wisiało? Coś żółtego. Coś z jasnymi włosami.

Cindy?

Joe rzucił się przed siebie. Ogień palił w żołądku, mięśnie ud wyły z bólu.

Paznokciec drasnął jego udo. Nie chciał się oglądać, żeby zobaczyć, która z nich depcze mu po piętach. Jeden obrót, a dopadnie go, kimkolwiek była.

Ale podejrzewał, że musnęła go rozkładająca się ręka płodu. Ręka dziecka wciąż ukrytego w łonie Angeliki, dziecka, które chciało go chwycić za jądra i skręcać, dopóki nie urwie.

Wtedy zadzwonił dzwon. Alarm. Albo sygnał ewakuacji. Nie był pewien.

Ręka opadła na jego ramię i potrząsnęła nim mocno raz, drugi i trzeci. Poddał się wszystkim swoim lękom i wrzasnął...

Wrzasnął głośno.

W swoim łóżku.

Zobaczył szeroko otwarte, zatroskane oczy Cindy.

- Telefon, Joe. Dzwoni telefon! Mam odebrać?

Otrząsnął się z resztek snu, pokręcił głową.

- Nie, ja odbiorę.

Wstał z łóżka i przeszedł nagi przez pokój. Dopiero gdy ze słuchawką przy uchu odwrócił się w stronę Cindy, zdał sobie sprawę ze swojej nagości i poczuł lekkie zakłopotanie.

- Słucham.

Penis dyndający pomiędzy nogami i ręką, którą Cindy trzymała prześcieradło, skromnie przysłaniając piersi, sprzysięgły się przeciwko niemu. Joe stanął bokiem. „Dlaczego ludzie, którzy pieprzyli się jak króliki, na drugi dzień rano wstydzą się sobie pokazać?” - pomyślał. Zaraz potem zapomniał o tym, bo usłyszał znajomy głos.

Był to Brett, znajomy z chicagowskiego Wydziału Opieki Społecznej.

- Chyba wytropiłem ją wczoraj wieczorem. - Joe natychmiast rozpoznał szorstki, zgrzytliwy głos. - Przykro mi, że tak długo to trwało, ale musiałem poczekać, aż u nas trochę się uspokoi. Dopiero niedawno mogłem się zająć szukaniem.

- I co masz?

- Wbrew temu, co powiedziała, dzieciak nie został wysłany daleko. Prawdę mówiąc, mało brakowało, a nawet nie zajrzałbym do waszego wykazu, bo powiedziałaś, że przebywa poza granicami stanu. - Brett lubił się rozwodzić przed przejściem do sedna. Ta cecha uwidaczniała się zwłaszcza po paru butelkach Guinnessa. - Mówiłeś, że matka prosiła o rodziców adopcyjnych spoza stanu, prawda?

- Tak powiedziała - przyznał Joe.

- Znalazłem niemowlę płci żeńskiej, bez imienia, urodzone przez Rachel Napoli, oddane do adopcji dziewiętnaście lat

temu. Nie wygląda na to, żeby wysłali ją poza stan.

- No to dokąd trafiła?

- Zdaje się, że w ogóle nie opuściła miasteczka, w którym siedzisz - zaśmiał się Brett. - Agencja robi to czasami, zwłaszcza w przypadku takich próśb. Ludzie zarządzający adopcją potrafią być przekorni.

- Dokąd trafiła? - powtórzył nieco zniecierpliwiony Kieran.

- Do niejakich Marshfieldów. Nadali jej imię, gdy tylko ją dostali, tak mam w aktach. Nazwali ją Cynthia.

Joe miał wrażenie, że zamarzają mu wnętrzności. Krzywił usta w wymuszonym uśmiechu i robił wszystko, żeby nie zgiąć się w pół.

- Dzięki Brett. Jestem ci winien.

- Skrzynkę Guinnessa, gdy następnym razem zajrzysz do miasta?

- Masz to jak w banku. Na razie.

Odłożył słuchawkę, starając się nie okazywać zdumienia. Ile Cynthii mogło mieszkać w miasteczku wielkości Terrel?

Patrzył przez pokój na Cindy.

Cynthia Marshneld. Zaginiona córka Rachel-Angeliki Napoli. Skazana na skok z urwiska. Córka kobiety, która się z nim pieprzyła opętana przez diabła z Góry Terrela. Młoda, pełna energii dziewczyna, z którą pieprzył się zeszłej nocy.

Zaginiona osoba, odnaleziona w jego łóżku, puściła prześcieradło.

- Stało się coś złego, Joe? - zapytała, tłumiąc ziewnięcie. Przysłoniła usta gibką, opaloną ręką. Prześcieradło opadło jeszcze bardziej, odsłaniając różowy pączek sutka, gdy się przeciągała.

- Nie, nic. Kolega z Chicago.

Przeszedł przez pokój, wsunął się do łóżka i zamknął

Cindy w ramionach, jakby w ten sposób chciał ją ochronić. Groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo, a ona o niczym nie wiedziała.

A jeśli istota z urwiska naprawdę umiała czytać w myślach, największe niebezpieczeństwo zagrażało jej z jego strony.

Nie po raz pierwszy w swoim romantycznym życiu Kieran zrozumiał, jak niebezpieczne dla związku może być posiadanie okrucucha wiedzy. Tylko że tym razem nie chodziło o proces czy więzienie. Gra toczyła się o śmierć albo życie.

Życie Cindy.

I śmierć.

Rozdział XI

Ken otworzył oczy z potwornym bólem głowy. Miał wrażenie, że jego szczeka przemieniła się w worek pełen luźnych kamieni. Cały był paskudnie poobijany.

Ale szczęście go nie opuściło, skoro udało mu się uniknąć zmycia do jakiegoś leja czy do oceanu. Ostrożnie, powoli pokręcił głową, rozglądając się po otoczeniu. Zobaczył, że leży na brzegu rzeki. Domyślił się, że uratował go nisko zwieszony występ skalny.

- W porządku - mruknął. - Kontrola systemów. Prawa noga?

Poruszył nią bez rozdzierającego bólu. Poruszył drugą - to samo. Prawą rękę już sprawdził, dotykając twarzy.

- Lewa ręka?

Brak reakcji.

Kurwa mać!

Brownsell położył się na plecach i obmacał lewą rękę od barku po nadgarstek. Czuł palce ugniatające skórę, ale wrażenie zdawało się napływać z bardzo daleka.

Nie znalazł jednak złamanych kości. Ani... Potem poczuł gorąco. Igły, szpikulce i rozgrzane do czerwoności pogrzebacze wbijały się w jego ciało.

- Cholera! - Usiadł i zaczął potrząsać ręką, która w odpowiedzi wysłała do mózgu jeszcze więcej chaotycznych sygnałów. Przez sekundę zastanawiał się, czy złamanie kości mogłoby być bardziej bolesne. Wreszcie śpiące dotąd ramię zaczęło go słuchać.

Ken uznał, że jest szczęściarzem. Miał cholerny, ale to cholerny fart, że nie utonął ani niczego sobie nie złamał. Wyszedł z tej przygody praktycznie bez szwanku. Nawet lampa na hełmie wciąż świeciła, co znaczyło, że stracił

przytomność na niezbyt długo, baterie siadały przecież już po paru godzinach.

Podniósł się z jękiem i rozejrzał. Rzeka płynęła z lewej strony. Strop wisiał niespełna pół metra nad jego głową, a na drugim brzegu podziemnej rzeki schodził do poziomu wody. Na prawo biegł ginący w ciemności szlak splekanego łupka. Ken uznał, że lepiej iść wzdłuż rzeki w kierunku oceanu.

Albo się wydostanie, albo umrze z głodu.

Miał zamiar się wydostać.

- *W takim razie lepiej nie idź w tę stronę* - poradził głos w jego głowie.

Brownsell podskoczył.

- *Nie możesz mnie zobaczyć, Ken, więc przestań się rozglądać...*

Grotołaz potrząsnął głową, próbując odzyskać jasność umysłu. Musiał naprawdę mocno uderzyć w dno. Dlatego słyszał głosy.

- *Twojej głowie nic nie dolega, Ken. Ale byłoby inaczej, gdybym ci nie pomógł. Wyciągnąłem cię z rzeki. Powinieneś mi podziękować.*

Wtedy Brownsell wreszcie zaczął się bać. Nie tracił zmysłów. To się działo naprawdę. Przypomnił sobie faceta, który kilka dni temu wpadł do rzeki. Gdy go wyciągnęli, powiedział, że na dole coś do niego mówiło.

- *To byłem ja* - przyznał głos. - *Wszystko, co kiedykolwiek słyszałeś o tym miejscu, jest prawdą.*

- *O cholera!* - mruknął grotołaz, cofając się pod ścianę korytarza.

- *Nie martw się, Ken, nie zmuszę cię do skoku z urwiska. Jestem tu, aby ci pomóc w zdobyciu tego, czego zawsze pragnąłeś. Ty też możesz mi pomóc. Zawrzyjmy Przymierze, tylko ty i ja...*

Rozdział XII

A jeśli przyplływ zaleje pieczarę? - zapytała płaczliwie Monika. W uszach Karen jej głos brzmiał równie drażniaco jak zgrzyt paznokci przesuwanych po szkolnej tablicy.

„Dlaczego zostałyśmy przyjaciółkami?” - zastanowiła się nie po raz pierwszy. Przed jej oczami przemknęła wizja innej przyjaciółki, nagiej i umazanej krwią Bernadety.

Od czasu zawarcia Przymierza były ze sobą związane, czy się lubiły, czy nie. I niezależnie od tego, czy miały odwagę się do tego przyznać, wszystkie chciały zrobić to znowu. On dał im skosztować potężnego narkotyku, którego od tamtej pory łaknęły.

- A jeśli Rachel utonie z naszej winy? - jęczała Monika na tylnym siedzeniu.

- I o to chodzi - warknęła Rhonda, nie odrywając oczu od drogi. Nigdy nie przepuszczała okazji, żeby zachować się opryskliwie.

„Dlaczego ja jej słuchałam?” - pomyślała Karen, patrząc na ciężkie piersi pod skromną bluzką matrony. Ze smutnym uśmiechem obróciła nieco głowę. Teraz widziała obie przyjaciółki. Nawiedzony wyraz na chudej, pomarszczonej twarzy Moniki. I błysk sadyzmu w ptasich, prawie czarnych oczach Rhondy.

„Co się z nami stało? - zapytała Karen samą siebie. - Co On z nami zrobił? Jak potoczyłoby się nasze życie, gdybyśmy wyrzuciły dary do oceanu? Gdybyśmy znalazły siłę, żeby uciec z jaskini? Ukażał Bernadetę śmiercią za próbę ucieczki, ale... gdybyśmy wszystkie to zrobiły... czy mogłby, czy chciałby nas zabić?”

Gdybała zbyt wiele razy. Przepędziła te myśli. Liczyło się tu i teraz. Liczyły się one, trzy przyjaciółki. Zostawiły tę,

która nie chciała dopełnić umowy. Prowadziły małą prywatną wojnę, bezkompromisową i bezpardonową, i nikt spoza ich kręgu nie rozumiałby, co jest stawką, co można wygrać lub stracić.

- Zapomnijmy o tym na razie - powiedziała ze znużeniem w głosie. - Jedźmy do domu. Wrócimy jutro wieczorem i zobaczymy, czy sprawa może zostać ostatecznie zamknięta.

W głębi serca czuła, że koniec nie nastąpi. Niezależnie od tego, co postanowi Rachel. On zawsze chciał od nich więcej. Mówiąc głosem Bernadety, wskazywał im inne rodzaje rozpusty, podsuwał przykład markiza de Sade'a. Namawiał do skosztowania chorej, grupowej rozkoszy... i bólu. Dając im swoje niegodziwe dary w pewien sposób błagał, żeby zaprosiły Go do swoich łóżek. Nakarmił je miodem podanym na trupim palcu i spodziewał się, że wrócą po więcej. Przychodził do nich nocami i nęcił wizjami rozkoszy, jakiej zaznały w jaskini pod jego dyktando.

Bez końca zasypywał je tymi wizjami. Szeptaly o nich pomiędzy sobą, choć wstyd nie pozwalał im omawiać szczegółów ani przyznać, że w skrytości ducha zastanawiają się, czy mogłyby odtworzyć tamto uniesienie w zaciszu sypialni.

Przychodził do Karen i gdy miała dziewiętnaście, i dwadzieścia, i więcej lat. Przychodził, gdy leżała w nocnej koszuli - a czasami bez - w pokoju nad sypialnią rodziców. Przychodził w najciemniejsze, najbardziej parne noce lata i błagał, żeby pozbyła się zahamowań i zatańczyła z Nim naga i spocona na drodze. Budził ją w białym świetle zimowych poranków, prosił, by podsyciła ogień i ssła obwisłe narządy rodziców.

- *Daj im miłość, póki możesz* - szeptał. - *Jesteś młoda. Możesz ich uszczęśliwić.*

Podsuwane przez niego wizje na przemian odpychały ją i kusily. Wciąż pokazywał jej jędrne, nagie ciała spółkujących przyjaciółek. Z początku napawało ją to odrazą.

„Lesbijka! - obruszał się rozsądek. - Nigdy!” Wówczas On przypominał jej ciało spazmy orgazmu, do jakiego doprowadziły ją palce i języki dziewczyn w jaskini, a potem odcinał napływ zmysłowych wrażeń i wyśmiewał się z niej bezlitośnie.

- *Lesbijka?* - kpił. - *Nie pluj z taka jadowita wrogością na coś, co sprawiło ci przyjemność.*

Przerywał jej prywatną zabawę palcem w cichych godzinach nocy, ukazując wizje grubych, czerwonych ust Rhondy jak pijawka ssących jej sutki. Drażnił ją widokiem pomalowanych na niebiesko paznokci, którymi Melody gładziła jej najbardziej wilgotne, najbardziej intymne miejsca. Przypominał muśnięcia miedzianych piersi o czoło, gdy Rachel się pochylała, by całować jej usta.

Lata później, kiedy leżała w łóżku obok spoconego męża, który chrapał po zaspokojeniu swoich prymitywnych żądz, On wchodził do jej umysłu i zdradzał wynaturzone sekrety ciała. Pokazywał sztuczki mające sprawić, że członek mężczyzny stanie się twardszy i będzie stał dłużej. Odrzucała większość tej wiedzy świadoma, że mąż zacząłby się zastanawiać nad jej demoralizacją. Byłby ciekaw, gdzie się nauczyła takiego zepsucia. Uważałby ją za dziwkę, ale z jękiem przeżywał orgazmy. Pod wpływem tych wizji wilgoć zalewała jej nogi, a ręce zaciskały się bezsilnie. On pokazał jej również, jak mogłaby skusić przyjaciółki, żeby dosiadły jej męża i ją, aby wspólnie się pieprzyć w mokrej od potu pościeli. Pokazał jej to wszystko i więcej, i bez wątpienia im pokazywał to samo. Może w przypadku Rhondy robił ukłon w stronę sadystycznych upodobań, wzbogacając wizje

biczami, gorsetami i upokarzaniem. Może Melody fantazjowała o szeregach zniewieściałych, choć troskliwych mężczyzn, którzy brali ją w każdy otwór i zostawiali kwiaty wokół jej wysuszonego ciała.

Karen odpędziła erotyczne myśli, z którymi walczyła przez całe życie. Rhonda była głupia, jeśli wierzyła, że gra z Rachel-Angeliką zakończy Przymierze. On delectował się zabawami, w jakie je wciągał. Uwielbiał, gdy pod wpływem wizji twardniały im sutki. Śmiał się z żądry, jaką budził w ich cipkach.

W głębi serca Karen czuła, że to wszystko wcale nie zbliża się do końca. Wszystkie właśnie zaczęły zupełnie nowy rozdział.

Rozdział XIII

Cindy pocałowała go na pożegnanie z energią i wesołością prawdziwego rannego ptaszka. Joe, wciąż w spodniach od dresu, miał rozczochrane włosy i szczecinę na twarzy. Wpuścił ją pierwszą pod prysznic, ale teraz wyglądało na to, że spóźni się do pracy. W tym tygodniu padło na niego: miał sobotni dyżur.

Rzucił tęskne spojrzenie w głąb ciemnej kuchni i z rezygnacją pokręcił głową. Tego ranka musiał się obejść bez kawy.

Ciężkim krokiem dobrnął do łazienki i zdecydował, że pięciominutowy tusz nikomu nie zaszkodzi. Wyszedł spod prysznicza po kwadransie, ale czy ktoś mierzył mu czas?

Niedługo później był w drodze, ubrany w świeżą niebieską koszulę i dżinsy. Wciąż ściskało go w dołku, jakby strach utkwiał mu w żołądku niczym burrito, które nie wie, kiedy ma dać się strawić.

Bał się o Cindy. Bał się o siebie.

Prosiła go o spotkanie wieczorem na Górze. W ostatnim miejscu, w jakim miał ochotę się zjawić. Jednak nie chciała ustąpić.

- Jeśli nie przyjedziesz, po prostu pójdę do domu. - Uśmiechnęła się, nonszalanckim gestem odrzucając jasne włosy na plecy. Wiedziała, że nie pozwoli, aby samotnie wracała stamtąd po zmroku.

Podobnie jak on to wiedział.

Z drugiej strony sama mogłaby być bezpieczniejsza. Chodziła tam od tygodni i nic się jej nie stało. A jeśli to coś umie czytać w myślach? Zajrzało do jego głowy w jaskiniach. A jeśli dopadnie go na szczycie? A jeśli dzięki niemu odkryje pochodzenie dziewczyny? Może nawet

posłuży się nim, żeby zepchnął ją z urwiska!

Potrzebował więcej informacji. Musiał w jakiś sposób dowiedzieć się czegoś więcej o tej istocie. Czym była? Od jak dawna polowała w pobliżu Terrel?

Jak mógłby się jej pozbyć?

Rozwiązanie albo przynajmniej wstęp do rozwiązania wpadł mu do głowy w porze lunchu. Wstąpił do „Książek i drobiazgów”, gdzie lubił zabijać czas. Postanowił tym razem przejrzeć dział okultystyczny. Nie znalazł niczego ciekawego. Jedyna praktyczna książka, o poltergeistach, zawierała tylko jedną sensowną radę, jak się uwolnić od nadnaturalnych szkodników: zmienić adres.

Ale przypomniał sobie o książce od George’a i postanowił ją doczytać. Być może znajdzie w niej coś pożytecznego. Był ciekaw, co jest napisane na temat opętania.

Obok półki okultystycznej leżała książka o Dizzym Gillespie. Dalej tom o Billu Cosbym autorstwa Billa Cosby’ego. Były to nowe biografie dla masowego odbiorcy, ale pomiędzy nimi leżały starsze książki. Oprawione w czerwoną skórę opowiadały o sławnych ludziach. I o nieco mniej sławnych ludziach. Wyjął jedną z nich, skuszony ozdobnymi złotymi literami na grzbiecie. „Dziennik Arthura Godwyna” - oznajmiał tytuł. Nie miał pojęcia, kim był Arthur Godwyn.

Ale ta książka podsunęła mu pewien pomysł.

„Dziennik...”

Coś mu się przypomniało.

Z artykułów poświęconych historii Terrel wiedział, że kiedyś na szczycie urwiska stała latarnia morska. Najwcześniejsze doniesienia o samobójcach pochodziły z czasów, gdy ona jeszcze oświetlała morze. Zniszczenie

latarni nie pociągnęło za sobą unicestwienia istoty, która wydawała się związana z tym miejscem. Gdyby duch nawiedzał latarnię, czy nie zniknąłby razem z nią?

W dzieciństwie Joe spędził z rodzicami wakacje w Nowej Anglii. Zwiedzili między innymi latarnię na skalistym cyplu nad Atlantykiem. Pamiętał wilgotne kamienne stopnie prowadzące na szczyt, gdzie płonąła wielka lampa. Pamiętał również schody wiodące w dół, pod ziemię - do schronu sztormowego. Tam uciekał latarnik, gdy przebywanie na powierzchni stawało się zbyt niebezpieczne.

Czy latarnia w Terrel mogła być pod tym względem podobna?

A jeśli latarnia nie tylko chroniła statki przed rozbiciem się o brzeg, ale również strzegła wejścia do kryjówki pierwotnego zła? Właśnie sztormowy schron latarni mógł być wejściem do podziemnego legowiska demona!

Ale dlaczego Terrel? Czy latarnik wezwał diabła? Czy pod gruzami latarni mogły znajdować się jakieś notatki lub książki, które rzuciłyby światło na naturę złowrogiej istoty?

Joe wiedział, że to strzał w ciemno, ale doszedł do przekonania, że jeśli zachowało się cokolwiek na temat demona, to tylko pod ziemią. Może był na właściwym tropie, gdy dołączył do Badaczy Urwiska? Tylko po prostu trafił w niewłaściwe miejsce...

Obiecał sobie, że wieczorem przed spotkaniem z Cindy rozejrzy się dokładniej na urwisku.

I przy odrobinie szczęścia znajdzie schody do piekła.

Rozdział XIV

Szum rzeki stopniowo cichł od ogłuszającego ryku do stłumionego szmeru, gdy Ken szedł nierówną ścieżką w kierunku czegoś, co - jak miał nadzieję - okaże się wyjściem z podziemnego labiryntu. Wolał nie myśleć, że szlak doprowadzi go do dołu pełnego czarnej wody, zamiast do oceanu. Ale w gruncie rzeczy nie sądził, by tak się stało. Wielka jaskinia musiała kiedyś stanowić główne łóżysko rzeki. Przypuszczał, że przecinała górę i wychodziła na plażę. Wiele takich wylotów znajdowało się na brzegu oceanu.

„Dlaczego nie zabrałem kumpla?” - beształ się Ken bez końca. Teraz było za późno. Błądził pod ziemią, nie mógł znikąd wezwać pomocy. Nie miał liny, która wyciągnęłaby go w bezpieczne miejsce.

Wyobrażenia podsuwała makabryczne obrazy, które migały mu przed oczami niczym slajdy.

„Sposoby umierania w jaskini, nr 42” - głosił podpis pod jednym z nich. Tutaj Ken potyka się i spada do szczeliny w skalnym podłożu. Nie może wyjść. Złamana kość udowa niczym biały sopel sterczy z krwawej dziury w dzinsach. A on leży, patrząc na odłamki kości, z bezgłośnym krzykiem zamarłym na ustach.

Slajd „Sposoby umierania w jaskini, nr 54”, jeszcze lepszy, był faworytem podświadomości Brownsella. Wychudzony grotolaz brnie niekończącym się korytarzem śliskich, szarzielonych ścianach, uderzając głową i ramionami o ostre występy. Nie dba o ból. Za nim mrugają liczne paciorkowate ślepia, w których płonie głód. Oczy ścigają go przez ciemność. Od czasu do czasu podchodzą tak blisko, że widać brązowe futro i długie różowe ogony. I zęby. Po dwa, żółte i szpiczaste. Stado z cichym szmerem ściga

Kena w mrocznym labiryncie. W labiryncie, z którego nie ma wyjścia.

Brownsell uderzył się w twarz.

- Przestań! - krzyknął głośno. - Dość tego.

„Znajdę wyjście - powtarzał sobie w duchu. - Znajdę wyjście. I może nawet jaskinię, która będzie warta tych wszystkich męczarni” - podsunęła spokojniejsza część umysłu.

Szedł dalej.

Rozdział XV

Godziny zdawały się rozciągać w tygodnie, ręce Angeliki drętwiały od zmagania ze sznurem. W końcu przestała szarpać węzły. Trzeba przyznać, że Rhonda umiała porządnie je zacisnąć.

Angelika martwiła się przez jakiś czas, czy przyływ nie zaleje pieczary. Słyszała, jak woda przybiera, ale morze nie zajrzało do jaskini. To miało sens. Gdyby przyływ sięgał aż tak daleko, nigdy nie znalazłyby „darów”. Pomimo tego logicznego rozumowania odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała, jak szum fal cichnie. To znaczyło, że wstał nowy dzień. Spędziła noc w miejscu, w którym kiedyś wtulała usta w nagie zakamarki ciała przyjaciółek. Za podszeptem demona. On nigdy nie pozwolił jej o tym zapomnieć.

Kiedyś spała w jego łóżku. Jakie konsekwencje poniesie tym razem?

Coś usłyszała. Głos.

Podniosła głowę i nadstawiła ucha. Dziewczyny wróciły? Czy znów będą ją dręczyć? A może zrozumiały, że naprawdę nie może im pomóc i wreszcie ją uwolnią?

- ...z moim imieniem, tak - dobiegło ją słabe echo. Bardziej mamrotanie niż rozmowa. To nie był głos Karen ani Rhondy. Ani Moniki.

- Ktoś tam jest?! - zawołała i natychmiast poczuła się głupio. Ale czy mogła pogorszyć swoje położenie?

Głos ucichł. Angelika wyteżyła słuch. Tylko daleki plusk fal zakłócał ciszę. Nagle usłyszała rumor, jakby wapienny głaz spadł na ziemię parę kroków od niej.

- Tak. - Zabrzmiało to jak odpowiedź na pytanie Angeliki.

Przycupnęła, pragnąc stopić się ze skałą. Jednak jaskinię omiotło oślepiające światło i zatrzymało się na jej twarzy.

- Kim jesteś? - Męski głos, niski i chrapliwy, płynął zza kręgu żółtego blasku.

- Zgaś światło - poprosiła.

- A tak, przepraszam.

Latarka nagle zaświeciła w bok. Przez wir czerwonych i zielonych cętek Angelika zobaczyła zarośniętą twarz dwudziestokilkulatka. Był wysoki, chudy. Brudne brązowe włosy spadały mu na ramiona w splątanych warkoczach. Natychmiast zaszufladkowała go jako studenta. Może filozofii. Pewnie hipis. Jego dżinsy i niebieską flanelową koszulę pokrywały ciemne plamy.

„Jest na dole od jakiegoś czasu” - pomyślała.

- Kim jesteś? - powtórzył.

- Mam na imię Angelika. Przyjaciółki zrobiły mi psikus a i zostawiły mnie tu związaną. Mógłbyś mi pomóc?

- Jestem Ken.

Podszedł i usiadł obok niej. Przyniósł ze sobą smród potu i wodorostów. Zauważyła, że twarz ma umazaną czymś ciemnym. Błotem? Może krwią?

- Ken Brownsell - dodał i uśmiechnął się w taki sposób, że przeniknął ją chłód. - Miałem nadzieję, że odkryję piękną jaskinię. - Wyciągnął brudną rękę i odgarnął włosy z jej czoła. Jego oczy zatrzymały się na rowku pomiędzy piersiami związanej kobiety. - Ta wygląda pięknie.

- Tak - powiedziała Angelika. - Potrafię być miła. Rozwiążesz mi ręce?

Przez pełną minutę wlepiął w nią czarne, puste, szklane kulki oczu. Oczu, które nie ukazywały duszy ani nie zdradzały uczuć, jakie mogłaby zrozumieć.

Znała to spojrzenie. Tak patrzył na nią gwałciciel, którego zabiła. A wcześniej Bernadeta na chwilę przed tym, gdy ostatni raz upadła na ziemię.

- Nie sędę - powiedziały jego usta. Oczy nie wyrażały niczego.

Rozdział XVI

Joe skręcił na znajome miejsce pod szczytem Góry Terrela. Samochód zjechał na pobocze, żwir zachrzęścił pod oponami. Kieran szybko wyciągnął kluczyki, zatrzasnął drzwi i pospieszył ścieżką na skraj urwiska.

Zbliżał się zachód słońca. Nie miał za wiele czasu do przyścia Cindy, a chciał obejrzeć ruiny latarni morskiej. Potem zabierze dziewczynę z urwiska i wyniesie się stąd w diabły. Nagle Chicago przestało być takie dalekie.

Mewa wrzasnęła w górze. Jej przeraźliwy krzyk sprawił, że ciarki przebiegły mu po krzyżu. Żałobny dźwięk, którego wolałby nie usłyszeć ani o nim myśleć. Zmusił się do spojrzenia pod nogi i rozpoczęcia poszukiwań zasypanej dziury w ziemi. Jednak wszędzie były tylko kamienie - od żwiru do głazów wielkości samochodu. Zaczął lawirować wśród tych usypisk.

W szczelinach rosła wątła trawa. „Trzeba być twardym, żeby tutaj przeżyć” - pomyślał, otulając szyję kołnierzem kurtki. Gwizdał przenikliwy wiatr, a za krawędzią urwiska, gdzie błękit oceanu biegł ku szaremu horyzontowi, szybowało leniwie kilka mew. Zdawało się, że nie machają skrzydłami, że tkwią w miejscu. Wisały na niebie podtrzymywane przez prąd powietrza, które z szumem przepływało obok niego i spadało z urwiska i z krawędzi świata. „Świata mew” - dodał jeszcze w myślach. Wtem niemal potknął się o spękane cegły, resztki fundamentu latarni.

Ukłął wpatrzony w gruzy. Linia matowych, czerwonych kamieni zataczała krąg wielki jak dom. Co półtora metra z ziemi sterczały grube białe filary, wszystkie złamane na wysokości niespełna metra. Popękane belki, które wyglądały

jak skamieniałości, leżały w pięciu stosach, przysypane pokruszonymi cegłami i kamieniami. Większa część latarni spadła do oceanu, zostały tylko fragmenty zbyt ciężkie, żeby zdmuchnął je sztormowy wiatr.

Joe powoli obszedł krąg, ostrożnie omijając głązy i splekane drewno. Stąpał cicho jak na cmentarzu.

Bo czy nie był to nagrobek dziesiątków zmarłych?

Spacer wokół resztek fundamentu nie doprowadził do żadnego odkrycia. Joe zobaczył mnóstwo kamieni i gruzu. Nic więcej prócz trawy, która jako jedyna żyła na tym rumowisku.

Zaczął się rozglądać wokół murów latarni. Czy mógł stać tu jakiś inny budynek? Czy pod nim mogło się kryć wejście do schronu sztormowego?

Potem wrócił do kręgu i metodycznie obejrzał połamane filary.

Żaden ani drgnął.

Stanął pośrodku byłej latarni. Tutaj leżały belki na tyle małe, że mógł je podnieść albo odtoczyć.

Na pierwszy ogień wybrał tę, która wyglądała na względnie lekką, i szarpnął mocno.

„Lekka, akurat!” - pomyślał kwaśno.

Ale żwir zachrząścił i belka oderwała się od ziemi. Kieran odrzucił ją na bok.

Pod spodem zobaczył gruz. I podłużny kamień, który wydawał się nienaruszony. Kiedy Joe zgarnął z niego ziemię i skalne okruchy, dostrzegł kamienną krawędź - tak prostą, jakby wykuł ją człowiek, nie przyroda.

„Dobrze, że mam rękawice” - pomyślał, oczyszczając swoje znalezisko. Pokiwał głową, gdy jego przypuszczenia się potwierdziły: to był kamienny stopień. Pewnie ten, który zaczynał długą drogę na sam szczyt latarni.

- Gdzie są schody na górę, tam mogą być schody na dół - mruknął i zaczął grzebać w stercie, szukając najbardziej prawdopodobnego miejsca.

„To jak gra w bierki. - Uśmiechnął się, wracając myślą do czasów dzieciństwa. - Pociągnij niewłaściwy patyczek, a wszystkie się poruszają i przegrasz”. W tym przypadku jedyna różnica polegała na tym, że chciał przegrać. Chciał pociągnąć belkę i sprawić, żeby cała reszta się rozsypała.

„Oczywiście, nie na moją głowę” - dodał w duchu.

Przesunął jakąś niezbyt dużą deskę i nagle zyskał dostęp do spodniej strony większej belki. Jej koniec przyciskały kawałki gruzu wielkości telewizora, ale pociągnął mocno i wszystko wokół zaczęło się przesuwac.

- I rrraz!!! - ryknął i napał całym ciałem. Usłyszał przeciągły jęk, a potem głośny trzask. I grzechot zderzających się kamieni. Cała sterta przesunęła się w lewo. Gdy ciężar nagle zniknął, Joe stracił równowagę i poleciał w ślad za belką, którą ciągle trzymał. Puścił ją, lecz nie utracił pędu, potknął się i wylądował twardo w miejscu, w którym przed chwilą leżał długi na prawie cztery metry kawał drewna.

- Może wystarczy - mruknął i brudną rękawicą starł pot, który spływał z czoła i zalewał oczy. - Sam nie wiem, co próbuję tu udowodnić. Wszystko, co sto lat temu mogło zostać pod ziemią, dawno temu obróciło się w proch.

Przez chwilę leżał z ręką zarzuconą na koniec spróchniałej belki i łapał oddech.

Wtedy poczuł, że coś śmierdzi jak chłodna, pełna robaków ziemia pod kamieniem.

„A może coś więcej?” - pomyślał.

Ogarnął go chłód, jakby znalazł się w zimnym, wilgotnym przeciągu.

Odpełznął kawałek. I jeszcze trochę. Wetknął głowę pod wielki kamienny filar zawalony ceglami i drewnem. Ledwo oddychał ze strachu, że to wszystko na niego runie.

Tutaj powietrze wydawało się chłodniejsze niż pół metra wyżej. Wsunął ręce pod niską półkę skały.

Podłoże urwało się pod jego dłoń.

Ostrożnie zbadał palcami krawędź otworu, modląc się, żeby nic go nie ugryzło. Piętnaście centymetrów niżej namacał płaską powierzchnię. Wyciągnął rękę i jakieś trzydzieści centymetrów niżej trafił na następną krawędź.

Schody. Schody w głąb góry. Schody do legowiska diabła.

Kieran uśmiechnął się obłąkańczo. Dopadnie sukinsyna w jego kryjówce!

Zdwoił wysiłki, odrzucając cegły, kamienie i drewno. Odsłaniał zejście, uważając, żeby spiętrzony gruz nie runął na niego. Po pół godzinie przetaił ręką brudną, mokrą od potu twarz. Odsunął się i spojrzał z podziwem na wynik swojej pracy.

Kamienny stopień. Poniżej drugi. I następny. Znikały w dole, w czerni wnętrza góry.

Wyjął latarkę i zarzucił plecak na ramiona. Postawił ubłocony but na pierwszym stopniu. Odwrócił się, popatrzył na samochód ledwo widoczny z tego miejsca. Spojrzał z powrotem w czarną dziurę. Po chwili zaczął schodzić na rękach i kolanach plecami do piętrzącego się nad nim gruzu.

„Jak drabina do piekła” - pomyślał.

Naliczył trzynaście stopni. Na dole wyprostował się i popatrzył w górę, w maleńki otwór, przez który zaglądało jasne niebo. Wydawało się nieprawdopodobnie dalekie.

Joe ostrożnie obrócił się, świecąc wkoło latarką. Stał w wąskim korytarzu, który kilka kroków dalej skręcał w lewo,

biegnąc równolegle do krawędzi urwiska. Na stropie, podłodze i ścianach Joe dostrzegł kamienne płyty. Miał wrażenie, że trafił do katakumb.

Wrażenie nasiliło się, gdy skręcił. Echo kroków dudniło głucho po korytarzu, który doprowadził Kierana do następnych schodów. Znowu trzynaście stopni.

Tutaj kamienne płyty ustąpiły z grubsza obciosanej szarej skale. Joe szedł teraz wolniej. Ucichło krzepiące, znajome poświstywanie wiatru i krzyki mew. Tylko jego kroki mąciły ciszę. I bicie serca. Ale ten dźwięk nie podnosił go na duchu.

Zamarł, gdy coś poruszyło się za nim. Po chwili znowu usłyszał hałas. Szuranie, jakby kroki. Grzechot spadającego kamyka.

Cholera, że też nie zabrał broni! Nie spodziewał się, że może napotkać kogoś, kto zechce mu przeszkodzić w czasie tej wyprawy. Głupie założenie! Joe przypomniał sobie, co demon zrobił Angelice przy drodze niedaleko stąd. Sam jej nie skrzywdził. Posłużył się inną osobą.

- Joe? - usłyszał.

Serce zamarło mu w piersi.

- Joe, jesteś tam?

Odetchnął z ulgą. To Cindy. To tylko Cindy! Do licha, jak go znalazła?

- Tak! - odkrzyknął. - Zostań tam, gdzie jesteś, zaraz do ciebie przyjdę.

Odwrócił się i wszedł po schodach prowadzących do górnego korytarza. Ona już tam była.

- Znalazłam twój wóz, lecz ani śladu ciebie. Rozejrzałam się i zobaczyłam, że ktoś poruszył gruz po starej latarni. Odgadłam, że bawisz się w archeologa.

- Przeprowadzałem małe dochodzenie, to wszystko. Wracajmy.

Ale dziewczyna zaczęła schodzić.

- Nie - powiedziała. - To cudowne. Co jest na dole?

- Wrócimy tu kiedy indziej - skłamał. - Nie jesteś odpowiednio ubrana.

Cindy pogładziła białą bawełnianą koszulkę i wzruszyła ramionami.

- Jeśli się pobrudzi, to wyrzucę. Mam ją od wieków.

- Chodziło mi bardziej o spodenki.

- Masz im coś do zarzucenia? - Z uśmiechem pokręciła głową. - Idziemy. Wygodne do chodzenia i wspinaczki... i do innych rzeczy!

Wyminęła go. Joe ruszył za dziewczyną z powrotem w głąb góry. Przed oczami miał jej spodenki - obcisłe, elastyczne, jasnoniebieskie. Zauważył, że bardzo ładnie opinają jej uda i pośladki.

Rozdział XVII

Ken usłyszał głos gdzieś przed nim. Chyba kobiecy. To obłąd! Kto inny mógł zejść tak głęboko w trzewia góry? Czyżby ktoś już się ubiegał o jego nagrodę?

Przyspieszył i dotarł do rozwidlenia tunelu. Bez namysłu wybrał prawą odnogę. Prowadziła w dół, ale po niespełna dziesięciu krokach przegradzała ją skalna ściana.

„Cholera!”

Zawracając, spostrzegł czarną pustkę z lewej strony. Minał ją wcześniej, myśląc, że to szczelina. Teraz zaświecił w głąb i zobaczył, że jest większa, niż się zdawało. Otwór wąski na górze i na dole, ale pośrodku szeroki, jakby wyrwany przez wybuch bomby. Brownsell przestąpił dolną krawędź, wsunął głowę pod górną.

Podłoże było piaszczyste - zapewne kiedyś sięgało tu morze. Zbliżał się do wyjścia!

Może dotarł tu głos kogoś, kto pływał w zatoce? Więc był aż tak blisko?! Ale gdzie szum fal? Nie słyszał ich... a może...

Nie! Słyszał. Cichy, jednak charakterystyczny dźwięk. Ruszył przez zasłaną piaskiem komorę. Wtedy ją zobaczył.

Siedziała pod daleką ścianą. Kruczowłosa piękność ubrana w jakiś zwariowany strój w kolorze purpury i złota. Workowate spodnie lśniły metalicznie w świetle jego latarki. A bluzka... trzy guziki były rozpięte. Nawet w nikłym blasku dostrzegł kragłą pierś.

- *Chcesz ją, Ken?*

Głos brzmiał jak z komputera w „Odysei kosmicznej 2001”. Może trochę jak Hannibala Lectera. Ale nikogo nie widział.

- *Jest twoja. Oszczędziłem ją dla ciebie. Przedstaw się. Uznasz, że jest... urocza, jak myślę.*

- Kim jesteś? - zapytał. Miał zastrzeżenia do tej transakcji, lecz gotów był przyjąć nagrodę.

- Zgaś światło - jęknęła.

- A tak, przepraszam - powiedział i przesunął lampę, żeby świeciła w bok.

Przedstawiła się, ale prawie jej nie słyszał. Wlepiał oczy w czarny koronkowy stanik, który widział w rozcięciu bluzki.

- Jestem Ken - powiedział, nie odrywając oczu od kremowej skóry jej piersi. Poczul gorąco. Chłód rzeki przemieniał się w płynny ogień w jego żyłach. - Ken Brownsell - dodał i wyszczerzył zęby. Nagroda okazała się słodka. Nie jaskinia, której chciałby nadać swoje imię, ale...

- *Ona może dać ci dziecko, które będzie nosić twoje imię. Jak to ci się podoba, Ken?*

Bez słowa wzruszył ramionami.

- Miałem nadzieję, że odkryję piękną jaskinię. - Nie mógł się powstrzymać, musiał jej dotknąć. Jego ręce zaczęły żyć własnym życiem. Poglądził czoło kobiety i poczul, że pot spływa mu po plecach. Wbił oczy we wzgórkę jej piersi, myśląc o SWOJEJ jaskini. - Ta wygląda pięknie.

- Tak - odparła Angelika. - Potrafię być miła. Rozwiązesz mi ręce?

Przesuwał dłoń, chcąc to zrobić, gdy głos rozbrzmiał w jego czaszce.

- *Nie! - wrzasnęła. - Związałem ją, żebyś mógł ją wziąć. Tutaj, w pieczarze. Wbrew jej woli. Tak jest najbardziej przyjemnie.*

- Nie sędzę - odpowiedział Brownsell.

Jego ręka zsunęła się z czoła kobiety, dotknęła jej podbródka i kształtnej szyi, wreszcie zaczęła odpinać kolejne guziki bluzki.

- Boże, proszę, nie - szepnęła. Błagała go wzrokiem, żeby

przestał. A jednak widział w jej oczach zapewnienie, że nie powinien słuchać takich fałszywych skarg. Widział też swoje odbicie. Wyglądał jak potwór.

- *Dobrze* - pochwalił głos. - *Ona naprawdę tego pragnie. Weź ją. Weź ją teraz. I, Ken... baw się dobrze w moim imieniu. Bawcie się oboje...*

Rozdział XVIII

Karen nie mogła odpędzić wrażenia, że dzieje się coś złego. Wrażenie było ledwo uchwytnie, ale towarzyszyło jej przez cały dzień. A jeśli zabiły Angelikę, zostawiając ją związaną w jaskini? Nigdy nie chciała nikogo zabić, a już na pewno nie dawną przyjaciółkę.

„Nie, tylko jej dziecko” - zaśmiała się w głębi duszy.

Wracając myślą do pierwszej wizyty w grocie u stóp Góry Terrela, rozumiała, że zawały sprawę na samym początku. Być może nie wyszłyby żywe z jaskini, gdyby nie przystały na umowę z duchem. Z drugiej strony, zawierając pakt z diabłem, niczego nie zyskały. Żadna z nich nie zrobiła dobrego pożytku z tego, co dostała.

„Pędzel pozwoli ci malować najbardziej realistyczne obrazy, jakie tylko zdołasz sobie wyobrazić. Ten pędzel całował usta świętych i kopulował z zarażonymi waginami piekła” - tak powiedział On, tak obiecał.

Gdy pierwszy i ostatni raz wzięła pędzel do ręki, namalowała niekwestionowane arcydzieło. Coś, co mogłoby zapoczątkować fenomenalną karierę. Ale schowała ten dar, bojąc się nienaturalnej łatwości, z jaką pozwalał jej tworzyć.

Tylko Angelika korzystała ze swojego naszyjnika, choć chyba też nie w pełni. Czy mieszkałaby w rozwalającej się chałupie na przedmieściu, gdyby było inaczej? Do licha, talent, jaki otrzymała, powinien rozślawić ją w całym kraju!

Po namyśle Karen rozumiała, że On nie pozwoliłby na to. Wszystkie próbowały uciec z Terrel, na próżno. Zostały uwięzione tutaj przez ocean, górę i zazdrosnego demona, który żywił się ofiarami z ludzi. Uwięzione przez wybór, jakiego dokonały. Uwięzione przez popełnione morderstwa.

Karen straciła łzę z policzka i ze zmęczeniem przetarła

oczy.

„Czarne, martwe oczy patrzyły na nią, krwawy uśmiech wykrzywił twarz Bernadety... Jego twarz...” - przypomniała sobie.

- Nie! - Potrząsnęła głową, żeby przepędzić tę wizję. Zamknęła drzwi domu i ruszyła do furgonetki. Szła jednak ku niej krokiem skazańca. Nie była pewna, czy wróci z tej wycieczki. Pomimo obietnic ducha nękały ją złe przeczucia. Może ich poświęcenie zamknie krąg śmierci... albo, gdy one umrą, otworzy nowy.

Zapуściła silnik. Może ocali je brutalna energia Rhondy? Z Moniki, gdy chodziło o siłę, nie było żadnego pożytku. Zresztą gdy nie chodziło o siłę, też nie. To u Karen wszystkie szukały rad. Tylko już ich nie miała.

Z przygarbionymi ramionami przejechała sześć przecznicy dzielących ją od domu Rhondy Canady. Skręciła na podjazd, furgonetka podskoczyła na krawężniku. Przez wystarczająco długi czas odgrywała rolę mózgu ich małej grupy. Praktycznie przez całe życie. Teraz była gotowa przejść na emeryturę.

Canady wyszła z domu, zanim samochód stanął. Uśmiechała się w sposób, który Karen uznała za niepokojący i obiecujący.

- Gotowa? - Rhonda posapywała, sadowiąc się w fotelu pasażera.

- Tak - odparła Sander bez przekonania.

- Dowiedzmy się wreszcie, gdzie jest ten cholerny bachor. W końcu zaczniesz mówić. Po nocy w takim miejscu...

- Możliwe.

- O co ci chodzi? - Canady spojrzała na nią ostro. Zmarszczki Rhondy stały się jeszcze głębsze, choć i tak nie było w niej nic z tamtej dziewczyny sprzed lat. Cienie pod

oczami wyglądały jak siniaki.

- To stanie się dzisiaj. - W cichym głosie Karen brzmiała rezygnacja.

- Możliwe.

- Tak, możliwe.

Monika mieszkała po drugiej stronie miasta, za brudnym kempingiem, jak na ironię nazwanym „Wiszące ogrody”, i wieżą ciśnięć. W okolicy stało tylko kilka budynków, wszystkie stare, ponad pięćdziesięcioletnie. Wysokie, gęste drzewa odgradzały chylący się ku ruinie dom od stojących po sąsiedzku zdewastowanych przyczep mieszkalnych z lat pięćdziesiątych. Monika wyszła, gdy tylko Karen zatrąbiła. Szurała nogami jak staruszka zmierzająca do apteki.

„Zwyczajna z nas drużyna” - pomyślała Sander.

- Co tam masz? - zapytała Rhonda, gdy Monika usiadła z tyłu i położyła torebkę na siedzeniu.

- Zrobiłam parę kanapek z szynką. - Głos drżał jej lekko. - Pomyślałam, że Angelika może być głodna po nocy.

Canady parsknęła śmiechem. Potężny, gromki śmiech zahuczał w furgonetce. Karen uśmiechnęła się na przekór sobie.

„Bernadeta parsknęła niskim, złym śmiechem, słona woda ściekała z jej ust, krople rozbryzgiwały się, chłodząc nagie, usmarowane krwią ciała dziewczyn...” - zamrugła, mocniej ściskając kierownicę, przepędzając wspomnienia.

- Założę się, że ma inne zmartwienia niż jedzenie - powiedziała ich gruba przyjaciółka. - Nie dawaj jej niczego za darmo. Jak nie, znowu zostawimy ją na noc.

Monika przytaknęła. Milczały. Tylko warkot silnika wypełniał kabinę, gdy furgonetka jechała przez Terrel, a potem drogą na plażę. Karen na chwilę zapomniała o tym, po co tu przyjechały. Słońce chyliło się ku zachodowi, krwista

pomarańcza na tle aksamitnego błękitu. Pomyślała, że to najpiękniejszy widok, jaki ujrzała w życiu.

„Miejmy nadzieję, że zobaczymy jeszcze słońce” - szepnęła do siebie w duchu i przekręciła kluczyk, żeby zgasić silnik.

- Chodźmy znaleźć dzieciaka do zabicia - warknęła Rhonda i zarechotała złośliwie.

Zadna się nie roześmiała.

Karen wciąż słyszała przewrotnie łagodny głos: „Zawrzyjmy małe Przymierze”.

Rozdział XIX

Chłodno - powiedziała Cindy, przyciskając ręce do piersi.

- Może zawrócimy? - spytał Joe.

- Nie. - Zatrzymała się i odwróciła, żeby na niego popatrzeć. W jego oczach wyczytała zmartwienie, lecz źle je zrozumiała. - Nic mi nie jest. Zszedłeś na dół, bo czegoś szukasz, a ja chcę ci pomóc. Świeć przed siebie, idziemy dalej!

Szli ponad dziesięć minut. Korytarz prowadził w dół, stopniowo robiło się coraz zimniej. Kieran był przekonany, że będą musieli zawrócić z obawy przed zabłądzeniem w labiryncie tuneli. Ale nie napotkali żadnych odnóg.

Szary wapienny korytarz, zimny i tak niski, że musieli iść lekko pochyleni, zdawał się ciągnąć bez końca. Ich kroki budziły niesamowite echa, gdy schodzili coraz niżej. Joe zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił strasznego błędu, rozpoczynając te poszukiwania. A zwłaszcza zabierając ze sobą Cindy. Co, jeśli strop zarwie się gdzieś za nimi? Nie będzie innej drogi, tylko w dół. A jeśli latarka zgaśnie...

Daremnie walczył z narastającym lękiem, który ścisnął go w dołku. Cindy mknęła przed nim, ucieleśnienie zmysłowej

młodości w obcisłych spodenkach. Zaskoczyło go, że tak szybko zaczęło mu na niej zależeć. Po wyjeździe z Chicago wyrzekł się kobiet. Nie chciał brać na siebie odpowiedzialności. No i w ciągu miesiąca stał się odpowiedzialny nie za jedną, ale za dwie kobiety.

Które, jak się okazało, były matką i córką. Serce zamarło mu w piersi na tę myśl. Cholera... w co on się wpakował?

- Joe, spójrz! - krzyknęła Cindy. Wskazywała przed siebie i w prawo.

Tunel się rozszerzał i w dali coś zaśniło w świetle latarki. Przyspieszyli kroku i parę sekund później weszli do szerokiej jaskini. Joe powoli zatoczył krąg, oświetlając ściany.

Oboje wstrzymali oddech.

Wnętrze płonęło odbitym światłem jak w kalejdoskopie. Blask łamał się, wzmacniał i wracał w baśniowej tęczy kolorów. Kieran w życiu nie widział niczego piękniejszego.

- Jak w ogromnej geodzie - szepnęła Cindy.

- Masz rację.

- To niewiarygodne!

Joe zdjął plecak i położył go w wejściu do tunelu, którym przyszli. Trzy inne korytarze wychodziły z roziskrzonej pieczary w równych odległościach jeden od drugiego. Ich wyloty były łagodnie zaokrąglone, niemal identyczne. Kieran wolał nie zgadywać, który prowadzi na powierzchnię. W tej grocie po dwóch czy trzech obrotach każdy mógł stracić orientację.

- Powinny przychodzić tu wycieczki - powiedziała dziewczyna, idąc wzdłuż ściany, delikatnie pieszcząc różowe i przejrzyste kryształki. Wróciła do Joego z wielkim uśmiechem na twarzy. Energicznie pokiwała głową, ścisnęła ręce i potrząsnęła nimi w powietrzu.

- Tutaj mieszka.

- Kto?

- On! - Jej oczy stały się senne, spojrzenie straciło ostrość.

- Duch urwiska.

Określiła się jak tancerka, wyciągając ręce w stronę sklepienia.

- Jesteś tu? - zawołała.

- Nie, Cindy, nie rób tego!

- Wszystko w porządku. Rozmawiałam z Nim wcześniej. Jest bardzo miły.

Kieran miał wrażenie, że niewidzialna lawina przygniata mu pierś.

Podbiegł do dziewczyny, chwycił ją za ramiona i zatrzymał.

- Co to znaczy, że z nim rozmawiałaś? Nie mówiłaś mi o tym.

- Nie muszę ci mówić o każdym, z kim rozmawiam - odparła, wysuwając dolną wargę. - A poza tym wiedziałam, że nie zrozumiesz.

- Cindy, to coś zabija ludzi! Byłoby lepiej, gdyby się nie dowiedziało o twoim istnieniu, a ty mówisz, że rozmawiacie?!

Rozejrzała się po jaskini, omijając wzrokiem jego twarz.

- Powiedział, że nie zrozumiesz. Dlatego ci nie powiedziałam. Dlatego spędzałam tyle czasu na górze. On wchodzi mi do głowy i sprawia... że czuję się dobrze. Nie zrobi mi krzywdy. Wiem.

Joe nie wierzył własnym uszom. Starał się ją ochronić przed istotą z urwiska, a ona z nią gawędziła. Pomyślał swoim dochodzeniu i spróbował sobie przypomnieć, co powiedział Cindy... czy coś zdradził?

- Dobrze, powiedz mi - zaczął, popychając ją, żeby usiadła na ziemi - powiedz mi, co ci powiedział. Mówił coś o mnie?

- Mówi miłe rzeczy. Mówi, że jestem piękna i... i kiedy leżę na urwisku w blasku księżyca, dzięki niemu spowija mnie ciepło. Czuję się kochana. Nie robi mi krzywdy. I o nic nie prosi. Tylko raz... Tamtej nocy, kiedy szukałeś Angeliki, poprosił, żebym się tobą zajęła, bo nie chciał, żebyś Mu przeszkodził.

- Mną zajęła? - Kieran odsunął się przerażony. - To znaczy, że wszystko, co robiliśmy w samochodzie... Robiłaś to tylko po to, żeby sprawić mu przyjemność?

- Nie, głuptasie! Robiłam to dla ciebie. On tylko trochę mnie... popchnął, to wszystko.

- Popchnął tak samo, jak tych ludzi z urwiska?

- Tak, zapewne - odparła bez strachu w głosie.

- Cindy, ten potwór zabił twój chłopka! I kto wie, ile innych osób.

- Nie. - Pokręciła głową. - On nie zabił Jamesa, zrobiła to jego matka. I James wcale nie umarł, nie naprawdę.

Spojrzała w ciemność pieczary.

- Czuję go przy sobie nawet w tej chwili.

Joe potrząsnął ją za ramiona teraz naprawdę przestraszony. Jak mógł ją chronić, skoro z własnej woli uległa tej istocie?

Spojrzała na niego, jej oczy jaśniały z podniecenia.

- Zrzuca ich ciała, ale ratuje dusze. Rozmawiałam z nimi, z wieloma. Z Jamesem, Bernadetą, Bobem, Billem... z młodymi, starymi, podróżnymi... Są tutaj wszyscy, w Nim. Czasami w ciemności na szczycie urwiska On pozwala Jamesowi przyjść do mnie, rozmawiać... uwielbiam te rozmowy.

Jej głos się wyciszył. Kieran wstał.

„To istny obłęd! - myślał. - Ona jest obłąkana. Jak mogła wierzyć, że rozmawia z morderczym duchem tak, jakby był to czuły kochanek?!”

- *Bo jestem czułym kochankiem.*

Podskoczył. Obrócił się na pięcie, patrząc w głąb ciemnych tuneli wychodzących z tego diamentowego pałacu. Cindy wciąż siedziała nieświadoma strachu Joego.

- *Tutaj* - powiedział duch i reporter poczuł, że jego oczy przyciąga tunel leżący na lewo od tego, którym weszli. - *Wierzę, że znajdziesz tam to, czego szukasz. Niebawem wrócę. W tej chwili jestem zajęty innymi sprawami. Baw się dobrze.*

- O co chodzi? - zapytała dziewczyna.

Serce Kierana waliło jak młot pneumatyczny.

- Słyszałaś go?

- Nie. Nie rozmawiałam z Nim dzisiaj. Co ci powiedział? - Uśmiechnęła się. - Och, Joe, to cudowne! Ty też Go słyszysz!

Pokręcił głową i odsunął się od niej jeszcze dalej. Tunel, który przyciągnął jego spojrzenie, wiódł do bocznej małej komory. Tam ujrzał to, czego szukał.

Książkę.

Komora, w zasadzie wnęka wycięta w szarej skale wzgórza, miała zaledwie półtora metra szerokości i tyle samo głębokości. W ścianie tkwiła gruba drewniana półka, a na niej leżał jakiś tom w ciemnej skórzanej oprawie. Pokrywała ją warstwa kurzu.

Joe na chwilę kompletnie zapomniał o Cindy. Wyciągnął rękę po książkę.

Skóra zaskrzypiała, gdy podniósł okładkę. Ale stronicie nie zaszeleściły, posklejane chłodną wilgocią góry. Drżącymi palcami chwycił pierwszą kartkę, starając się jej nie rozdrzeć.

Niechący oderwał jednak róg sklejoną z następnym. Kieran ze zdumieniem i grozą przeczytał tekst - nieco rozmyty, ale wykaligrafowany starannym pismem:

DZIENNIK
BRODERICKA TERRELA
*Rozpoczęty dwudziestego pierwszego
kwietnia Roku Pańskiego 1893.*

Piękne, ozdobne litery wzbudziły w nim podziw. W epoce drukarek i komputerów ludzie przestali przywiązywać wagę do charakteru pisma.

Zafascynowany ostrożnie przewrócił kartkę i zaczął czytać dziennik człowieka, który ponad sto lat wcześniej założył miasto w pobliżu urwiska.

Piszę te słowa ku przestrodze i dla wyjaśnienia swoich poczynań. Noc jest długa i zimna, nawet w środku upalnego lata. Skrywa życie istot, które lepiej uważać za martwe. Lecz śmierć nie jest końcem. Dopóki ludzie to rozumieją, dopóki pozostaną wierni swej wierze i nie ulegną kuszącym kłom ciemności, wieść będą długie i owocne życie. Zadaj się ze stworami nocy, a spotkasz się ze swoim przeznaczeniem.

„O co chodziło staremu durniowi?” - pomyślał Joe, potrząsając głową.

Przeskoczył parę stron, potem znów ostrożnie rozdzielił dwie pomarszczone, odbarwione kartki welinowego papieru. I znów zachwycił się odkryciem. Pierwszorzędny materiał badawczy! Coś, co uniwersyteckie biblioteki przechowują w działach białych kruków.

23 czerwca 1893

Jak podejrzewałem, duch nie chce ustąpić. Odkąd wyjawilem mu swoje zamiary, nie przestaje ich wykpiwać. Ale czy mogę czekać beczynn timer? Wiem, co nadchodzi. I wiem, że

to, co przybędzie, zabije moje miasto. Moich ludzi.

Ale czy mogę zawrzeć pakt z diabłem, aby ich ocalić?

I za jaką cenę?

Joe zajrzał kawałek dalej:

1 sierpnia 1893

Noc się dłuży, gdy wiadomo, że nikt nie przyplynie. Terrel istnieje dzięki morskiemu handlowi, ale statki zawijają do nas ledwie raz, czasami dwa razy w tygodniu. Przez pozostałe noce moja latarnia świeci na pusty ocean. Pusty przynajmniej dla większości ludzi. Ja byłem na dole. Widziałem syreny i przekłete, dzikie stworzenia, które się czają tuż za zasięgiem wzroku śmiertelnika. Dlaczego? Skąd u mnie dar widzenia tych rzeczy? Pisałem o tym wcześniej, lecz wciąż trudno mi w to uwierzyć. Czyżby naprawdę rozum mi odjęło?

Wyłożę to sobie po raz kolejny. Za niespełna trzy miesiące wichura spustoszy wybrzeże. Będzie to wiatr, jakiego wcześniej tutaj nie widziano. Wicher wyrwie się z grobów w wigilię Wszystkich Świętych i niczym czarna mgła napłynie znad oceanu. Jak deszcz uderzy w dach najwyższej wieży w Terrel. Nie będzie milczał. Nabierze barw i prędkości. Wytłucze okna i połamie grzbiety starożytnych dębów, które przetrwały huragany wieków. A w sercu tego wichru nadlecą złe duchy oceanu. Szczercząc

drapieżne kły, wyssać życie z moich ludzi i zostawić ich na pewną śmierć, a wicher zwali im dachy na głowy. Rankiem Terrel będzie martwe. Cementarzysko gruzu i marzeń. A ja mogę temu zapobiec.

Przynajmniej tak twierdzi duch z urwiska.

Czy jestem szalony, skoro z nim rozmawiam? Czy obiecuje ratunek przed nieszczęściem, jakie tylko Bóg może odwrócić? Czy rozmawiając z nim, skazałem swoją duszę na wieczne potępienie?

Mimo to...

To nie jest bitwa Boga. To walka dusz o dusze. Piekło na ziemi.

Dzisiejszej nocy go wezwę.

Dzisiejszej nocy złożę obietnicę, która trapiła moje serce przez całe ciężkie lato.

Oby bestia wywiązała się z umowy.

Obym nie skończył w piekle za swoją głupotę.

Jak to się zaczęło? Starszy miasta zawarł pakt z diabłem, żeby ochronić swoich ludzi przed... tak naprawdę przed czym? Przed huraganem? Szturmem wampirów? I skąd stary Broderick wiedział, co się stanie? Czy nie był to tylko podstęp? Wybieg ducha, żeby zyskać jego zaufanie?

Joe przerzucił kilka wpisów. Wiele dotyczyło codziennych problemów ludzi, którzy od dawna nie żyli. Ale tu i ówdzie znajdował strzępy informacji.

21 sierpnia 1893

Demon mówi mi, że pochodzi z innego czasu niż ci, którzy chcą wyssać z nas życie. Dzięki temu ma moc, aby powstrzymać

nawałę - obiecuje ocalić nas przed zgubą za określoną cenę: za jedną duszę rocznie strącaną z urwiska w rocznicę zwycięstwa. Ofiarą może być człowiek spoza Terrel, lecz jeśli nikt się nie nadarzy, demon wybierze i wezwie mieszkańca miasta. Jedna śmierć na rok, aby zapobiec setkom nagłych zgonów.

Potworna cena, a targ okrutny, lecz uczciwy. Czy zdołam żyć z takim brzemieniem?

Pytam go, skąd się wziął w tym królestwie, a on nie odpowiada. Wiem jednak, że w jakiś sposób jest powiązany z kryształową komnatą. Możliwe, że jestem pierwszym białym, który ją odwiedził, lecz na pewno nie pierwszym człowiekiem. Być może przed wiekami Indianie wezwali ducha i uwięzili go pod ziemią. Chciał, żebym oddawał mu cześć w jaskini, ja jednak odmówiłem. Powtarzam mu, że czczę jedynie Boga, a on się ze mnie śmieje.

„W takim razie dlaczego nie poprosisz swojego Boga o uratowanie miasta?” - szydzi. Nie mogę odpowiedzieć bez skalania ust bluźnierstwem. Dlatego nic nie mówię.

Jestem przeklęty.

Kieran zamknął księgę i powiódł wzrokiem po żółtych cieniach niszy. To tu wszystko się zaczęło. Albo w pobliżu. Broderick Terrel zawarł pakt z demonem, aby ochronić miasto przed jakimś nieszczęściem. Prawdziwym czy wyobrażonym - to już nie miało znaczenia. Nadszedł czas zerwania umowy. Czas, żeby duch przestał prześladować

grupę pechowych dziewcząt, które przed laty przypadkiem zaszyły do jego kryjówki.

Nagle Joe przypomniał sobie, że córkę jednej z tych kobiet zostawił samą w ciemności.

Zabrał książkę i powoli wrócił do głównej pieczary. Kryształy mrugały jak gwiazdy, gdy światło pomykało po ich powierzchniach.

- Cindy?

Rozejrzył się po komorze, ale nigdzie jej nie zobaczył.

- Cindy, gdzie jesteś?!

„Cholera!” - zaklął w duchu.

Zajrzał w głąb środkowego korytarza, który po paru krokach zwązał się w tunel dość szeroki, żeby mogła przejść tędy bokiem szczupła osoba. O ile nie cierpiała na klaustrofobię.

Znowu wykrzyknął imię dziewczyny. Jego głos zawisł w pustym powietrzu jak drwina.

Ostatni korytarz wiódł w dół, zachowując stałą szerokość, ale Joe zatrzymał się po przejściu kilku metrów. Weszłaby tutaj czy raczej wróciła na szczyt góry?

- Cindy!!! - zawołał w głąb ciemnego tunelu i słuchał.

Nie doczekał się odpowiedzi.

- Wracam! - krzyknął i wzruszył ramionami. Miał nadzieję, że dziewczyna go wyprzedziła. No i skoro duch mówił, że wróci po załatwieniu innych spraw, wydostanie się z podziemi wyglądało na mądre posunięcie.

Biegnąc, w pięć minut pokonał drogę, której przebycie wcześniej zajęło im kwadrans. Kiedy dopadł ostatnich kamiennych schodów, stanął jak wryty. Po stopniach nie sływało światło.

Zostały zasypane gruzem. Naruszony strop zarwał się i teraz pozostała tylko jedna droga: na dół.

- Nie bardzo mi to pasuje - mruknął. Usiadł na ziemi, wciąż zadyszany po biegu. - Kurwa mać!

Gdzieś w trzewiach tej góry morderczy duch więził Cindy i Angelikę. Joe miał nadzieję, że obie jeszcze żyją. Ale jak mógł im pomóc?

Wycelował latarkę na skórzany dziennik i otworzył go ostrożnie. Może warto wiedzieć, w co się pakował, zanim powędruje korytarzem.

Po pobieżnym przejrzaniu wpisów z sierpnia i września 1893 znalazł ten, którego szukał.

31 października.

Mrużąc oczy, zaczął czytać spłowiałe litery na pomarszczonym starym papierze.

Rozdział XX

Karen Sander zrozumiała, że stało się coś strasznego, gdy tylko postawiła nogę w jaskini. On tam był. W jej głowie. Rechotał z uciechy.

- *W samą porę, dziewczęta* - powiedział. - *Nie chciałem, żeby minęło was przedstawienie.*

Przerażona kobieta popatrzyła na Rhondę Canady. Ta pokiwała głową.

- Też go słyszałaś?

Monika się skrzywiła.

- Czeka na nas? Co to znaczy?

- Przypuszczam... - Karen przegarnęła ręką szpakowate włosy. Wiele z nich zostało jej na palcach. - Przypuszczam, że jest tylko jeden sposób, aby się dowiedzieć.

- A jeśli ona nie żyje? - Monika zatrzymała się przy wejściu.

- A jeśli żyje? - Canady mocną ręką złapała ją za łokieć i poszła przodem.

Ruszyły za nią w milczeniu.

- Słyszysz coś? - zapytała Monika w chwili, gdy Rhonda podniosła dłoń, nakazując ciszę.

Karen nadstawiła ucha w stronę ciemności. Niedalekie morze szumiało w tle jak zakłócenia, ale coś przebijało się przez szum... głosy?

- To Rachel? - szepnęła.

Canady pokiwała głową.

Ale nie sama.

Po cichu, pod ścianą posuwały się do komory, w której wczoraj zostawiły związaną, bezradną Angelikę.

- Niiieeee! - z groty napłynął kobiecy krzyk. Karen przyspieszyła kroku, ale Rhonda podniosła ciężką rękę, żeby

ją zatrzymać.

- Czekaj - szepnęła. - Nie wiemy, co się dzieje. Zajrzyjmy dyskretnie.

Sander niechętnie pokiwała głową, ale gestem ponagliła przyjaciółkę do pośpiechu.

Tymczasem Canady przysłoniła ręką latarkę, która w czarnym jak smoła korytarzu płonęła przyćmionym krwawym blaskiem, z ledwością oświetlając im drogę. Szły szybciej po kamiennej ścieżce. W końcu Rhonda przystanąła i wychyliła się, żeby zajrzeć do groty. Karen i Monika spojrzały nad jej ramieniem.

Światło płynęło z Groty Przymierza. Nikłe, chorobliwie żółte, ale wystarczające, żeby mogły zobaczyć swoją dawną przyjaciółkę. Wciąż związaną, choć niezupełnie w takim samym stanie, w jakim ją zostawiły.

Była teraz naga. I pochylał się nad nią długowłosej, również rozebrany mężczyzna.

- *Jeśli nie da mi pierworodnego dziecka, po prostu wezmę następne* - powiedział głos znikąd. - *Zaraz po tym, jak je zrobię.*

Karen chciała to przerwać, zanim będzie za późno. Nie mogła się jednak ruszyć.

- *Milego oglądania, dziewczęta. Dziękuję za przygotowanie sceny.*

Ze wszystkich sił Sander próbowała ruszyć ręką, nogą, choćby palcem. Jednak ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Stała jak wrośnięta w ziemię, z oczami wlepionymi w głąb jaskini. Znad ramienia Rhondy patrzyła, jak Angelika próbuje kolaniem kopnąć gwałciciela w krocze. On tylko się zaśmiał i przycisnął jej biodra własnymi. Potem oburącz złapał ich dawną przyjaciółkę za głowę, przycisnął usta do jej ust. Kiedy podniósł twarz, Angelika z trudem łapała powietrze.

Splunęła na niego, a on uderzył ją mocno. Policzek poniósł się głośnym echem po grocie i w tym momencie kobieta przestała walczyć. A długowłosej facet wsunął rękę pod brzuch, chwycił członka i wszedł w nią, tak jak On tego żądał.

Słyszając stłumiony szloch przyjaciółki, Karen wiedziała, że nie był delikatny. Duch nie przyćmił umysłu Angeliki, więc tym razem nie czuła przyjemności.

Wciąż nie mogąc się ruszyć, Sander poczuła, jak łza spływa jej po policzku i spada niezauważona na plecy Rhondy.

Historia zatoczyła pełen krąg.

Rozdział XXI

Chodź do mnie, dziecko.

Cindy usłuchała. Widziała plecy Joego. Patrzył na coś w niewielkiej niszy sąsiadującej z główną pieczarą. W kryształowej jaskini było teraz ciemno, ale mimo to widziała wszystko jak w dzień. Wstała i poczuła dziwne, choć znajome drżenie w kroczu.

- *Chodź do mnie. Tędy.*

Poprowadził ją do najdalszego korytarza, a ona szła bez wahania. Wapienne ściany lśniły błękitno-zielonym światłem, podłoże nachylało się w dół.

- Dokąd idziemy? - zapytała cicho.

- *Do bardzo wyjątkowego miejsca.* - Głos grzał jej głowę i serce. Całe ciało wydawało się ciepłe. Nie, gorące! Czują pot płynący spod pach, pomiędzy udami.

- *Nie będzie ci to potrzebne.* - Poczuła, jak jej ręce ściągają białą koszulkę i stanik przez głowę, rzucają jedno i drugie na kamienie. Przystanęła parę kroków dalej, zdjęła buty i wyskoczyła z obcisłych spodenek.

- *Teraz jesteś gotowa przyjść do mnie* - powiedział niskim, aksamitnym głosem bluesmana. Sprawiała Mu przyjemność i czuła się szczęśliwa.

- Ale dokąd? - powtórzyła.

- *Do groty. Do Groty Przymierza.*

31 października 1893

Czuję, jak się gromadzą. Jak błyskawice na nocnym niebie. Ciarki przechodzą mi po plecach pod wpływem ich siły, ich liczby. Dziś rozmawiałem z Malachajem. Zapewnia, że może pohamować nawałę, ja jednak wyczuwam, że się martwi. Curburydzi są

silniejsi niż przypuszczałem. Mam jednak jego obietnicę przypieczętowaną moją krwią. On ochroni Terrel przed tymi szerszeniami nocy, nawet gdyby musiał się wykrwawić.

Jeśli zwycięży, zyska sto dusz. Na mocy naszego przymierza przez sto lat będzie chronić Terrel. Długo po moim odejściu jego niewidzialne oczy będą przeszukiwać zatokę z tej kamiennej latarni i wypatrywać Curburydów, tych przeklętych, kradnących dusze bestii, które się gromadzą, aby tej nocy wzbić się w powietrze nad naszym miastem.

Jeśli przegra, wszyscy zginiemy.

Modlę się do Boga o pomoc.

I o wybaczenie.

Joe oderwał oczy od książki i pokręcił głową. Curburydzi? Porywacze dusz? Przewrócił kartkę, wsuwając paznokcie pomiędzy arkusze i rozklejając je powoli. Drobinę kruchego żółtego papieru zaśmiecały ziemię.

W jakiej bajce żył ten facet?

Ciemność nagle podeszła bliżej. Kieranowi zjeżyły się włosy. Gwałtownie pokręcił głową, próbując przeszyć wzrokiem cienie. Nikogo nie zobaczył, ale...

Zadrżał i mocno ścisnął w zębach kłykieć palca.

„Spokojnie, kolego - pomyślał. - Tylko spokojnie”.

Zdecydowany panować nad strachem spojrział na następną stronę. Musiał wiedzieć więcej o tym, z czym miał do czynienia.

1 listopada 1893

Był to może najgorszy sztorm w historii tego wybrzeża. Teraz w mojej wiosce panuje spokój, mieszkańcy w domowym zaciszu

radują się z przetrwania nawałnicy. Ale oni nie wiedzą. Nie mają pojęcia, jak bliscy byli nie śmierci w rozszalałym żywiole, lecz potępienia, gdyby Curburydzi zabrali ich dusze. Niczym chmara kowbojów na ognistych rumakach upiory przycwałowały na skrzydłach burzy z piekła za oceanem. Gnały, smagając boki nawałnicy biczami niszczycielskiej wichury. Wrzeszczały w nocy tak głośno, że dziw, iż moi ludzie nie pomarli ze strachu.

Ale jak się zdaje, tylko ja byłem świadom szarzy upiorów. Może dobrze. Nikt inny nie powinien żyć z głosami, jakie ja słyszę teraz za każdym razem, gdy zamykam oczy. Nieludzki śmiech. Groźby opętania.

Ale Malachai był z nami zeszłej nocy. Ochronił nas.

Błyskawice, przed którymi kulila się wioska, nie były dziełem Boga ani natury. W ich ogniu płonęły tysiące Curburydów. Starożytny duch palił najeźdźców i wysał ich dusze jak dziecko, które pije lemoniadę przez słomkę. Tuczyl się nimi i rósł na moich oczach. Coś, co zrazu widziałem jako cień posepnego czleka, przybrało postać olbrzyma. I rosnąc, nabierał ciała, przysyłając gwiazdy. Wymachiwał rękami, tłukł i kopał mgliste potwory, póki wszystkich nie strącił z nieba.

Jego śmiech był straszliwy, a uśmiech nikczemny. Ale uchronił nas przed pewnym

unicestwieniem.

Teraz tylko się zastanawiam: za jaką cenę?

„Właśnie, za jaką cenę? - Joe przeskoczył kilka kartek. - Wątek z filmu klasy B albo jakiegoś czytadła” - pomyślał. Z drugiej strony wiedział, że Malachai istnieje. Dotąd nie znał jego imienia, lecz słyszał głos. Trudno było uwierzyć... ale równie trudno nie wierzyć.

21 listopada 1893

Jego przodkowie byli opiekunami. Rozmawiałem z nim często w te ostatnie noce.

Teraz znam jego dzieje.

Wiem, jak Indianie czcili jego i jemu podobnych. Jak Malachai i inni chronili dusze czerwonoskórego ludu przed atakami pożeraczy dusz, którzy wszędzie ciągnęli za Indianami. Jak Curburydzi zbierali bogate żniwo podczas gwałtownych burz. Jak kradli dusze, których nikt nie chronił, i skazywali je na życie w czeluściach. Na piekło potępienia.

Ludzie tacy jak Malachai - jeśli można nazwać ich ludźmi - walczyli z Curburydami. A jednak byli do nich podobni. Żądali dusz od Indian. W czasie dorocznego rytuału Indianie składali ofiary duchowi, który ich chronił. Duch brał dusze... i pożerał. Pożerał ich istotę i stapiał ją z własną. To go wzmacniało, lecz również zmieniało.

Od wigilii Wszystkich Świętych Malachai jest pełen rezerwy i oszczędny w słowach. Boję się. Znacznie bardziej niż wcześniej. On

*jest teraz silniejszy niż kiedykolwiek. Brzuch
ma wypchany złem Curburydów.*

Co ono z niego uczyni?

Joe zamknął dziennik. A zatem... duch stawał się tym, co pożerał, albo przynajmniej przejmował pewne cechy swoich ofiar. To wyjaśniało, jak Cindy może „rozmawiać” z Jamesem i innymi. Ale dusze ludzi z miasta nie zdławiły nagromadzonego zła. Malachai musiałby pożreć cały żeński zakon, żeby zneutralizować truciznę...

„Dość!” - Kieran wiedział teraz, czym był i czym się stał potwór z urwiska. Złośliwym niszczycielem traktującym ludzi jak zabawki. Żerował na ich wątpliwościach, lękach i słabościach. Sam stał się Curburydem.

A on musiał jakoś go powstrzymać.

Musiał uratować Cindy, Angelikę i innych z jego szponów.
Gdyby tylko wiedział jak!

Rozdział XXII

Wrzask Angeliki nie odwiódł Cindy od dalszej wędrówki. Przerażliwy, rozdzierający krzyk złości i pogardy rozgrzał ją jeszcze bardziej. Wniknął w jej głowę i spłynął wzdłuż kręgosłupa niczym płynny ogień. To było rozkoszne. Równie przyjemne jak muskanie wilgotnego, zimnego powietrza o miękkie puszek na kroczu, gdy szła przez mrok korytarza.

Rozkoszne.

Wszystko było takie... rozkoszne.

Przez chwilę dziewczyna myślała, dlaczego nigdy dotąd tak się nie czuła. Dlaczego nie drży z zimna, choć ma gęsią skórę na ramionach i udach? Ale zaraz o tym zapomniała. Fale podniecenia zalewały ją niczym przyływ.

Pławiła się we wrażeniach. Przypuszczała, że nie wszystkie należą do niej. Po nocach spędzonych z duchem na urwisku wiedziała, że On dzielił się z nią swoimi wrażeniami. Wpływał na nią. Rządził.

Ale to było takie miłe...

Ken wbił się w rozwścieczoną kobietę z taką siłą, aż nabrzmiały mu żyły na skroniach. Maleńka cząstka, która wciąż była Kenem, krzyknęła głośniejsz niż kobieta. Zawyla.

- *Nie mów, że o tym nie marzyłeś* - zachichotał w jego czaszce złowieszczy głos. - *Ja tylko daję ci to, czego zawsze chciałeś...*

„Nie, nie, nie, nie, nie!...” - wrzeszczał Brownsell, ale z jego ust płynęło tylko ciche zawrozczenie. Piersi kobiety falowały zgrane z jego ruchami jak miękkie wodny materac, sutki były przekrwione i ciemne. Wyobraził sobie, że są korkami, szpiczastymi nakrętkami, które można przekręcić i wyciągnąć, a potem napić się zimnej wody mineralnej. Tyle

że te zatyczki tamowały nie wodę, ale krew płynącą przez serce.

- *Dlaczego ich nie wyciągniesz? Wyrwij je i spuść z niej krew.*

„Nie. Nie skrzywdzę jej”.

- *Przecież już to robisz. Śmiało, spróbuj!*

Brownsell podniósł rękę i uderzył Angelikę w policzek. Skóra poczerwieniała, ale kobieta nawet nie krzyknęła. Jej milczenie niepokoiło go bardziej niż wcześniejsze wrzaski. Co gorsza, jego kutas poruszał się w niej tak wielki, jak nigdy dotąd. Moc przenikała jego ciało, podsycając tę cechę, przez którą raz czy dwa razy do roku wyjeżdżał z miasta, aby anonimowo wypożyczać takie filmy, jak „Związana i napalona”.

- *Tak, lubisz to, prawda? Daję ludziom tylko to, czego pragną.*

Kenowi trzęsła się ręka, ale znowu ją podniósł. Tym razem uderzył w pierś. Potem wziął w palce grubą brodawkę. Wykrzywił twarz w złym, perwersyjnym uśmiechu.

I wyciągnął korek.

Ból był koszmarny. Płynął w jej żyłach jak kwas, podkurczał palce stóp w spazmach paraliżu.

Ale gorsze od bólu było upokorzenie. Cierpiała, bo nie mogła ruszyć palcem, żeby położyć kres temu, co jej robił. Walił w nią jak w bęben i szczyrzył zęby w uśmiechu, gdy jęczała. Zacisnęła zęby zdecydowana nie okazywać mu, jak bardzo się boi.

A potem złapał ją za sutek i szarpnął.

Mimo woli otworzyła usta i wrzasnęła.

- Niech cię diabli! - zawyła, gdy w piersi zapłonął żywy ogień. Wrzask ucichł, gdy jego pięść spotkała się z jej

szczęką. Świat wokół Angeliki zawirował i poszarzał. Ale nie straciła przytomności.

Nie do końca.

Wciąż niejasno czuła, jak ją gwałci. Czuła ból zadawany przez każde niechciane pchnięcie. Ale gorsza była świadomość, że choć demon opuścił jej umysł, choć nie podsuwał swoich wrażeń, czuła mrowienie przyjemności. Małeńka część Angeliki błagała gwałciciela, żeby wrywał jej włosy, rozgniatął ją, policzkował, czyniąc z niej niewolnicę swego pożądania.

„Krew ściekała na jej piersi i twarz. Wysunęła język, starając się chwytać kropelki. Rhonda pociągnęła rękę Bernadety i krwią przyjaciółki usmarowała jej sutki, a potem pochyliła głowę, żeby posmakować. Wielkie zęby Rhondy musnęły zakrwawiony sutek, a potem ugryzły mocno. Żądzła wybuchła w podbrzuszu Rachel. Przeciągnęła palcami po lepkiem od krwi udzie przyjaciółki. Obie zaczęły chichotać...” - zamknęła oczy. Rozpaczliwie pragnęła to powstrzymać. Nie chciała wspominać krwawej orgii, która odbyła się w tym samym miejscu przed laty. Nie chciała czerpać przyjemności zadanego jej wówczas gwałtu, a jednak marzyła o nim co noc. Nawet wtedy, kiedy próbowała uciec z Terrel.

„Jej ręce otoczyły jego szyję, gdy go dosiadła, a miód pomiędzy jej nogami znowu się zagaęcił, choć przecież krople spermy wciąż ściekały z jej brzucha po orgazmie, jaki przeżyli przed chwilą. Oczy wyszły mu z orbit. Znowu zrobiła się mokra, gdy wydyszał: *Kochałem cię...*”

Nie chciała znów zostać zgwałcona. Nie chciała.

Ale potem szczytowała.

Usłyszała wewnętrzny śmiech i sekretny głos, który wcale nie był głosem ducha z urwiska:

- *Tak, chcesz.*

I jej serce pękło na dwoje.

Joe stał przez chwilę w jaskini.

- Cindy?! - zawołał. Grota odpowiedziała głuchym echem. Światło latarki krzesало tęczowe błyski z kryształów na ścianach. „Jak podziemna dyskotekowa kula, tylko na odwrót” - pomyślał z uśmiechem. Czuł, że coś jest w tej komorze. Coś, co zalaływało powiązaniem z duchem. Ale co? I jak mógłby to wykorzystać?

Rozejrzał się jeszcze raz, zauważając rubinowy żar w dalekim kącie, szmaragdowy odcień płaskiego kamienia pośrodku pieczary.

„Tu jest serce - uznał. - Serce ducha”.

Kręcąc głową, ruszył arterią wiodącą w dół, coraz głębiej w cielsko góry.

„Obłąkana sytuacja” - pomyślał. Zaraz potem zapytał sam siebie: „Bardziej niż starzec werbujący jednego ducha w celu odparcia legionów innych?”.

Chrząknął i ze świstem wciągnął powietrze. Pochylił się, podniósł z ziemi białą bawełnianą koszulkę. Kawałek dalej leżał jedwabny biustonosz.

Rzeczy Cindy!

Przyspieszył. Po przejściu paru metrów znalazł jej spodenki i majtki.

„Co jest, do kurwy nędzy?!”

Szare cienie korytarza przemykały wokół niego coraz szybciej. Biegł, uważając, żeby się nie potknąć i nie wpadać na ściany. Czuł, jak wilgoć zagęszcza powietrze - wyjście od strony oceanu nie mogło być daleko.

Wrzask ścinający krew w żyłach sprawił, że stanął jak wryty.

- Niech cię diabli!

Wyraźnie usłyszał słowa. Kobieta, może Cindy, niezbyt daleko. Chyba że zwodziła go akustyka jaskini.

Ruszył dalej, skręcił...

Miał przed sobą kolejną grootę. Zobaczył w niej czarne włosy Angeliki rozsypane na skalnym podłożu. Zobaczył Kena, szkaradnego Badacza Urwiska i jego biały tyłek, który podnosił się i opadał niczym pompa na nowym polu naftowym.

Ale nie to go zatrzymało.

Przez chwilę jego umysł nie nadążał z przetwarzaniem danych. Cindy, złocista i piękna, kuciała nad czymś w pobliżu, jakby nieświadoma jego obecności. Grzebała w jakiejś torbie czy w worku. Nagle wyprostowała się z szerokim uśmiechem. I zdecydowanym krokiem ruszyła przez jaskinię, przeżąc mięśnie na udach jak drapieznik.

Trzymała w ręku stalowy szpic w kształcie długiego gwoźdźca. Joe rozpoznał hak używany przez grotolazów.

Stał zmrożony do szpiku kości.

„Co do...?”

Pochylona nad kopulującym Kenem dziewczyna zaczęła gładzić go po plecach stalowym szpicem.

- Cindy, nie!!! - Joe wreszcie wyrwał się z odrętwienia i popędził przez jaskinię, żeby wytrącić jej ostrze.

Spóźnił się. Ręka dziewczyny opadła, szpic z młaśnięciem wszedł w sam środek pleców Brownsella. Utkwił w kręgosłupie.

Grotolaz drgnął, gdy trysnęła krew. Wciąż jednak wykonywał pchnięcia.

Kieran chwycił Cindy, choć wierzgała, próbując go odepchnąć.

- Puść mnie!!!

Wyrwała się i podbiegła do Kena. Chwyliła hak jak kulę

na łęku siodła, przycisnęła się do zakrwawionych pleców gwałciciela, a potem objęła je rękami. Usta dziewczyny opadły na łopatkę Brownsella, język wyrysował białą ścieżkę w powiększającej się plamie szkarłatu. Kiedy podniosła głowę, żeby zaczerpnąć powietrza, wargi miała czerwone od krwi.

Angelika znowu krzyknęła. Joe zbliżył się ostrożnie. Zobaczył, jak Ken charczy, jak krwawa piana cieknie mu z ust. Klatka piersiowa wróżki była śliska od jego krwi, ale on wciąż ją pieprzył, nieświadom bólu w plecach, dziewczyny ssącej ranę ani tego, że życie wycieka z niego w rytmicznym strumieniu.

Z całej siły Kieran próbował odciągnąć Cindy, ale wbiła w niego paznokcie i rozorała policzek.

- NIEEE!!! - zawyła i oburącz chwyciła hak, poruszając nim jak dźwignią zmiany biegów. Kiedy trysnęła fontanna krwi, wybuchła śmiechem, nurzając w niej ręce, nacierając sobie piersi i brzuch. Wreszcie ruchy Kena zwolniły. Grotołaz legł ciężko na Angelice, która zaczęła wymiotować.

Ale Cindy dopiero zaczynała.

Potarła rękami zranione plecy Brownsella, potem wyrysowała krwawe linie na swoich policzkach i nakreśliła palcem kręgi wokół piersi. Spojrzała na swoje ręce, a potem z jękiem przeciągnęła nimi pod pępkiem i po udach. Zmieniła pozycję, ustawiając się nad tęnym końcem haka, który wciąż tkwił w plecach Kena.

W tej chwili Joe zrozumiał, że nie są w jaskini sami. Dostrzegł błysk oczu po drugiej stronie pieczary. Po ciemku przebiegł przez grotę. Zobaczył trzy kobiety zastygłe jak posagi. Twarz Karen Sander była mokra od łez, ale usta Rhondy Canady wykrzywiały się w sekretnym uśmiechu. Tylko Monika Kelly miała oczy pozbawione wyrazu, dziwnie

puste.

- Pomożecie mi? - zapytał.

Karen zobaczyła, że do jaskini wchodzi naga dziewczyna. Skrzywiła się. Czy to nie była sympatia chłopaka Rhondy? Czy ten sukinsyn ją też dorwał?

Chciała krzyknąć ostrzegawczo, ale wciąż nie mogła się ruszyć. Potem do jaskini wbiegł ten reporter i poczuła przyływ nadziei. Ile umysłów naraz mogła kontrolować ta istota? Może jeśli wszyscy jednocześnie spróbują się uwolnić...

Na chwilę zamknęła oczy i skupiła całą siłę woli na poruszeniu stopą. Nic z tego. Podniosła powieki i zobaczyła, że reporter szamocze się z Cindy.

Zyskał tylko tyle, że go podrapała. Dziewczyna upadła na ziemię jak futbolista i odepchnęła go na bok. Przywarła do konającego gwałciciela niczym kleszcz. Karen próbowała krzyknąć: „Tutaj!”, ale najcichszy dźwięk nie popłynął z jej ust. Czowała łyzy spływające po twarzy gorącej od daremnych wysiłków. Musiała się uwolnić. Musiała!

Może jej milczące krzyki wywarły jakiś skutek. Nagle Joe popatrzył na nią. Prosto na nią. A potem podszedł.

Czy mógł je uwolnić?

„Pomóż mi! - wrzasnęła w duchu. - Pomóż nam wszystkim!”

Rozdział XXIII

Ból był potworny, a jednak jego ciało kołysało się na przekór temu uczuciu, każde pchnięcie sprawiało mu rozkosz i koszmarnie cierpienie. Jego oddech miał smak miedzi, groza i żądza ścisnęły mu wnętrzności.

Ale Ken rozkoszował się tym uczuciem, tym jing i jang przyjemności i bólu. Podniecała go myśl, że życie wycieka z niego w czasie, gdy rwie na kawałki ciało i psyche drugiej osoby.

A jednak ta jego maleńka, zazdrosna cząstka chciała czegoś więcej. W pewnej chwili przestał widzieć nagie ciało Angeliki, bo przysłoniły je stalagmity i stalaktyty. Fantazje o cudownych jaskiniach towarzyszyły mu częściej niż wstydlive myśli o braniu kobiety w ten sposób.

„Grota Brownsella - baśniowy świat podziemi” - zapraszały billboardy w jego głowie.

- *Mogę dać pewne rzeczy* - wymruczał głos gęsty jak smoła. - *A inne...*

Ciężar na plecach zmienił położenie i Ken poczuł, jak hak wbija się głębiej, mierząc w jego czarne serce.

I śmiech. Purpurowe gwiazdy w jego duszy. Podniósł się. Elektryczny impuls przeszył mu nogi. Upadł na kolana. Czyjeś ręce chwyciły go pod pachy, zmusiły do przykucnięcia. Stał na ugiętych nogach. Spłynęła po nich gorąca ciecz. „Moje siki” - przemknęło mu przez głowę. Nie mógł się jednak zmusić, żeby zerknąć w dół. Patrzył tylko przed siebie, jakby chciał przebić wzrokiem śliską szarą skałę. Wokół niego jak szalona karuzela wirowało nagie, zakrwawione ciało z jasnymi włosami, pociągając go do przodu, nie pozwalając się zatrzymać.

Miał coraz większe kłopoty z koncentracją. Aż znalazł ten

punkt! Umysł uchwycił się go jak skalnego występu. Słodki, ciężki oddech w uchu.

- *Jeszcze kawalek. Jeszcze tylko kawalek.*

Brownsell wzruszył ramionami i brnął dalej.

Co innego mógł zrobić?

Joe chwycił w ręce twarz Karen Sander i potrząsnął nią mocno. Głowa nie stawiała oporu.

- Co się z tobą dzieje?! - ryknął.

Zatrzepotała powiekami, ale nie wyrzekła słowa.

Z wysiłkiem odciągnął ją od pozostałych kobiet. Nie opierała się, lecz też nie pomogła.

Co zrobić? Musiał wyrwać kogoś spod czaru demona. Przyszło mu na myśl, że lada chwila sam może zostać sparaliżowany. Dlaczego ta istota nie zniewoliła go jak innych?

Może miała ubaw, patrząc, jak się miota, jak skacze od jednej osoby do drugiej niczym kulka we flipperze?

Spoliczkował starszą kobietę i skrzywił się, gdy usłyszał klaśnięcie dłoni o jej twarz. Karen zamrugła, łza spłynęła po jej policzku. Nie odezwała się, nie próbowała go powstrzymać. Uniósł rękę do następnego ciosu i zaraz ją opuścił.

Poruszyła ustami.

- Uch...

Kieran pochylił się, przysunął ucho do jej ust.

- Mów do mnie - naciskał. - Śmiało.

Usłyszał cichy syk, a potem szept. Sugestię szeptu. Ale zrozumiał.

- Patrz - powiedziała.

Odwrócił się i zdążył zobaczyć, jak Ken kuśtyka prowadzony przez Cindy. Opuścili grotę tą samą drogą, którą

dziewczyna tu przyszła.

Po ich wyjściu Karen nagle kaszlnęła i ożyła w jego ramionach. Rhonda zaczerpnęła haust powietrza, a Monika osunęła się na ziemię.

- Dobrze się czujesz? - zapytał reporter.

Sander szybko skinęła głową. Struga łez zmoczyła jej twarz. Tym razem wytarła je ze złością, biorąc się w garść.

Joe zostawił ją i wrócił do Angeliki.

Była w okropnym stanie.

Piersi miała posiniaczone, ciemne od krwi. Drżała i płakała, zawodziła cicho jak zwierzę zdychające w pułapce. U jej stóp leżało podarte, brudne ubranie.

- Angelika? - powiedział cicho. - Angeliko, to ja.

Powoli uniosła powieki. Ciemnobrązowe oczy spojrzały na niego z niedowierzaniem.

- Ty, Joe?

Pokiwał głową.

- Nie, tylko nie ty!

- Nic mi nie jest - zapewnił. - Doprowadźmy cię do porządku.

Zaczął rozwiązywać jej rękę.

Kiedy skończył, usiadła i zakryła piersi. Trzęsła się, usta jej drżały, ślina z krwią ściekała na uda. Kieran zaczął pospiesznie ściągać ubranie.

- Weź. - Podał jej koszulę. - Pozwól, wytrę cię.

Angelika potrząsnęła głową i odsunęła się od niego.

Zastygła skulona na ziemi.

- Chodź, kochanie - poprosił, obejmując ją ramieniem. - On może wrócić w każdej chwili.

- Co da ucieczka? - wymamrotała. - On może zrobić z nami, co zechce. I sprawić, że to będzie się nam podobało.

Popatrzyła na niego i wysyczała:

- Podobało mi się.

Joe chwycił ją za ramiona i potrząsnął, próbując sprowokować do stawienia oporu. Angelika znowu zaczęła płakać.

- Nie słyszałeś?! Podobało mi się - jęknęła.

- Musimy jakoś to powstrzymać - powiedział.

Wróżka wyglądała przerażająco z czarnymi smugami tuszu do rzęs i plamami krwi na policzkach. Ze śmiechem oparła się na łokciach, rozmyślnie pokazując zakrwawione, posiniaczone piersi.

- Skądś wiedział, że to sprawi mi przyjemność! - Kolejne łzy spływały jej po twarzy. - Jak możemy to powstrzymać?

Kieran nie odpowiedział. Wytarł koszulą najgorsze ślady jej upokorzenia. Podał Angelice bluzkę i bieliznę. Tym razem ubrała się bez słowa.

- Uwolnił nas - powiedziała Karen Sander, podchodząc do nich wreszcie. - Dlaczego?

- Ma ważniejsze rzeczy do zrobienia? - zapytał Joe.

- Ciebie nigdy nie opętał, prawda?

- Nie. - Pokręcił głową. - Ciekawe dlaczego.

- Tak, dlaczego jesteś taki wyjątkowy? - Rhonda zbliżyła się ciężkim krokiem, niemal wlokąc za sobą Monikę.

Reporter wzruszył ramionami. Podeszedł do wylotu tunelu po stary dziennik Terrela. Rzucił go tam, gdy pobiegł, żeby powstrzymać Cindy od zadżgania Kena.

Usłyszał drżący głos za plecami.

- Może dlatego, że nie jest związany Przymierzem. Nie pochodzi z Terrel - parsknęła gruba Canady.

- Może ducha rajcuje, gdy patrzy, jak się miotam. - Kieran ponownie wzruszył ramionami. - Karmi się naszymi emocjami, naszymi duszami. Może w ruchu byłem mu bardziej przydatny. Ale teraz musimy coś zrobić. On zabrał

Cindy.

Rhonda zachichotała głośno, klepiąc się po udzie. Joe pomyślał, że trochę za bardzo bawi ją ta sytuacja.

- Co zrobimy, mistrzu? - zapytała, nie przestając się śmiać.
- Gonimy za tą małą dziwką dopóki demon znów nie przemieni nas w posągi? Pieprzyć to! Wynośmy się stąd w diabły i wracajmy do miasta, zanim spostrzeże, że nas nie ma.

- Tam też może nas dopaść, jak wiesz - przypomniała Monika piskliwym głosem.

Angelika zapięła ostatni guzik i odgarnęła z twarzy rozczochrane, pozlepiane włosy.

- Może nas dopaść, gdzie tylko zechce. Dlatego to musi skończyć się tutaj. Dzisiaj. W taki czy inny sposób.

- Jeśli Mu powiesz, gdzie jest twój bachor, wszyscy pójdziemy do domu! - warknęła Canady.

Kieran otworzył i zamknął usta. Czy zachowanie w tajemnicy kim naprawdę jest Cindy, miało jeszcze sens? Nie był pewien. Ale wiedział, że ta tłusta Rhonda nie przyłoży ręki, żeby ją ocalić, gdy się dowie. W takim razie może lepiej niczego nie zdradzać. Nawet jeśli Cindy już była opętana.

- Angeliko - zaczął, odwracając się od pozostałych kobiet.
- Byłaś wróżką przez całe życie, prawda?

Skinęła głową.

- Przez większą jego część.

- W takim razie na pewno czytałaś jakieś książki o duchach i okultyzmie, prawda?

Przytaknęła. Jej oczy jakby przygaśły.

- Musiałaś czytać coś, co opisuje, jak przejąć władzę nad duchem. Jak go powstrzymać. Jak zmusić do uległości.

Pokręciła głową.

- Nie, Joe. Nic, co pomogłoby nam w walce z... z tym czymś.

Kieran podniósł rękę.

- Nie. Nie zgadzam się. Nic nie mów, pomyśl przez chwilę. Kiedy ktoś para się czarną magią i wzywa demona, co zapewnia mu nad nim władzę? Dlaczego demony słuchają człowieka?

Angelika zgarbiła się i z zadumą zmarszczyła czoło.

- Jakie są metody sprawowania władzy nad duchem? - dopytywał Joe.

- Nie zgłębiałam tego tematu - zaczęła powoli. - Kiedy przyjął dar demona, w zasadzie nie musiałam nic robić, żeby przepowiadać przyszłość. Ale...

- Czary-mary - parsknęła Rhonda.

Kieran odwrócił głowę, żeby ją uciszyć.

Oczy Angeliki zrobiły się szkliste, gdy patrzyła w dal widoczną tylko dla siebie. W jaskini przez chwilę panowała cisza.

- Jest moc w imionach... - powiedziała powoli wróżka. - Tyle pamiętam. Nazwij demona, a nagniesz go do swojej woli. Ale wypowiadając jego imię, zwiążesz go ze sobą. Jego dzieła będą twoimi i vice versa. Wzywanie demona zawsze zagraża przyszłości ludzkiej duszy.

- Czytałem coś podobnego.

- I dużo ci to dało? - Wzruszyła ramionami.

- Może tak. - Joe uśmiechnął się, stukając palcem w dziennik. - Być może stary Terrel zostawił nam coś, co znów uratuje to miasto. Nie wiem, czy to wystarczy...

- Ty po prostu nie zdołasz tego pojąć - roześmiała się Canady. - My jesteśmy Jego własnością. Ty możesz Go nazywać sukinsynem lub księciem i to nie będzie miało znaczenia. My jesteśmy Jego zabawkami. Zdążyliśmy do tego przywyknąć.

Kieran spojrzął w stronę korytarza, który biegł na szczyt

góry. W ślepy zaułek.

- To wszystko co mamy - powiedział i ruszył w drogę.

Rozdział XXIV

Życie Kena uciekało z każdym krokiem. Zostawił za sobą długi szkarłatny szlak, nim wreszcie do niego dotarło, że to koniec. Już nigdy nie będzie tego dreszczyku emocji, jaki zawsze czuł, opuszczając się po linie, aby badać leżące w dole tajemnice. Już nigdy nie skapie się w ogniu słońca na puste plaży. Już nigdy...

- *Skup się na tym, co dostałeś. Czy kiedykolwiek myślałeś, że w ten sposób weźmiesz kobietę?* - zapytał głos.

„Nie” - odparł drżąc, z dziwną satysfakcją. Ale czy warto było umierać za spełnienie marzenia o seksualnej dominacji?

- *A co myślisz o Grocie Brownsella?*

Ken pokonał zakręt korytarza i zobaczył, że blade pośladki Cindy nikną w jaskini. Głośno wciągnął powietrze.

- Tak - szepnął i upadł na kolana. Gorąca krew spływała mu po plecach i przez rowek pomiędzy półdupkami ściekała na ziemię. Ale jej utrata już go nie martwiła. Problemy ciała wyparowały niczym mgła w sierpniowym słońcu. Rozglądał się w ekstazie.

Osiągnął nirwanę!

Jaskinia, o jakiej marzył. Piękniejsza, niż marzył. Jego wizja była prozaiczna - stalaktyty i stalagmity. To... To była cudowna kryształowa komnata! Nigdy nawet przez myśl mu nie przeszło, że coś takiego może istnieć. Do diabła, przez całe życie szukał swojej wymarzonej groty, w gruncie rzeczy nie do końca wierząc w jej istnienie. A jednak był w niej. Był w środku najpiękniejszej jaskini świata. W Górze Terrela. Tylko parę minut drogi od szlaków, które przecierał z Badaczami Urwiska.

Światła migotały jak fajerwerki, błękitny i czerwienie rozbłyskiwały w nikłym blasku latarki. To mogła być

największa kolekcja kryształów na świecie, wszystkie w jednej niewielkiej komorze. Wybiegł myślą w przyszłość. Oplaty za bilety przyniosą mu fortunę. Będzie bogaty. Będzie...

Martwy.

Siła wyciekła z niego wraz z pulsującą krwią. Już nie mógł klęczeć. Opadł na ziemię, światła mrugające mu przed oczami zlały się w kalejdoskop fajerwerków. W pryzmat straconych szans.

- *Jeszcze nie* - powiedział głos.

Ogień zapłonął mu w kroczu, gorętszy niż ten, który tlił się w jego sercu. Ken drgnął, z wysiłkiem oderwał głowę od skalnego podłoża.

Cindy stała na kamiennej płycie pośrodku jaskini. Kolejna ofiara złożona na ołtarzu z lśniącego kryształu - w sercu geody.

Dziewczyna była naga. I miała rozsunięte nogi.

- Chodź do mnie - powiedziała głosem ducha. Słowa, choć ciche, odbiły się od ścian groty niczym huk eksplozji. Ken poczuł, jak wzbiera w nim siła demona. Choć rozgrzany do czerwoności pogrzebacz przy każdym ruchu dźgał i rozdzierał mu ciało, poczołgał się w stronę Cindy.

- Już blisko! - zawołał Joe.

Angelika w milczeniu szła tuż za nim, Monika też nie odezwała się od wyjścia z Groty Przymierza. Popiskiwała tylko jak zbłąkany szczeniak, budząc echa w tunelu.

Za to Rhonda gadała za nie wszystkie. Gdyby szyderstwa dobrze się sprzedawały, po pięciu minutach zostałyby milionerką.

- Naprawdę wierzysz, że zdołasz uratować tę małą dziwkę? Wiesz, że pieprzyła się z moim synem? Popatrz, co

przez to zyskał. Dlaczego myślisz, że z tobą będzie inaczej? Czy kiedykolwiek się zastanawiałeś, czy to naprawdę była ona, kiedy ją pieprzyłeś? Może już wtedy miała w sobie diabła. Może pieprzyłeś się z pieprzonym diabłem.

Karen ze znużeniem w głosie poprosiła ją, żeby „się, kurwa, zamknęła”. Nie podziałało.

- Powiedz nam, wielki władco duchów - podjęła Rhonda ze śmiechem - jak przepędzisz to wielkie zło z naszego miasta? Czy jest tu dziewica, którą mógłbyś złożyć w ofierze? Nie patrz na swoją dziewczynkę. I nie patrz na żadną z nas!

Wreszcie coraz ostrzejszymi przekleństwami Sander zdołała ją uciszyć. W głębi serca przeczuwała, że zdarzy się coś, co położy krew jej wieloletniej niewoli. Na dobre czy na złe...

- Nie wiem, czy będziemy mogły ci pomóc - przestrzegła reportera.

Joe wzruszył ramionami.

- Ja też nie wiem, co będę mógł zrobić, ale musimy spróbować.

Umilkli i tylko ich ciche kroki zagłuszały daleki szum wody spływającej do oceanu. Wtedy nadeszła ta chwila.

„Walka na śmierć i życie” - pomyślał Joe. Wspomniał opowieść Angeliki o nieudanej ucieczce spod władzy ducha i czym się to skończyło.

Weszli do kryształowej komnaty.

- Tak, tak - jęknęła Cindy, gdy zakrwawiona ręka Kena opadła na jej piersi, szukając oparcia.

Świat dziewczyny zawęził się do atakujących ją bodźców. Błysk światła, dotyk na skórze, śliski masaż krwi... wszystko sprawiało, że wstrząsało nią drzenie ekstatycznej rozkoszy.

Pragnęła mieć w sobie mężczyznę. Byle kogo. Musiała czuć, że światło ją penetruje. Potrzebowała Go przy sobie, żeby znów dał jej Jamesa.

Ken resztką sił wszedł jakoś na piedestał. Z pomocą demona i Cindy wyciągnął ku niej drżące ramiona, podnosząc swe dygoczące, skrwawione ciało.

W jego oczach świat skurczył się do błękitnej poświaty i wymazanego czerwieni brzucha blondynki. Widok jego własnej krwi na jej piersiach i włosach łonowych podniecił Brownsella po raz ostatni. Wymamrotał „tak”, gdy przyciągnęła go do siebie.

- *Wpuść go* - podszepnął demon w jej głowie. - *Weź go w siebie tak, jakby był mną. Przyjmij jego nasienie, a spłodzimy nasze dziecko. Ty dasz mu urodę, a ja moc. Weź go. Weź mnie. Weź Jamesa.*

Uśmiech rozjaśnił jej twarz, kiedy usłyszała to imię.

- James? - szepnęła i opadło na nią skrwawione ciało grotolaza.

Głos jej zmarłego chłopca rozbrzmiewał echem w jaskini, jakby James był tutaj i jednocześnie daleko stąd.

- *Tak, kochanie, jestem. Pokochamy się?*

Na twarzy Cindy wypłynął szeroki uśmiech, gdy przytuliła umierającego mężczyznę. Zamknęła oczy, nie chcąc widzieć oszalałej, bezrozumnej twarzy.

- Tak - wydyszała.

Rozdział XXV

Błękitne kryształy zdawały się płonąć własnym światłem. Joe nie potrzebował latarki. W nienaturalnym blasku zobaczył Cindy leżącą z rozpostartymi rękami i nogami na skale pośrodku grotu. Na ołtarzu ofiarnym. Grotołaz kucał nad nią. Kieran nie miał pojęcia, jakim cudem. Facet nie miał prawa żyć. Podłoże jaskini było śliskie od jego krwi.

- Nie! - krzyknął Joe. Pobiegł, wyciągając ręce, żeby zepchnąć konającego z dziewczyny. W ostatniej chwili ktoś złapał go za rękę.

- To Jego wola i Jego prawo - wycodziła Rhonda przez zaciśnięte zęby. Oczy miała puste.

Próbował się wyrwać, ale dłoń kobiety trzymała go z siłą imadła. Kieran zrozumiał, że to już nie jest gruba Kanada, ale demon. Z jej ust padły słowa, które tylko on mógł powiedzieć:

- To początek nowego Przymierza.

- Musimy to powstrzymać! - wrzasnął Joe. Odwrócił się, żeby błagać pozostałe kobiety o pomoc. - Angeliko, Karen, Moniko, powstrzymajcie go. Powstrzymajcie go, zanim będzie dla niej za późno. Nie pozwólcie, żeby kazał jej cierpieć tak, jak wy cierpicie. Nie pozwólcie, by uczynił ją jedną z was.

Sander zrobiła parę kroków, ale zatrzymała się, gdy w jaskini rozbrzmiał dźwięczny, potężny głos:

- Przecież ona już jest jedną z was, czyż nie?

Pytanie wyszło z ust Kena, jednak to nie on je wypowiedział. Joe, Karen i Monika patrzyli z przerażeniem. Cindy podniosła rękę z piedestału, zatrzepotała powiekami, skupiła spojrzenie na Kieranie, a potem przeniosła je na broczącego krwią mężczyznę pochylonego nad nią niczym

drapieżnik.

Wyglądała na zdezorientowaną, jakby powoli budziła się ze snu, ale zaraz znów przymknęła powieki.

Puste oczy Kena omiotły ich wszystkich po kolei, zmuszając do odwrócenia wzroku. Zatrzymały się na Joem. Z ust Brownsella dobiegł chichot.

- Powiedz im, chłopcze, kim jest dziewczyna pode mną. Ta dojrzała mała perełka, którą zamierzam zapłodnić swoim nasieniem, aby zrodziło się nowe Przymierze dla Terrel.

Kieran milczał.

- Kot odgryzł ci język, panie reporterze? Pozwól więc, ja powiem.

Ken popatrzył na Cindy i oblizał jej twarz zakrwawionym językiem. Czerwona smuga lśniła obrzydliwie w niebieskim blasku.

- Koniec poszukiwań, moje panie. Odnaleźliśmy nasze zaginione dziecko. Prawdę mówiąc - opętany grotóżaz drżącym palcem wskazał na Joego - on mi ją wydał. Bez naszego małego przyjaciela nikt z nas nie znalazłby słodkiego dziecka Rachel wychowanego wśród nas. Ale teraz ją mamy.

- Jak... - wydukał Kieran.

Brownsell wyszczerzył w uśmiechu żółte, ociekające krwią zęby.

- Kiedy z nią spałeś, spałeś ze mną. Wiem to, co ty wiesz. Nie potrzebowałem wykuwać nowego Przymierza, żeby cię opętać, ponieważ dałeś mi wszystko z własnej woli.

Wstrząs zakołysał ciałem grotóżaza. Ken zeszczywniał. Cindy podniosła rękę, żeby pogłodzić go po twarzy i powiedziała jak przez sen:

- James.

- Mam waszą ostatnią ofiarę. - Brownsell z uśmiechem popatrzył na kobiety. - Warunki Przymierza zostały

wypełnione. Odejdźcie teraz, póki możecie, albo zostańcie i zawrzyjcie ze mną nową umowę.

Joe poczuł szarpnięcie. Rhonda ciągnęła go w stronę tunelu prowadzącego nad ocean.

- Nie! - powiedział twardo. - Ona nie należy do ciebie.

- Ależ tak - odparł Ken zimnym głosem. - Zapytaj jej matkę.

Kieran bez zastanowienia spojrział na Angelikę. Padła na kolana. Strumienie łez spływały jej po twarzy.

- Tak, zapytaj matkę. Zapytaj, czy się cieszy, że odnalazłeś jej córkę. Zapytaj, co zrobi, żeby ci podziękować.

Twarz wróżki nie wyrażała cierpienia, ona była cierpieniem. I goryczą. Joe odwrócił wzrok od jej oczu. Jak mógł być taki głupi?! Przyprowadził jej córkę prosto do demona. Zniweczył jedyne zwycięstwo Angeliki nad tym diabłem.

Zgarbił ramiona pokonany. Gra skończona. Po raz kolejny zawiódł kobietę... kobietę... którą kochał.

- Pora przypieczętować umowę - stwierdził potwór.

Wsunął nogi pomiędzy uda Cindy i pochylił się nad nią. Po chwili podniósł głowę, patrząc z uśmiechem prosto w twarz Kierana...

...i padł bezwładnie na dziewczynę.

W jaskini eksplodowało światło. Błękitny ogień zapłonął w kryształach pod nagim ciałem Cindy. Światelka pomykały jak oszalałe sznury lampek choinkowych, pędząc w różne strony i zawracając. Zwiotczała ręka Kena zsunęła się z postumentu, strumień ciemnej czerwieni ściekał z łokcia na skalne podłoże. Blask oświetlał jego niewidzące oczy.

Wtedy Joe dostrzegł promyk nadziei. Wyrwał się Rhondzie zapatrzonej w tę grę błysków i podbiegł do piedestału. Stłukł kolano, spychając martwe ciało z

zahipnotyzowanej Cindy.

- Cholera! - zaklął.

Dziewczyna uśmiechnęła się i spojrzała mu w oczy.

- Tak, kochanie - wychrypiała. Jej głos był teraz niższy, szorstki. - Możesz zająć jego miejsce. Do tego potrzebuję żywego mężczyzny.

Nagle Kieran stracił władzę nad swoim ciałem. Jego ręce same sięgnęły do rozporka, potem w gorączkowym pośpiechu rozpięły pasek spodni.

„Przestań!” - krzyknął bezgłośnie do demona.

- *Baw się dobrze* - szepnął Malachai. - *Wiem, że tego chcesz.*

Joe zrozumiał, że prawdopodobnie tak samo czuła się Angelika w noc, w którą go uwiiodła. Bezsilna. Wściekła. Wykorzystana. Sklął się za to, że nie przeczytał rozdziału o opętaniu w książce od George'a. Nie wiedział, jak walczyć z duchem.

Ale potwór dobrze znał swoją rolę. Grota się rozmyśla, Kieran widział przed sobą Cindy taką, jaka była na tylnym siedzeniu - niewinną i słodką. Uwodzicielską i czułą niczym innej nocy w jego mieszkaniu. Już się rozebrał, penis sterczał bojowo. Joe nie mógł myśleć o niczym, jak tylko o tym, że pragnie go włożyć. Chciał wziąć Cindy. Pieprzyć ją.

Była gotowa, jej skóra lśniła od potu i krwi, wagina rozchylała się zapraszająco. Demon nie pozwolił mu tracić czasu. Jaskinia pojawiała się i znikwała w błękitno-zielonej powodzi światła. Słyszał głosy płynące z oddali. Krzyk? W oczach Cindy tańczyły błyski kryształów, jej usta szeptały bez końca: „Tak, James, tak...”.

A potem usłyszał śmiech.

Wyszedł z głębi jego mózgu i rozprzestrzenił się, by wstrząsnąć każdym mięśniem.

Śmiech towarzyszył mu, kiedy wśliznął się na śliskie od krwi ciało Cindy i wszedł w nią głęboko. Gdy zakołysał nim orgazm, jej usta otworzyły się szeroko z rozkoszy. Popłynęła z nich seria krótkich, ostrych okrzyków, a potem przeciągły jęk zadowolenia.

- Och, James! - szepnęła.

Kieran zobaczył Rhondę stojącą przy kamiennym ołtarzu. Zaciskała wielkie zęby, unosząc ręce nad głowę. Trzymała w nich ten sam hak, który zwiastował śmierć Kena.

Demon pobawił się marionetką i już jej nie potrzebował. Joe był bezradny, nie mógł go powstrzymać. Biodra drżały mu w ostatnich falach ekstazy, kiedy patrzył, jak stalowy szpikulec w zwolnionym tempie zakreśla łuk przed tłustą twarzą Canady, a potem zaczyna opadać w kierunku jego kręgosłupa.

Usłyszał kolejny dźwięk, tym razem: „nie!”. I coś go uderzyło tak mocno, że trochę oprzytomniał. Jakiś ciężar przycisnął go do Cindy z taką siłą, aż zabrakło mu powietrza. Ślina dziewczyny trysnęła wraz z okrzykiem zaskoczenia prosto w jego zamarłą twarz.

Wrzask, następne uderzenie, słabsze niż pierwsze.

To Karen rzuciła się na Joego i Cindy, własnym ciałem osłaniając ich przed ciosem Rhondy. Monika wrzasnęła, gdy Canady opuszczała stal.

W tej chwili w Monice coś pękło. Przez całe życie była tą potulną. Tą, która zawsze się zgadza i robi wszystko, co chcą koleżanki. Tą, której demon kazał pocałować usta martwej Bernadety. Dyrygowana przez Rhondę złożyła demonowi w ofierze własne dziecko i poślubiła człowieka, który zaczął ją bić równie wcześnie jak całować. Pewna kobieta pomogła jej przejść przez to wszystko bez utraty zmysłów. Pewna kobieta

co wieczór siadała z nią przy kuchennym stole, uśmierzając lęki - Karen Sander. To ona ją ocaliła.

Gdy Monika zobaczyła, że Canady opuszcza stalowy szpikulec, żeby zadźgać jej najbliższą przyjaciółkę, poczuła gniew - na Niego, na Rhondę, na siebie samą za całe to zmarnowane życie. W ciągu jednej oślepiająco białej sekundy gniew obdarzył ją siłą, jakiej nigdy nie miała. Na chwilę stała się inną osobą i potrafiła działać bez wahania.

Otoczyła drobnymi, chudymi rękami byczy kark Canady i szarpnęła ze wszystkich sił.

- Wstawaj! - szepnęła Karen do Joego. Ból wykrzywił jej rysy, zamknęła oczy i upadła na kamienny ołtarz.

Kieran nie tracił czasu, który mu kupiła. Wysunął się spod Sander. Ta z trudem chwytiała powietrze, a Cindy wciąż była niczego nieświadoma. Stanął nagi i drżący, pospiesznie omiółł wzrokiem jaskinię.

Monika wrzeszczała na całe gardło, przeraźliwe krzyki mieszały się z echem. Rhonda walczyła, próbując zrzucić koleżankę uczeponą jej szyi. Przechyliła się, niemal tracąc równowagę, ale po chwili stanęła pewnie na nogach. Demon pomnażał jej siły. Monika upadła ziemię.

Ale Canady to nie wystarczyło. Ciężkim krokiem podeszła do przyjaciółki. Ta jednak - też opętana, tyle że gniewem - już się podnosiła, żeby znowu walczyć. Jednak na próżno. Rhonda złapała przeciwniczkę za drobne ramiona i pchnęła z powrotem na ziemię. Chwyciła ją za włosy i metodycznie zaczęła tłuc twarzą o skaliste podłoże. Joe patrzył na to z przerażeniem, słyszał kolejne wilgotne łupnięcia.

- Duchu! - wrzasnął. - Wypowiadam twoje imię, Malachai, i rozkazuję ci przestać.

- *Nie rób tego* - szepnął w jego czaszce znajomy zimny głos.

Ale pomogło. Rhonda znieruchomiała, jej twarz zrobiła się pusta.

- Malachai, jeśli chcesz pozostać dłużej w tym królestwie, uwolnij je wszystkie.

Joe usłyszał kasznięcie i krzyk Angeliki. Potem kroki. Ucichły, gdy wybiegła z groty.

- *Skazałeś ją - oznajmił drwiąco głos. - Niedługo pożyje z wiedzą, jaką zyskała o sobie. Biegnie teraz ku morskim głębinom.*

Kieran przeniósł spojrzenie z zakrwawionej, nieprzytomnej Cindy na pusty wylot korytarza, który prowadził do oceanu.

- *Którą ocalisz?*

- Powstrzymaj ją - polecił Joe, ale duch wybuchnął śmiechem.

- *Niewiele możesz osiągnąć, używając tylko mojego imienia. Przymierze wiąże mnie z kimś innym.*

- Tamten od dawna spoczywa w grobie. A stuletnie Przymierze wygasło przed laty. Przyniesienie dane Broderickowi Terrelowi już cię nie obowiązuje. Nie masz prawa przebywać tu ani chwili dłużej.

- *Przedłużyłem umowę - zakpił demon. - Zapytaj kobiety.*

- Nieuczciwym sposobem. Nie miały innego wyboru.

- *Nikt ich nie zmuszał, aby weszły do mojej jaskini. Nikt ich nie zmuszał do spychania rodzonych dzieci z urwiska.*

- Nie wierzę ci. Ale to nieważne. Sam powiedziałeś, że Przymierze z tymi kobietami dobiegło końca. Jesteś wolny, już nic nie wiąże cię z tym światem... Na twoje imię...

Rhonda z dzikim wrzaskiem rzuciła się na Joego. Z jej ust zwisały długie nici śliny, grube palce były zgięte jak szpony.

Reporter uskokczył i krzyknął:

- Malachai, rozkazuję ci...

- *Nie wiesz, co robisz.*
- Powstrzymaj to natychmiast. Jesteś...
- *Nie!*
- ...związany ze mną.

Skądś z daleka napłynął wrzask. W tej samej chwili Kieran nie tyle zobaczył, ile poczuł, jak Rhonda pada na ziemię uwolniona spod władzy demona.

Otoczały go ciała. Błękitne kryształy oświetliły grootę tak samo, jak w momencie śmierci Kena. Czy to znaczyło, że demon ukradł następną duszę? Czy światło było sygnałem, że ktoś został wchłonięty?

Nie musiał pytać. Wiedział, że Angelika umarła. Jej duch został zamknięty w kryształach. Zamknięty w lochu demona Malachaja.

Powoli wysunął hak z rany w ramieniu Karen. Odwrócił się i uderzył szpicem w kryształy płonące pośrodku jaskini. Celował w te, które podtrzymywały stół ofiarny.

Nagle w jego głowie rozszalał się huragan. Kieran usłyszał ryk nieziemskiej potęgi... i strachu.

Dźgał raz za razem, krzesząc oślepiająco niebieskie iskry, odłupując kolejne kawałki kryształu. Niewidzialna siła podniosła go w powietrze i odrzuciła do tyłu. Uderzył w ścianę, po czym spadł w kąt jaskini. Czuł się tak, jakby miał pogruchotane wszystkie kości.

Ale nie przestał. Ręka za ręką, na kolanach, w które wbijały się skalne okruchy, zbliżył się do rozmigotanych, fosforyzujących szlaków mocy i uderzył w jądro siły demona.

- Demonie, uwalniam cię i rozkazuję, żebyś...

- *Przymierze!* - wrzasnął głos w jego głowie. Desperackie wycie nie zagłuszyło przeciągłych krzyków rozpaczony i szczęścia, głosów tysięcy uwiecznionych dusz.

Czy rzeczywiście zostaną uwolnione, jeśli Malachai

zginie? Czy rozproszą się w powietrzu? Joe zastanawiał się nad ich losem, gdy znów poleciał do tyłu. Tym razem uderzył głową w skałę z taką siłą, że ból go oślepił.

- *Dogadajmy się, a oszczędzę twoje dziewczynę i dusze* - zaproponował Malachai.

- Chcesz mi rozkazywać? - zapytał Kieran ledwo świadomy, co mówi.

- *Podaj warunki* - warknął demon. Huragan w głowie Joego huczał coraz głośniejsze, zagłuszał myśli. Demon rzeźił w napiętej ciszy. Jego moc wyciekała jak trucizna nie tylko przez zniszczone kryształy, ale również przez ściany jaskini. Zabójcza niebieska moc nadal rozjaśniała wnętrze, lecz miejscami jakby bladła i ciemniała. Kieran zrozumiał, że waląc w postument, trafił w główny nerw. Zastanowił się, czy nie zignorować prośby demona i nie dokończyć roboty, dopóki światło zupełnie nie zgaśnie. Ale nie miał pewności, czy to powstrzyma demona od zabijania i opętywania ludzi. Zniszczenie jądra mocy zabije go czy też może wyśle na poszukiwanie nowych ofiar, żeby uzupełnić straty?

- *Wezwalesz mnie po imieniu. Podaj warunki.*

- Nie będziesz krzywdzić mieszkańców Terrel! - zawołał Joe. Nie mógł się skupić. Czego jeszcze powinien zażądać? - Będziesz robił, co każę, wszystko i zawsze.

- *To twoje warunki?*

- Tak.

- *Przyjmuję je i ogłaszam nowe Przymierze* - odpowiedział demon.

Harmider w głowie Kierana trochę przycichł. Błękitny żar zaczął przygasać na ścianach jaskini, ale wciąż skręcał się i wirował wśród splekanych kamieni ołtarza.

- *Jestem na twoje rozkazy* - oznajmił Malachai. - *Będę ci posłuszny. Do twojej śmierci, skoro nie wyznaczyłeś innego*

terminu. Strzeż się.

Po tych słowach blask kryształów zgasł, jakby wessał sam siebie. Joe niepewnie popatrzył wokół. Groteż rozjaśniały tysiące błękitnych punkcików przypominających kontrolki jakiegoś wielkiego urządzenia. Główne światło wygasło. Usłyszał jęk od strony ciemnego ołtarza i spojrzał na Cindy. Wciąż miała zamknięte oczy, to nie ona jęknęła. Dźwięk płynął z dołu.

- Joe - wychrypiała Karen Sander. Zatrzepotała powiekami, potem twardo spojrzała mu w oczy. - Joe... wygraliśmy?

- Tak - odparł. Kucnął przy niej, wsunął rękę pod plecy rannej i ostrożnie pomógł jej wstać.

- Już po wszystkim - powiedział.

- *Mam nadzieję* - mruknął demon w jego głowie.

Epilog

Nic nie może się równać z letnim dniem na brzegu oceanu. Słone tchnienie zmieszane z zapachem kwiatów, brzęczenie owadów i złote słońce na bezchmurnym niebie sprawiają, że życie smakuje jak... miód. Albo coś w tym rodzaju. Joe oderwał oczy od oślepiająco błękitnego nieba, by skupić je na trumnie pod czerwono-białym baldachimem.

Ten widok przywołał go do rzeczywistości. Zginęli ludzie.

Cindy ścisnęła w dłoniach jego rękę. Niewiele powiedziała w czasie nabożeństwa. Od trzech dni niewiele mówiła, prosząc tylko, żeby objął ją mocno. Zawsze to robił.

Rhonda stała kawalek za resztą żałobników. Wyglądała tak, jakby nie miała pewności, czy powinna podejść bliżej, czy wrócić do domu. Nawet z daleka było widać, że jest zrozpaczona.

Kieran nigdy nikomu nie powiedział, że to jej ręce, opętane czy nie, doprowadziły do tej ceremonii.

Pastor stanął za drewnianym pulpitem i wygłosił mowę podejrzanie podobną do tej, którą reporter pamiętał sprzed paru tygodni, z pogrzebu syna Rhondy Canady. „W gruncie rzeczy niewiele można dodać” - uznał.

- Jaka była za życia, taka jest po śmierci - powiedział pastor.

Dla Joego zabrzmiało to jak groźba. Angelika przysunęła się i szepnęła mu do ucha:

- Jak można mówić takie rzeczy?

Pokręcił głową, zastanawiając się do czego zmierza wielebny. Niebiesko-zielone siniaki, pamiątki po Kenie, zżółkły pod oczami wróżki. Rękę ciężką od gipsu nosiła na temblaku. Złamała ją, gdy wpadła do zimnej wody podziemnej rzeki. Kieran mylił się wtedy - wybuch

błękitnego światła w kryształowej grocie nie sygnalizował jej śmierci. Demon pożarł duszę Moniki.

„Ale w jakim stopniu Angelika naprawdę pozostała żywa?” - pomyślał Joe. Rzuciła dziwne, ukradkowe spojrzenia na córkę i z roztargnieniem bębniła palcami po gipsie. Nie roześmiała się ani nie zapłakała odkąd wróciła ze szpitala. Jej oczy nadal gasił cień lęku. Kieran wątpił, czy wróżka jeszcze kiedyś wróci do swojego zawodu.

- Monika była cichą kobietą, zawsze miała na sercu dobro innych - mówił pastor. - Będzie teraz z nieba czuwać nad nami wszystkimi.

- *Nie poszła do nieba, niezupełnie* - szepnęła Malachai w głowie Joego. - *Jest z nami. Tutaj. Czy chciałbyś, panie, żebyśmy coś zrobili? Może podnieśli trupa z trumny, wystraszyli wszystkich tych ludzi?*

- Nie - odparł Kieran na głos i pokręcił głową. Cindy spojrzała na niego ostro. Wiedziała, do kogo mówi. Czy była zazdrosna, bo Malachai uznał go za pana? Czy dlatego, że Joe zakazał demonowi z nią rozmawiać?

Myślał też o tym, czy dziewczyna będzie chciała się z nim widywać, gdy już ochłonie. Nie wiedział, jak zapytać. Czy zdoła na nowo ułożyć sobie życie między obiema kochankami - swoją dziewczyną, na co wciąż miał nadzieję, i jej matką?

Zastanawiał się, czy powinien poprosić Malachaja o uleczenie duszy Angeliki. Czy mógłby użyć potwora w dobrym celu, jak Broderick Terrel? A jeśli tak, za jaką cenę?

- *Jestem na twoje rozkazy* - przypomniał demon z nutką sadystycznej uciechy.

Jego głos jak kotwica ściągał duszę Joego na samo dno.

- Tak, wiem - mruknął. Spojrzał na załamaną matkę i milczącą córkę. Na kobiety, które niechcący skrzywdził, a

teraz chciał chronić. I jakoś uzdrowić.
- *Co w zamian, panie?*

KONIEC